

WSPOMNIENIA

POWSTAŃCA Z R. 1863.



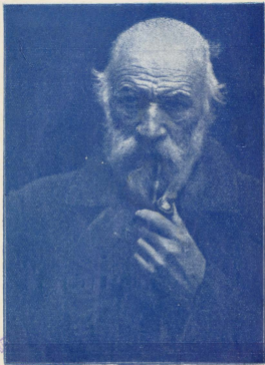
WILNO — 1929.

Nakładem „Dziennika Wileńskiego” Druknianka 4





THE UNIVERSITY OF CHICAGO



JÓZEF KARPOWICZ.

Fot. J. Bolheka.



IMĆ PANA ROTMISTRZA JÓZEFA KARPOWICZA
POWSTAŃCA Z R. 1863

WSPOMNIENIA

SPISAŁ JAN OBST



M. Brodka-Mielniński

WILNO — 1928.



166338 9. 1920
Wielka 100/100

Opowieść Józefa Karpowicza.

Pochodzę z rodziny żołnierskiej. Dziadek mój — panie święć nad jego duszą — był z Napoleonem pod Moskwą... zginął podczas powrotu, nie wiemy gdzie i kiedy. Ojciec mój, Andrzej Karpowicz w owym roku był młocem jeszcze, walczyć nie mógł, ale służył Francuzom za przewodnika, dopomógł im nawet razu pewnego cichaczem napaść na oddział moskiewski, który otoczone znieścacka i wycięto do nogi. Gdy wyrósł, wstąpił do wojska polskiego za ks. Konstantego i rychło dosłużył się stopnia porucznika. Aż tu wybuchło powstanie, oczywista, że ojciec był jednym z pierwszych, którzy zrzucili jarzmo przemocy, brał udział w wielu bitwach, ostateńo bronł Warszawy, był na słynnej reducie Ordoña, ciężko raniony, podniesiony został po bitwie jako trup między trupami. Cud Boży, że go we wspólnym nie pochowano grobie. Długo walczył ze śmiercią, w końcu jednak wylizeł się, chociaż nigdy całkowicie do zdrowia nie wrócił; przy łada sposobności otwierały mu się stare rany, wtedy

cierpiał straszliwie. Szczęśliwym trafem, zarówno ojciec mój, jako też dwaj jego najbliżsi przyjaciele i koledzy z Reduty Ordoña — Snański i Wilbut — uniknęli sądu i kary. Za duże było uczestników powstania, by można było wszystkich wysłedzić i zesłać. Ci, którzy dostali się w okrutne łapy „sprawiedliwości” moskiewskiej, niewymownemi cierpieniami odpokutowali za łanych, których lepszy los spotkał. Po upadku powstania ojciec i jego dwaj wspomniani towarzysze otrzymali posady leśniczych w lasach skarbowych, w Augustowskiem. Ojciec mój służył w leśnictwie plwiskiem. Uciulawszy nieco grosza, kupił szmat wyrebu, coś 120 morgów, pobudował się, zagospodarował, pojął żonę *Marję z Gierdowskich*, z którą miał czterech synów i dwie córki. Dobrze nam się wiodło na roli, ziemia żyzna, z pod lasu, obfite rodziła plony, a pod gospodarzem okiem matki mnożył się i rósł dobytek domowy.

Burza 1863 zmiotła ciche nasze gniazdo. Ojciec, jakkolwiek starzec przeszło sześćdziesięcioletni, schorzał, nie usiedział w domu, lecz jak na starego przystało wojaka, zabrawszy dwóch synów, broni myśliwską i naboje, poszedł w las. Podczas którejś z niezliczonych potyczek, wszyscy trzej wzięci do niewoli, zesłani zostali do Jenisejska, gdzie ojciec

rychło umarł, zanim wślad, niebawem poszli bracia. Nie było im sądzone wrócić do ojczyzny.

Dwie siostry moje urządziły w budzie leśnej „fabrykę”, szyły tam mundury, śiodła, buty dla powstańców, dopóki nie napadli kozacy... Siostra Katarzyna zesłana została do Kurska, gdzie wyszła za mąż również za powstańca Abakanowicza; druga, Marynia, zesłana do Kostromy. Matka uciekła do Prus. Wszyscy oni, drodzy moi, zmarli na dalekim wygnaniu, w obcej ziemi ich mogliły. Najmłodszy brat, będąc chłopcem, nie mógł udziału brać w powstaniu, lecz i jego nie minął los nieubłagany. Wzięty do wojska rosyjskiego, w czasie wojny bałkańskiej zginął od kuli tureckiej pod Plewną.

Z całej licznej rodziny ja jeden pozostałem. Nie było mi sądzone walczyć ramię przy ramieniu z ojcem, gdyż wybuch powstania zaskoczył mnie w Warszawie, gdzie zapisany byłem do organizacji. Wstydić się nie potrzebuję: swoją daniną krwi i cierpienia opłaciłem hojnie.

Urodziłem się w r. 1842. Uczyłem się początkowo pod opieką ks. Januszkiewicza, ex jezuita, wcale dobrze, gdy jednak za liczne psoty ojciec obiecał mi sprawić porządne lanie — uciekłem do dziadka Gierdowskiego, ojca matki mojej. Był to również stary wiarus, żołnierz napoleoński. Podczas

straszliwego powrotu z Moskwy raniony, wzięty do niewoli przez kozaków, był na wygnaniu, potem wrócił w rodzinne strony i osiadł na roli. Dobre mi było u dziadka, podarował mi swą starą fuzję, skalkówkę, ponoć także pamiętajęca czasy napoleońskie; kazał uczyć się strzelać. Razu pewnego, goniąc za zajęcem przez ogród, pokłóciłem się z babą, plejącą grzedy i bez namysłu wpakowałem jej cały nabój śrutu w pewną miękką część ciała. Baba narobiła krzyku, dziadek musiał sprowadzić doktora, podarować babie krowę—mnie zaś z powrotem odesłano do ojca. Nie długo jednak popasałem pod dachem rodzicielskim, niebawem wysłano mnie do szkół do Warszawy, gdzie wychowywałem się pod troskliwym ale surowym okiem ks. Józefa Holaka. Wolne od nauki chwile w ten sposób spędzałem, że zabrawszy od opiekuna mego staroświecki, ogromnych rozmiarów klucz klasztorny, wywierciłem u osady dziurę, nabijałem następnie klucz prochem i śrutem, a przykładając lont do wywierconej dziury, doskonale mogłem strzelać wróble.

Gdy jednak postanowiwszy na grubszego zapolować zwierza, razu pewnego zastrzeliłem za miastem cielęce, opiekun mój zdecydował, że właściwszem będzie, dla poskromienia zbyt żywego

temperamentu, wyklerować male... na księdza. Do-
stałem więc naprzód... 25 odlewanych, potem przy-
odziało mi w rewerendę i wysłano na naukę do
Rzymu, pod opiekę ks. rektora Semenki, b. unity,
ponoć przyjaciela Mickiewicza. Życie klasztorne,
w seminarjum nie przypadło mi jednak do gustu,
to też po kilku miesiącach, korzystając z okazji,
drapnąłem z powrotem do kraju. Przygód podró-
nych nie będę opowiadał, dość, że przybywszy do
Warszawy, nie mając odwagi pokazać się na oczy
opiekunowi, ks. Holakowi, ani też pisać do ojca,
tułałem się czas niejakiś, zanim nie przyjęto mnie
do warsztatu ślusarskiego w fabryce Ewansa (później
Lilpop, Rau i comp.). Jednocześnie uczyłem się
mechaniki i po kilku latach, już jako skończony
ślusarz i mechanik, otrzymałem miejsce maszynisty
przy budującej się właśnie kolei Warszawsko Pe-
tersburskiej.

Wtedy już—był to rok 1860-ty—śród kolegów,
młodych przeważnie rzemieślników, wrzało...
każdy kto mógł, agitował i werbował; kto zwerbował
dziesięciu, został dziesiętnikiem, kto zwerbował
stu — setnikiem. Przełożonym w naszym oddziale
mechanicznym był młody, mniej więcej 30-letni,
dzielny inżynier Kossowski, ten najczynniej pro-
wadził agitację. Cz. Mo. jego o. zebrałiśmy się

pewnego, zimowego wieczoru, na początku 1861 r. w klasztornej celi ks. Gerarda, przy kościele o. o. Kapucynów, na Miodowej. Było nas około trzydziestu, przeważnie rzemieślników: maszynistów, stolarzy, ślusarzy... młodzież zapalna, po lat 20—25. Był ze mną kolega Poliński i Nowicki, maszyniści, Korycki, telegrafista, dwóch braci Kozieradzkich, również telegrafistów, ślusarz Rzepecki i inni. Był oczywiście, Kossobudzki, który miał do nas przemowę, następnie krótko i serdecznie przemówił ks. Gerard, poczem kazał nam przejść do kościoła.

Ostrożnie, by nie zbudzić podejrzenia, wchodziliśmy pojedynczo w podwoje świątyni. Na zewnątrz rozstawione były stráže, które w razie jakiegos̄ niebezpieczeństwa miały dać umówiony znak. Myśmy uklękli przed głównym ołtarzem. W kościele panował mrok zupełny, tylko czerwony blask lampy padał na srebrny krucyfiks, który wysoko w dłoni trzymał ks. Gerard. Z ust kapłana padły słowa przysięgi, powtórzone przez nas szeptem: „do ostatniej kropki krwi bronieć będziemy Ojczyzny... tak nam dopomóż Bóg i Jego święta Męka”.

Po zaprzysiężeniu rozdał nam Kossobudzki coś w rodzaju świadectw: były to małe karteczki, na cienkim papierze, z jednej strony wyobrażona trupa główka, z drugiej ręce w uścisku z napisem

„Równość, Wolność, Braterstwo”. Później zamieniono je na inne, również z trupią główką i toporkiem oraz literami „Z. L.” („Zemsta ludu”).

Wróciliśmy do domów, każdy do swego zajęcia, jednocześnie jednak rozpoczęły się przygotowania i ćwiczenia w szermierce i strzelaniu do celu. Z tem było już trudniej; by nie zwrócić uwagi policji, strzelano... zapalkami. Była to zabawka dziecinna, jednak w ten sposób nabierało się pewnej wprawy. Najważniejszym jednak zadaniem każdego z nas było werbowanie. Pod tym względem miałem szczególnie sprzyjające warunki i mogłem szeroko rozwinąć działalność. Ustawicznie w ruchu, w drodze, jeżdżąc na mojej lokomotywie, rozwозиłem odezwy, które mi wręczał Kossobudzki. Kolej nie była na onczas jeszcze otwarta dla publiczności, ale pociągi już kursowały, przewożono robotników, funkcjonariuszy kolejowych, znajomych. Właściwy dystans mój był Warszawa — Łapy, nierzadko jednak docierałem do Wilna i poza Wilno. Wszędzie miałem przyjaciół i zaufanych: w Wilnie kcmunikowałem się z Franciszkiem Niepokojczyckim, Antonim Medekszą, Buiharowskim. Zresztą nastrój był taki, iż każdemu można było zaufać, szpiegów nie było pośród nas—namnożyli się dopiero pod koniec powstania. Najczynniejsze były nasze niewlasty,

zwłaszcza młode panny; błada młodzieńcowi, który-
by nie chciał należeć do organizacji; wstydzono ta-
kich, publicznie tchórzami nazywano, panny nieroz-
mawiały z nimi... skoro jednak złożył przysięgę
i mógł się wykazać jakimś tam świstkiem, zaraz
uchodził za bohatera, takiemu niczego nie odma-
wiały, nieba by mu przychyliły.

Na parę tygodni przed wybuchem powstania
pojechałem do rodziców. Po długim niewidzeniu
przyjęli mię z serdecznem wylaniem, ojciec wybaczył
dawne figle, a dowiedziawszy się o mych zamiar-
ach — błogosławił. Matka przy pożegnaniu pierścio-
neczek dała z wizerunkiem Przenajświętszej Panny.

Odtąd nie widziałem już rodziców; pierścionek
matczyny towarzyszył mi, ochraniał w bitwach, w
więzieniu i na dalekiem wygnaniu. W katordze była
ze mną panna Guzowska, jako chora na suchoty
została zwolniona i miała wrócić do kraju. Jej po-
wierzyłem moją świętą relikwję, prosząc by ją od-
dała matce, na znak że żyję, gdyż pisać nie mo-
głem, jako że zostałem skazany i zesłany pod in-
nem nazwiskiem; jako Karpowiczowi groziła mi
śmierć niechybna. Panna Guzowska w drodze cięż-
ko zaniemogła, na wpół żywą zawieziono ją do
Warszawy, gdzie wkrótce umarła. Co się stało z
pierścionkiem — nie wiem.

Da. 21 stycznia 1863 wróciłem właśnie na mojej lokomotywie z Łap. Wczesny zmierzch zimowy otulił miasto, w przesyconem wilgocią powietrzu, gdzie niegdzie migotał płomyk latarni, nie rozpraszając mroku. Złębnięty do szpiku kości z rozkoszą myślałem o mojej ciepłej izdebce, o szklance gorącej herbaty, gdy niespodzianie podszło do mnie kilku kolegów: byli to Polński, Korycki, Rzepecki i Nowicki. Powiadają:

— Nie idź do domu; zaraz będziemy wysłanili

Jakoż niebawem nadszedł setnik nasz Wiszniewski. Rozkaz był krótki:

— Iść — nie zwracając broń Boże niczyjej uwagi — najlepiej w pojedynkę, lub małemi grupkami po dwóch, najwyżej po trzech, ku rozmaitym rogatkom, tam czekać będą dworskie farnalki, powlecie hasło, a dalej już się okaże.

Polński, Rzepecki i ja ruszyliśmy przodem w kierunku Szmulewizny — była to najbliższa od dworca petersburskiego rogatka. Za nami szło pojedynczo lub parami jeszcze kilkunastu kolegów. Za Szmulewską rogatką stały trzy czy cztery wielkie farnalki, woźnice zdawali się drzemać. Jeden z nich, ujrzawszy nas zapytał obojętnie:

— A dokąd to, panowie, idziecie?

— *Szukamy dobrej roboty!*

— Więc siadajcie!

Było to hasło umówione.

Ruszyliśmy z kopyta w noc ciemną, styczniową. Deszcz ze śniegiem zaczął, nie znaleźliśmy ostatecznego celu naszej podróży, nie znali go tak samo nasi woźnice.

Przed północą stanęliśmy w Miłosnej, gdzie czekały na nas rozstawne konie. Nie dano chwili spocząć, ogrzać się, jeno kazali przesiadać i dalej, co koń wyskoczy.

W Kałuszyńce krótki postój; tu nam rozdano broń myśliwską, nieco naboju i rozkazano jechać do Radzyna, gdzie o poranku miało wybuchnąć powstanie. Konie były przygotowane, więc nie zwlekając w dalszą ruszyliśmy drogę.

Noc jeszcze była, gdy na horyzoncie ujrzeliśmy dziwny jakiś blask, który niebawem luną pełną objął ciemne niebo.

— Radzyc się pali — szepnął nasz woźnica.

Stanęliśmy bezradni, nie wiedząc, czy dalej jechać czy zawracać?

Jak się później okazało, mieszczanie Radzyna zawczasie zaczął; nie czekając, aż nadejdą z Warszawy posiłki, rzucili się na koszary, obłożyli je siennikami i zapalili. A ci na mieszczan rzucili się ko-

zacy, skłuli płkami, potem ruszyli na drogi, by łapać nadjeżdżających. Jakoś nie zdecydowaliśmy jeszcze co dalej robić, gdy usłyszeliśmy tętent, a raczej chlupot licznych kopyt wśród rozmokłej drogi, niebawem wyrosły wśród mroku ciemne sylwetki jeźdźców w kudłatych „papachach”. Obskoczyli nas ze wszystkich stron, poczęli ściągać z wozów i wiązać jak baranów. Łyka mieli przygotowane. Bronić się nie było czasu, zresztą większość z pośród nas byli to bardzo młodzi ludzie, niektórzy nie umieli wcale z bronią się obchodzić.

Ja z Rzepeckim sledzieliśmy na ostatniej bryczce. Widząc co się święci, wśród ciemności, nieznacznie, cicho, zsunąłem się z wozu do rowu przydrożnego, pociągając za sobą towarzysza. Rów był głęboki, pełen zamarzającej wody. Przykucnęliśmy jeszcze, zanurzając się po szyję, tak trwaliśmy czas niejaki, potem wygramoliliśmy się na przeciwny brzeg rowu. Pole było z jesieni zaorane, więc rozciągnęliśmy się w ciemnych jego bruzdach jak zajęce. Słyszeliśmy jeszcze czas niejaki szamotanie się na gościńcu, krzyki i przekleństwa kozaków, każda sekunda wydawała się wiecznością... w końcu oddalający się w stronę Radzyna tupot koński, milknący w mrocznej oddali rozgwar głosów zwiastował, że niebezpieczeństwo narazie minęło. Nie śmie-

liśmy wstać, w obawie że kozacy zostawili na drodze pikietę, więc poczuliśmy się czoięać śród brózd. Mimo przejmującego chłodu pot z nas płynął obficie. Dopiero gdyśmy się oddalili od gościńca na kilka stajai, powstałiśmy, a rozglądając się bezradnie do okoi, ujrzeliśmy daleko, na widnokręgu samotne światełko. W tym kierunku postanowiliśmy iść. Droga była ciężka, grunt rozmokły, lipki, żyzny czarnoziom z gliną, grzeźliśmy po kolana, wpadali do rowów, po przez zalane wodą łąki, przez zagajniki szliśmy dobrą godzinę. Już dniało, gdy znaleźliśmy się w pewnym folwarku, którego nazwy nie pamiętam. Wszyscy tu przez noc całą czuwali, wle-dząc czy domyślając się, co w Radzyniu zaszło.

Dziesięciu parobków folwarcznych było zaprzy-siężonych, więc czuliśmy się tu śród swolch. Gospo-darz przyjął nas serdecznie, nakarmił, przyodział, aż tymczasem dzień się zrobił, więc ukrył nas w stajni.

Wieczorem, ledwo zmrok, ruszyliśmy sporą gromadką, razem z zaprzysiężoną służbą folwarcz-ną, farnakami do miasteczka Łosice, gdzie doktor Czarkowski formował swą partję. Jakoś okoi pół-nocy podjeżdżamy do Łosic, gdy naraz na drodze zatrzymała nas pikietę. Była to na szczęście nasza, polska pikietę.

— Co za jedni? Zkąd i dokąd? — pytają.

Opowiedzieliśmy, co zaszło w Radzynie i jak ocaliliśmy.

Gwizdek. Za chwilę nadszedł jakiś młodzieniec, z grubym, sękatym kijem zamiast broni i kazał nam iść za sobą. Łosice, lica, żydowska mieścina, wieś raczej; niskie, czarne domki zdawały się wrosnięte w ziemię. Śród nich wyróżniała się jedyna murowana, pobielona szopa, dość dużych rozmiarów. Przed wrotami stała straż. Na wysokiej tyczce płonął migotliwy kaganek. Wewnątrz było zebranych około 100 powstańców, przeważnie młodych parobczaków. Jedni spali niefrasobliwie na słomie, drudzy przykucnąwszy grupkami, gwarzyli. Po środku stał stół, kilka ław dookoła, kilka świec na stole. Tu siedział sam dr. Czerkowski, mężczyzna około 30 lat, oraz jego sztebowi, przyglądali się pilnie mapie, jeden coś pisał. Uzbrojeni byli w broń myśliwską — starczyło jej tylko dla „sztabu”, reszta, chłopci, mieli siekiery, na długich toporzyskach, widły, kosy, lub nawet tylko kije. Był tam też aptekarz z Bałaj, dość pocieszna figurka, ten zamiast innej broni miał polowę dużych, krawieckich nożyczek, które sznurkiem przymocował do tyczki.

Rzucili się do nas hurmem, rozpytując o nowiny. Opowiedzieliśmy raz jeszcze o niefortunnych

wypadkach w Radzyniu i o naszej ucieczce. Po krótkiej naradzie ze swymi sztabowcami zdecydował dr. Czarkowski, że niebezpiecznie dłużej pozostawać w Łosicach, i że ruszymy do Siemiatycz, gdzie ze znaczniejszymi siłami stoi Rogiński. Dano nam kilka godzin spocząć, nad ranem zaś, jeszcze nie świtało, gdy ruszyliśmy pieszo, gęslego, błotnistą drogą w kierunku Siemiatycz.

Na czele szedł dr. Czarkowski. Odległość od Łosic do Siemiatycz nie tak wielka, może trzy mile „z haczklem”, sporo czasu zajęła przeprawa przez Bug. W Siemiatyczach stanęliśmy po południu dnia następnego. Tu już panował pewien rygor wojskowy. Na drogach gęsto rozstawione straże.

W mieście było do 3 tysięcy powstańców *), siedziało to przeważnie po żydach, część obozowała na rynku. Większość marnie uzbrojona w kosy, siekiery i widły, część tylko miała broń myśliwską, przytem brak było prochu, zupełny brak kul... tłuczono garnki i kociłki i z tego sporządzano „siekańce”.

Nam kazano zatrzymać się na rynku, gdzie też

*) Według rosyjskich, urzędowych źródeł 5 tys Liczba niewątpliwie przesadzona

niebawem ukazał się Remuald Rogiński *), konno, w otoczeniu kilku adjutantów. Przywitał się z doktorem Czarkowskim, potem pozdrowił nas po wojskowemu:

— Jak się macie, Włara?

— Zdrowia życzymy panu generałowi.

Potem zaprowadzono nas do obszernej szopy, gdzie stał główny sztab; byli tam, prócz Rogińskiego naczelnicy: Lewandowski, Lutyński, Kostkowski. Tu odbył się szczegółowy przegląd nowoprzybyłych sił. Większość uzbrojoną w widły i kosi przydzielono do plechoty, ja zaś, jako że miałem z Warszawy jeszcze własną, krótką broń palną, no, i niezgorzej umiałem konno jeździć, dostałem się do kawalerji. Do boku dali mi pałasz i pięknego, karego konia. Niestety bestja była narowistą, o czym się nieco później dopiero ku wielkiej mojej szkodzi dowiedziałem.

Kilka dni minęło w beczynności.

Aż oto dano znać, że Moskale się zbliżają.

Było to akurat w dzień Matki Boskiej Gromnicznej **).

*) Według innych źródeł Rogiński w tym czasie obracał się gdzieś około Białej i mógł dopiero w kilka dni później nadjechać do Siemiatycz

**) Zdaje się, że s p. Karpowicza zawiodła w tym wy-

Kawalerję, w liczbie około 200, nad którą Rogiński osobiście objął dowództwo, stanęła w rynku, na niewielkim pagórku przed dużym, murowanym śpichrzem. Zadaniem naszym było osłaniać kossynjerów, którzy stali w szeregu nieco za nami, w dolince.

Strzelcy, którymi dowodził Lutyński, stali „na plaskach“ i mieli wziąć wroga w ogień krzyżowy. My staliśmy doń frontem, spodziewając się, iż przybędzie główną ulicą. Jednak stało się inaczej.

Niebawem ujrzeliśmy dragonów moskiewskich pędzącym ku nam boczną ulicą, za nimi, w cwał toczyły się z hukiem i brzękiem dwie połowe armaty. Rogiński zakomenderował w czas jeszcze „pół obrotu“, jego adiutant, Karol Łempicki, dowodzący oddziałkiem kawalerji, w której ja byłem, powtórzył rozkaz, poczem: „Naprzód z Bogiem!“ z miejsca tegim klusem ruszyliśmy na spotkanie wroga. Ailści w tej chwili koń mój bierze na kiel i na oslep rzuca się naprzód. Próżno chcę go powstrzymać, nie słucha wędzidla, pedzi... Za mną co prawda, zdążają towarzysze, lecz koń mój

pa⁴ku pamięć. Według wszystkich źródeł polskich, jakie przeglądałem, bitwa pod Siemiatyczami odbyła się dn. 6 lutego, według zaś oficjalnych źródeł rosyjskich dn. 25—26 stycznia starego stylu, co na jedno wychodzi.

wszystkich wyprzedza i jak pocisk wypuszczony z procy, wpada w sam środek wrogich szeregów, staje dęba. Dookoła zrobiło się zamieszanie, zanim jednak z pomocą przybyli mi towarzysze, otoczyło mnie coraz więcej dziesiątek moskiewskich dragonów, pragnąc widocznie włączyć żywca, przyparł do rogu pomiędzy owym kamiennym śpichlerzem a ostrokołem. Odbiłem się szablą jak mogłem, koń mój rzucił się na wszystkie strony, chwycił zębami, wierzgał, kwicząc przeraźliwie.

Dostałem już przez łeb, na szczęście cięcie było lekkie, ale mi krew spływała po czole, zalewając oczy, drugie cięcie, zabójcze, w czas odbitem, tak że tylko koniec moskiewskiej szabli rozplątał mi nos. Trzeci dragon miarkował sztychem w serce — odbiłem ostatkiem sił — sztychl poszedł ukośnie, w obojczyk. W oczach mi pociemniało, w ustach uczulem jakąś kłiwą słodycz, wtedy zrozumiałem, że jeżeli nie uda mi się przedrzeć i uciec w pole, śmierć mnie tu czeka niechybna.

Ucieczka byłaby możliwa, ale tylko nie na mojej narowistej szkapie... Z szybkością, z jaką w podobnych chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa pracuje umysł, postanowiłem spróbować ostatniej i jedynej drogi — przez ostrokół.

Korzystając z zamieszania, które dookoła robił mój koń, gryząc, stając dęba, to wierzgając, pchałem pod gardło żołdata, który najbardziej na mnie nacierał, potem z siodła skoczyłem przez płot. Ostrokół był wysoki — przesadziłem go, niestety zaczepiwszy się ubranem o jeden z zaostzonych pali, zawisłem po tamtej stronie, głową w dół, nogami do góry. Cięto mnie szablą jeszcze cztery razy po nogach, krew zalewała mnie całego... na szczęście towarzysze spostrzegłszy w jakiej znajduję się opresji, pośpieszyli mi na pomoc, wparli moskale do owego rogu między częstokołem a spichlerzem, tu go wygnali, mnie zaś odcepili. Straciłem przytomność.

O dalszych losach bitwy dowiedziałem się dopiero później, z opowiadania. Pierwszy dzień był dla nas szczęśliwy: Moskale uciekli w największym popłochu, pozostawiając dwie armatki. Sam dowódca ich, hr. Nostlitz, został podobno ranny.

Niestety, zamiast skorzystać ze zwycięstwa, iść wśląd za wrogiem, zaleść go doszczętnie, lub w braku sił, cofnąć się w bezpieczniejsze miejsce, do lasów — nasi hucznie i wesoło obchodzili ten pierwszy tryumf, tańcząc do upadłego po karczmach z żydówkami. Nad ranem dnia drugiego, nadciągnął generał Manlukin, na czele silnego oddziału piechoty, oraz

rozbitków Nostitza *). Napadł na nieprzygotowanych, niemal że z łóżek powyciągał; miasto podpalił...

Zrobił się dzień sądny: płacz i lament żydostwa, ratującego swe ubogie mienie... a tu naszych wiązą jak baranów. Część znaczna, oprzytomniawszy, stawiała rozpaczliwy opór, większość z nich poległa, w bohaterskiej obronie. Rogliński, widząc błąd swój, szczerze go pragnął okupić krwią własną, walczył dzielnie, widząc zaś, że ulec musi przemocy, przedarł się z garstką towarzyszków i schronił w białowieskiej puszczy. Zebrawszy po niejakiem czasie dookoła siebie większą partję rozbitków, próbował jeszcze stawić czoło, niekiedy nawet sam wyzywając wroga, walcząc ze zmiennem szczęściem. Otoczony w okolicach Borka przez dziesięciokrotnie przeważające siły, rozpuścił swój oddział, sam jeden przedarł się do Turowa, tu skutkiem zdrady został ujęty i wydany moskalom.

Cudem uniknął śmierci, dzięki wstawlennictwu kilku wpływowych osób, jak br. Nostitza i gen. Sznelnikowa. Zesłany na Syberję, po latach katongi

) Było tam siedem rot pułku libawskiego z 4 działami pod dowództwem gen. lejtn. Maniukina („Piereczeń bojowych stołknowienij russkich wojsk s polskimi powstańcami w kampanii 1863—64... Sostawił A. J. Milowidow.”)

dorobił się nawet pewnego majątku i wrócił po-
myślnie do kraju. Był to żołnierz dzielny, posiadał
nawet pewne znajomości z dziedziny wojskowości,
gdyż odbył poprzednio kurs w szkołach
wojskowych, specjalnie dla naszych powstańców
założonych we Włoszech, w Genui i Cuneo, gdzie
kolegował z Sierakowskim, Kołyszka, Suzinem. Lek-
komyślność jego tłumaczy się młodzieńczym wie-
kiem — miał zaledwo 21 lat, dobrym byłby po-
ręcznikiem, ale nie dowódcą i „generałem”. Wina
za klęskę Siemiatycką spada wobec tego przede-
wszystkiem na Lewandowskiego. Był to człek
starszy, walczył niegdyś na Węgrzech pod Bemem,
był pułkownikiem; rzecz wprost niezrozumiała
i nie do wiary, jak mógł się dostać pod rozkazy
niedoświadczonego, zapalonego młodzika. W każ-
dym bądź razie obowiązkiem było Lewandowskiego
przedsięwziąć po pierwszym zwycięskim dniu bitwy
pewne środki bezpieczeństwa. Błąd swój opłacił
ciężkiemi latami katorgi.

Gdy się zbudziłem z długiego, ciężkiego zem-
dlenia, otaczała mnie ciemność zupełna. Próbowałem
poruszyć się, ból dotkliwy przeszył mi głowę,
boliły wszystkie członki, zwłaszcza zaś poraniona
moja noga. Mimo to ciekawość, gdzie się znajduję,

przemogła. Począłem ostrożnie dookoła namacywać rękami: na prawo była ściana, na lewo równieź ściana, byłem więc w jakimś kurytarzu., próbowałem wstać, lecz niebawem uderzyłem głową o sklepienie. Syknąłem z bólu, opadając na posłanie ze słomy. Przez chwilę straszna opanowała mnie myśl że zostałem żywcem pogrzebany. Włosy stanęły mi na głowie, zimny pot oblał całego... chciałem krzyknąć — głos uwiązł w gardle.

Po niejakiem dopiero czasie, począłem rozmawiać: dookoła jest mur — raz jeszcze począłem macać: tak jest, pod palcami wyraźnie czułem cegłę—poległych w bitwie nie chowają przecie w sklepionych grobach, jeno grzebią w zwykłym dole. Nie kładną ich na posłaniu ze słomy, której źdźbła wyraźnie czułem pod palcami... dotknąłem się bolącego czoła — było obandażowane, a więc ktoś musiał się mną zaopiekować...

A może, po rozgromieniu naszych, zostałem wzięty do niewoli i leżę gdzieś w lochu więziennym? To drugie przypuszczenie było znacznie bardziej prawdopodobne. Ostatecznie, mimo straszego zmęczenia i bólu postanowiłem zbadać sytuację, by przekonać się gdzie właściwie jestem. Z trudem niezmiernym, stanąwszy na czworakach, począłem naprzód się posuwać, wlokąc za sobą zbo-

lałą nogę. Niebawem, jednak kończyła się moja droga — natknąłem się znów na jakiś mur. Ota-
czający mnie wkoło absolutny mrok poczynął
mnie niepokoić, wszak niema tak głębokiej wężlen-
nej piwnicy, dokąd najmniejszy nie zbłądziłby błądy
promyczek dnia, niema tak ciemnej nocy, by jej
nie rozwidnił jakiś daleki odbłask. I znówu myśl
straszna chwyciła mnie w swe szpony, że skutkiem
cięż otrzymanych w głowę i przez twarz straciłem
wzrok, na resztę życia zostałem niewidomym, bez-
bronnym kaleką, zamurowanym żywcem w jakiejś
straszliwej kaźni. Dotknąłem się palcami oczu: po-
wieki były nabrzmiałe, bolące.

Ciemność jest królestwem szatana, jego to
głos zapewne począł mi szeptać do ucha, bym się
nie poddawał w moc Moskala, raczej zbolełą głowę
rozstrzaskać o te mury. Ostatnim wysiłkiem woli
broniąc się przed rozpaczą, postanowiłem mimo
wszystko zbadać ten dziwny kurytarz w przeciwnym
kierunku.

Z niemałym trudem, wobec ciasnoty miejsca,
obróciłem się i począłem znów pełznąć na czwo-
rakach. Cały ów kurytarz miał nie więcej możej nad
kilkanaście łokci—mnie, podonczas wleczność całą
dłużyła się ta droga, na której końcu nagle ujrza-
łem jakieś błęde światelko. Radość niezmierna wy-

pełniła mi pierś: więc nie byłem ślepcem! Posuwając się wciąż naprzód, w kierunku owego światła, rozróżniłem coś w rodzaju otworu, przez który jak przez sito przesiewał się blask dzienny. Pierwszą moją myślą było wtedy przekonać się, czy otwór nie był zakratowany... napróżno jednak szukałem: zamlaś żelaznych krat, macając czułem pod palcami jeno odłamki cegieł, którymi otwór dość luźno był zawałony. Usunąwszy z niejakim wysiłkiem kilka tych cegieł, wyjrzałem na świat boży: dookoła rozpościerała się nie duża, równa polena, przypruszone lekka, puszysta warstwa śniegu, z pod którego gęsto wyglądały żółta trawy, dalej czarne widniały pnie sosen, których wierzchołków nie mogłem dojrzeć przez moje okienko. Pomyślałem jednak, że więzień przecie nie budują wśród puszczy, i że wobec tego jestem prawdopodobnie pod opieką dobrych ludzi, którzy male tu ukryli w jakiejś norze, wśród lasu. A że blask dnia raził moje zbolale, zaropiałe oczy, a mroźne powietrze przejmowało do kości, począłem się cofać w głąb mojej kryjówki, aż wyczerpany, lecz uspokoiony, opadłem na me posłanie.

Zbudziło mnie czyjeś miękie, delikatne dotknięcie. Łączemu w półśnie zdawało się, że umarłem i że jestem chyba w niebie, widziałem

nad sobą aniola z białymi skrzydłami i błogość wielka spłynęła mi na serce, nie czułem bólu, jeno zdawało mi się, że głowa moja spoczywa na miękkim, wonnym obłoku. Po chwili dopiero, gdy otworzywszy powieki, bliżej wpatrzyłem się w to dziwne zjawisko, rozpoznałem przy migotliwym światełku latarki nachyloną nade mną postać młodej zakonnicy, w szerokim, białym kornecie, która mi poduszkę podkładała pod głowę. Zmierkowawszy, że nie śpię i patrzę przytomnie, przyłożyła z uśmiechem palec do ust, w ten sposób nakazując milczenie. Potem w kilku słowach objaśniła, że jestem w bezpiecznym miejscu, w dobrach pani Kuczyńskiej, w smolarni, wśród puszczy, ukryty w plecu smolarskim, że takich pleców jest jeszcze kilkanaście dookoła, w każdym leżą ranni powstańcy. Zapytała jeszcze czy nie potrzebuję czegoś i czy mi nic nie dolega? Odpowiedziałem, że mnie strasznie noga boli. Jakoż istotnie: w pośpiechu i ciemności, gdy mnie ukrywano w tym lochu smolnym, obandażowano wprawdzie głowę i twarz, zapomniano jednak zdjąć obuwie. Przy pomocy zakonnicy zżulem tedy z bolącej nogi but — był on pełen skrzeplej krwi.

Na nodze kilka zaognionych ranciętych, dalej namacałem dziurę od kuli, nie tkwiła ona zbyt głą-

boko, więc ją palcami sam wydobylem. Lunęła krew, którą napróżno starałem się zatamować. Widząc to zakonnica wybiegła pośpiesznie i wróciła za chwilę z żydkiem felczerem, który krew zatężył, przemył ranę i obandażował. Wieczorem, gdy mrok już zapadł, przyjechał doktor z sąsiedniego miasteczka; rozebrano mnie, położono na czystym prześcieradle, doktor obejrzał troskliwie rany, przyłożył maści, następnie otulono mię w ciepłe koce. Po tym opatrunku poczułem się znacznie lepiej, noc spędziłem spokojnie.

Chociaż gorączka nie prędko ustąpiła, przecie zdrowie wracało stopniowo, rany się goiły. Nie byłem też osamotniony w mojem ukryciu, odwiedzały mnie koledzy z sąsiednich pleców, którzy jednak, jako lżej ranni, niebawem przedemną opuścili smolarnię. Odwiedzał mnie gajowy, poczciwy Niemiec Arnold i młody żydek, dzierżawca tej smolarni, żydówka przynosiła mi herbatę i mleko kozie, dwoje bachorków przychodziło bawić się ze mną w plecu.

Wszyscy byli dla mnie nad wyraz dobrzy, serdeczni, największe okazywali współczucie i troskliwość, z oczu starali się odczytać każde życzenie, na każde skinienie gotowi byli wszystko zrobić, co było w ich mocy. Kilka razy jeszcze przyjeżdżał doktor z miasteczka, zawsze pokryjomu, o zmroku,

z największą ostrożnością. Zakonnica codzień przychodziła, przynosiła lekarstwa, białiznę i przeróżne łakocie z dworu.

Kiedy po paru tygodniach po raz pierwszy wywlokłem się o kulach z mej kryjówki na świat Boży, powitał mnie, wracającego do życia, dzień szary, mglisty. Czarna ściana puszczy okalała niedużą polankę. Wysmukłe, stuletnie sosny i ciemne jodły stały gęsto, zwartym szeregiem. W środku polany było kilkanaście pieców, zupełnie podobnych do tego, w którym spędziłem czas mojej choroby. Dość prymitywny system rur drewnianych świadczył, że tu oprócz smoly, pędzono też terpentynę. Urodzony i wyrosły w puszczy, widywałem nie raz podobne „fabryki”. O kilkaset kroków, u skraju polany, stała chata, w której mieszkał żydarendarz; na przeciwległej stronie polany—chata gajowego. Do niego skierowałem pierwsze kroki moje.

Jak już wspominałem, był to Niemiec, z poznańskiego, Arnold. Oboje z żoną zaci ludzie, powitali mnie z nieklamana radością, zaprowadzili do czystutkiej izby, na honorowem posadzili miejscu. A że to u Niemca interes przedewszystkiem, więc przed rozmową, przed poczęstunkiem, zwrócił mi co do grosza pieniądze, które znalazłono przy mnie, gdy małe, zemdląłego, przywieziono do smolarni,

także zegarek złoty, kilka pierścionków, spinki. Dopiero pani Arnoldowa przyniosła dwa potężne kufle domowego, jałowcowego piwa, chleba, ser, kielbasy..

Tu nie odrzeczy będzie słów kilka powiedzieć o stosunku Niemców do powstania i powstańców. Nie mówię o sferach rządowych, berlińskich, z którymi w następstwie wypadło mi zetknąć się — tych zachowanie się było fałszywe, dwulicowe. Na to miast dość gęsto osiedli, zwłaszcza na pograniczu, w Augustowskiem, Niemcy-koloniści sprzyjali szczerze powstańcom, dopomagali jak mogli; zdrajców niebyło między nimi. Byli też w naszych szeregach powstańczych obok Francuzów, Włochów, także Prusacy. Nie umieli przeważnie ani słówka po polsku, ale bili się znakomicie. Taki kapitan Sprunk, Adelsberg, bracia Juljusz i Hermann Büchlerzy, August i Hermann Hasfortowie, Schöae (rozstrzelany) do najdzielniejszych należeli. A już przedewszystkiem Hertig, którego nazywaliśmy Garibaldim. Nieraz on sadła zalał za skórę Moskałom, ale też zawzięci byli na niego.. Dostał się do niewoli z Waszkiewiczem i Grzybowskim — tych dwóch rozstrzelano w Kownie, jego, bez sądu, powiesili na drzewi, za nogi, i podłożyli ogień, tak się żywcem, od głowy upiekl.

Ale to już późniejsze sprawy. Gdy od gajo-

wego Arnolda dowiedziano się we dworze, że już zwiokłem się z łoża boleści, że życiu memu już nic nie zagraża, przybył po mnie rządca, zabrał mnie do folwarku. Tu dano mi nowe ubranie, czystą bieliznę, schludną stancyjke, wygodne łóżko... słowem czułbym się tu jak w raju, gdyby nie to, że już nazajutrz przybył dr. Kamiński, należący do naszej organizacji. Przywiózł mi patent na rotmistrza, jednocześnie jednak oświadczył, że chociaż jeszcze chory, muszę ruszać w strony rodzinne, w Augustowskie. Tam, po rozbiciu pod Czystą Budą Jastrzębskiego *), dzielnego kolegi Bosaka, powstanie poczęło wygasać. Trzeba je było na nowo rozniecić, przewieźć rozkazy — do czego nikt lepiej nademnie się nie nadawał, gdyż znałem od dzieciństwa tamtejsze strony, każdy dwór, wieś i zaścianek. Jakkolwiek po chorobie, nie mogłem jeszcze utrzymać się dobrze na nogach i trzeba było podsadzać mnie do bryczki, musiałem spełnić rozkaz i zanocowawszy jeszcze u korczewskiego rządcy, nazajutrz, jeszcze przed świtem, wyruszyłem w drogę. Od dworu do dworu, pocztą „obywatelską“, nie koniecznie to najkrótszy i najprostszy sposób loko-

*) Według źródeł rosyjskich „Perczeń bojowych stołknowienij etc.“) bitwa pod Czystą Budą 21 stycznia st. stylu (2 lutego n. st.) Dowódcą Polskiej Partji był Wyszkowski

mości, zwłaszcza, że trzeba było omijać większe gościńce, wśród roztopów owej bezśnieżnej zimy, nieraz kluczować manowcami, by omijać moskiewskie pikiety, zwłaszcza, że miałem przy sobie rozkazy władz centralnych, do poszczególnych, zaufanych osób w Augustowskiem. Nieraz przyszło podwójnie nałożyć drogi, nieraz zboczyć we wręcz przeciwnym kierunku, tak podróżując „rzemiennym dyszlem”, dotarłem do majątku Przytuły, gdzie na czelu większej, bo może 4 tysięcznej partii, stał Wawer. Na drodze już zatrzymały mnie nasze pikiety, gdym się zaś opowiedział i pokazał swój patent, odprowadzono mnie do dworu.

Dwór piękny, murowany pałac, zdała widoczny, biały wśród nagich gałęzi sadu, na wzgórzu. Niedaleko obszerne budynki folwarczne: stajnie, obora, stodoły, śpichlerze, wszystko to zajęte było przez naszych. Nie mogąc zmieścić się pod dachem, spora część obozowała pod gołym niebem:] na podwórzu, w sadzie. A dopieroż w pałacu rojno było jak w ulu, sama starszyzna: adjutancl, pułkownicy, majorowie, gdyż Wawer lubił otaczać się zewnętrznym blichtrzem. Zaprowadzono mnie do sali stołowej, gdzie przy obiedzie, w licznej gronie swego sztabu, siedział sam Naczelnik. Humory były wyśmienite, dowcipy żołnierskie, którym wtorowały salwy śmie-

chu... Zameldowałem się po wojskowemu... Wawer zmierzył małe okiem badawczym, a widząc że ma blady i ledwo na nogach się trzymam, kazał usiąść przy sobie. Podano mi talerz wyśmienitego kapuśniaku z półgąskiem, podczas jedzenia musiałem drobniutko opowiedzieć skąd przybywam, co zaczęję i dokąd jadę, to wszystko potwierdzić dokumentami. Wysłuchawszy mnie uważnie i zbadawszy dokładnie patent mój i resztę dokumentów, odezwał się Wawer swym krótkim rozkazującym sposobem, nieznośnym sprzeciwu:

— Zostaniesz Waśc z nami; chory jesteś, gdzie ci tam podróżować; Moskale dookoła; wszystkie drogi zajęte; wpadniesz w ich ręce, lub dostaniesz po łbie.

Ledwo domówił tych słów, gdy niespodzianie — a dworem, na gościńcu, padł strzał, najprzód jeden, potem gęstsze. To nasze plkety odstrzeliwały się Moskałom.

Wawer *) zerwał się z miejsca, i nie tracąc bynajmniej ducha, począł krótkim, stanowczym głosem

*) Wawer, właściwie zwał się Konstantym Ramotowskim, był w r. 1831 porucznikiem „czwartaków”, na pamiątkę boju heroicznego pod karczmą wawerską, przybrał pseudonim Wawro. Na emigracji był w służbie francuskiej w Algierze. Wrócił przed rokiem 1863 do kraju, by wziąć udział w po-

wydawać rozkazy. Adjutanci rzucili się natychmiast, każdy w swoją stronę, by wojsko postawić na nogi. Miejsce było dla przyjęcia bitwy najmniej odpowiednie, siły nierówne, zresztą nie chciał zapewne Wawer nadużywać gościnności, gdyż w razie obrony, piękny dwór przytułski poszedłby niezawodnie z dymem.

Nakazał włączyć odwrót. Rozkazy jego wnet spełniono, wszystko odbywało się sprawnie, cicho, bez zamieszania. W jakieś kilka paclerzy ruszył przodem taborek, składający się może z 20 wozów, nęlad-

wstaniu; służył pierwotnie w oddziałach Zameczka i Padlewskiego, następnie zaś dowodził samodzielnie w augustowskim, grodzieńskim i plockim. Stoczył bitwy pod Białoszewem, Jaszwilami, Jastrzębną, Czarnym Brodem, Kadyszem, Gruszkami, Krasnem, Radziłowem, Rzańnikiem, Porządziem i Strzelcowizną. Po ostatnim tem starciu, we wrześniu 1863 r. Ramotowski opuścił kraj. (Zieliński „Bitwy i Potyczki“).

S. p Karpowicz opisywał Wawra jako mężczyznę lat średnich, bruneta, nieco łysęgo, średniego wzrostu, silnej budowy, świetnego kawalerzystę. Główną jego wadą było, że lubił zbyt dużo zjeść i wypić, doskonały żołnierz, był jednocześnie smakoszem, otaczał się pieczeniemi, wozil z sobą skrzynie z szampanem. W innych warunkach mógłby sobie na to pozwolić, zwłaszcza że tę swoją wadę okupywał rzetelnymi zasługami: znajomością rzemiosła wojskowego, odwagą. W partyzantce, jaką prowadziliśmy, nawyknięcia jego, nabyte we Francji, były ciężarem i przeszkodą.

wanych amunicją, furazem, o który Wawer bardzo dbał. Było pod dostatkiem wódki, słoików, chleba, grochu; kilka kotłów polowych. Mnie, jako inwalidę, wsadzono na wóz... tuż za taborem szła piechota, w arjergardzie zaś kawalerja. Kozacy szli w trop za nami, zawsze jednak w pewnej odległości, może ćwierć mili.

Niebawem zaczęli przed nami skraj lasu. Szliśmy szerokim gościńcem, z obu stron, jak okiem sięgnąć wzwyż — czarna, zwarta ściana odwiecznej puszczy. Szliśmy bez wytchnienia, pośpiesznie, chcąc oderwać się od wroga. Skoro zaś zapadł dość wczesny zmierzch, skręciliśmy z gościńca w bok, lesną drożyną. Tu już mrok panował zupełnie. Rozwinęliśmy się niezmiernie długim wązkiem: na przodzie wozy, które co raz to grzęzły i zapadały po osie w rozmiękłym gruncie leśnym, to znowu utykały, trzęsąc się niemiłosiernie po gęstych splotach korzeni. Piechota szła w pojedynkę lub dwójkami, w końcu zaś kawalerja, która posiadała z koni, gdyż zwisający aż do ziemi gąszcz świerkowych gałęzi nie pozwalał jeźdźcom utrzymać się na siodle. Tak posuwając się, z niejakim trudem szliśmy, wyczerpani już drogą, wciąż naprzód, aż niewielej około północy, rozstała się nagle gęstwina leśna, ujrzeliśmy nad sobą czarny strop

nieba, nabijany złotymi gwiazdami. Na przeciwległym skraju dość obszernej polany migotało czerwone światełko w chacie gajowego.

Tu, wśród głuszy odwiecznego boru, daleko od gościńca, postanowiliśmy stanąć na krótki spoczynek. Wnet przyniesiono suchych gałęzi, wesoło zapłonęły ogniska, w dużych, miedzianych kotłach, smakowicie bulgocąc, warzył się grzech. Ten i ów, zgłodzony, nie czekając ciepłej strawy, przyłożył do ust blaszaną manierkę, w tył przechylił głowę, aż mu zbieleło oko, potem oddał ją najbliższemu karmratowi: „Do ciebie, Stasiu!” „W twoje ręce Ignacy!” Wydobyli z za cholew po kawałku słoniny i smacznie razem przegryzali.

Małe położono na łóżku w leśniczówce. Niebawem nadszedł tu Wawer z kilkoma sztabowymi. Usiedli na zydelkach, wkoło ogniska, zapalili fajeczki, wesoło gwarząc i dowcipkując.

Z za okna dolatywał odgłos powstańczej piosenki:

„Oto dziś dzień krwi i chwały
Oby dniem wskrzeszenia był!”

Albo:

„Hej młodzieży, dziarska, żwawa!”

Lub też tęskna nuta:

„Za Niemen het precz!”

Najchętniej i najczęściej śpiewano jednak marsza Żuawów:

„Niemasz to wiary jak w naszym znaku”.

Pojedyńcze początkowo głosy poczęły zlewać się w jeden zgodny chór, oderwane zwrotki spajać się w jedną mocarną pieśń, której echem wtórował ciemny bór, aż Wawer musiał wysłać adjutanta, by stłumił zbytnią ochotę, jako, że wróg był w pobliżu, szedł w ślad za nami.

Pokrzepieni krótkim, parogodzinnyim snem, przed świtem jeszcze w dalszą ruszyliśmy drogę. I znowu pod swe opiekuńcze skrzydła wzięła nas przepastna gąszcz borowa.

Poranek świtał, gdy rozstąpiły się drzewa puszczą, z mokrych oparów, jak krew czerwone wstawało słońce, blaskiem swym złocąc szczyty kościoła, słomiane strzechy chat... Nieco opodał od dużej wsi stał porządny dwór: Białaszewo.

Czując się bezpiecznie za ścianą lasów, powstańcy nasi rozsypali się po wsi, szukając pożywienia i ciepłego kąta, gdzieby się można po marszu nocnym zdrzemnąć. Wawer ze swym sztabem skierował się do dworu; byłem i ja z nim. Na ganku spotkał nas gospodarz, pan Świderski, widząc dopiero co ze snu zbudzony, gdyż był w szlafroku; człek

starszy, łysawy, przy nim była żona Jego, staruszka matka i córka, dziewczę niezwyklej urody.

— Gość w dom, Bóg w dom.

Serdecznie, po staropolsku, zaproszono nas do wnętrza dworku, który, jak to tam gdzieś podobno mówi nasz Pol Wincenty, zda się ściany swe rozszerzył, by tak licznych przyjąć gości. Dla każdego znalazło się miejsce. Na stole już dymiła piwna polewka, suto śmietaną i serem okraszona... Nie zdążyliśmy jednak zasiać do rannego posiłku, gdy nagle rozległy się tuż w pobliżu liczne strzały. Wy-skoczył Wawer na ganek, za nim reszta Jego sztabu, patrzymy: aż ci z pobliskiego lasu syplą się kozacy, całe ich chmary.

Napad był tak niespodziany, że mimo rozpaczliwych wysiłków wodze, znaczna część naszych poszła w rozsypkę. Na szczęście Wawer, bądź co bądź doświadczony żołnierz, nie zaniedbał wystawić dość silnych pikiet. Te, odstrzeliwując się napastnikom, pozwoliły skupić się głównym siłom i osłoniły ich odwrót.

Ja, nie mogąc z powodu swej chorej nogi po-dążyć za innymi, skrzyknąłem dookoła siebie kilku Kurpików, z którymi byłem się zaprzyjaźnił. Dzieciaki były to jeszcze: po lat czternaście, piętnaście, w ubożuchnych, podartych siermięzkach,

drżące od chłodu, przewieszona przez plecy nosiły koszyczki, z kory brzozonej plecione, w nich kawałek suchego chleba, proch i kule. Strzelbiny mieli powiązane sznurkami, ale jakże z nich strzelali! Gdy taki weźmie kozaka na cel — już z konia leci... trup! A jakież serdeczne, zacne były chłopaki! A jak na Moskalów zajadli!

Otóż ja, z kilkoma moimi Kurpikami wgramoliliśmy się na dach obory, z kąd rozpoczęliśmy zabójczy ogień. Jak tylko Moskał wysunął się z lasu — w niego!

Tak trwało dobrą chwilę, gdy nagle któryś z Kurpików zakrzyknął: obora się pali! Patrząc istotnie na przeciwnym końcu obszernej budowli zajął się dach słomiany, widocznie podpalony przez Kozaków, którzy już grasowali we dworze. Ogień rozszerzał się błyskawicznie, nie było rady, nie chcąc żywcem się upiec, musieliśmy co prędzej zleźć.

W pobliżu był chlewek nieduży dla nieroga cizny, cały murowany, kryty dachówką, więc na ogień odporny. Tam schroniliśmy się. Chlewik miał jedyne, wąskie okienko, nakształt strzelnicy, z dość szerokim widokiem. Tu umieściłem się. Kurpiki nabijali i podawali mi fuzje, ja strzelałem. Jednocześnie wysłałem jednego z najmłodszych mych towarzyszków, sprytnego chłopaka, na zwiady.

Wrócił niebawem: dwór był przez wroga zajęty, cały stał w płomieniach. Kozacy wymordowali rodzinę naszego gospodarza: żonę, staruszkę matkę, córkę które kozak przebił jednym pchnięciem lancy, sam Swiderski uszedł podobno z życiem, uciekając przez okno. Wawer zdążył skupić dookoła siebie rozpierzchniętą część wojska i cofnął się do przeciwnego lasu, mniej więcej stąd o milę. *)

Nam, coraz goręcej było w świniańniku, słyszeliśmy nad sobą trzask krokwi, które zajęły się od ognia. Nie pozostało nic, tylko śpieszną ucieczką salwować życie. Niespostrzeżenie po przez płomień i dym wymknęliśmy się z chlewu, z pomocą moich Kurpików przesadziliśmy przez częstokół, który otoczony był sad., szczęśliwiej niż w Siemiatyczach, gdzie zawisłem na ostrzu pala. Przez sad wiodła młoda jodłowa aleja, gęsta i cienista nawet w zimie. Tamtędy trzeba było przekradać się z największą ostrożnością, by nie zwrócić uwagi grażujących wszędzie kozaków. Raz jeszcze wypadło przedostać się przez wysoki płot — potem zna-

*) Według źródeł rosyjskich bitwa pod Białaszowem dn. 19 marca st. s. (31. III. n. st.). Wojskiem rosyjskiem dowodził major Zass. Częściowo poległo, przeważnie zaś w ogniu spaliło się około 120 powstańców. „Pierieczn bojewych stolknowienij” etc

eżliśmy się w otwartem polu. Sposobem, wypróbowanym pod Radzyniem, ległem, jak długł, w bruździe rolnej, obok mnie, jak zajączki, rozciągneli się Kurpiki. Nie powiem, aby taki spoczynek w rozmokłej, wiosennej roli, był bardzo przyjemny, lub zdrowy, jedną ma przecie zaletę, że leżąc nieruchomo i przykładając ucho do ziemi, słyszy się wszystko dookoła dokładnie, nie tylko tętent konia, ale nawet pojedyncze kroki. Leżaliśmy tedy około trzech godzin, zanim się wszystko dookoła nie uspokoiło. Kiedy nareszcie powstaaliśmy z naszych legowisk, oglądając się ostrożnie dookoła, zamiast pięknego dworu ujrzeliśmy tylko dymiące zgliszcza. Wracać nie było poco, nie było też bezpiecznie, gdyż we wsi mogli jeszcze być kozacy. Nawpół niesiony przez molch kochanych Kurpików zdążyłem do przeciwległego lasu, dokąd był się schronił Wawer. Ale go już tam nie zastałem. Mając tuż za sobą Moskali, wojsko nasze, a raczej nasze rozbitki, przepawiły się przez Biebrzę na stronę wschodnią, litewską, gdzieś w okolicy Goniądza, co ich narazie uratowało od pościgu.

Nie mogąc w tym stanie, w jakim byłem, podążać ze swolmi, natknąłem się po dłuższem błądzeniu wśród puszczy, późnym już wieczorem na samotną leśniczówkę. Gajowy, człek lat czterdziestu,

krępy, osadzisty, o czerwonej, nabrzmiałej twarzy, kulawy, przyjął nas dość opryskliwie. Jak dowiedziałem się następnie, był on żołdatem rosyjskim; ranny w nogę pod Sewastopolem, otrzymał następnie to miejsce w lasach rządowych. Przecie gościny nie odmówił, i łyżki strawy. Chociaż milczący wciąż i ponury, pozwolił przenocować. Była obawa, że nas może zdradzić, że sprowadzi w noc swoich moskalów... ale znużenie przemogło w nas wszelką ostrożność—padliśmy na posłanie i zasnęliśmy kamiennym.

Nad ranem zbudził nas sam gospodarz: czas—oświadczył—gdyż po puszczy grasują kozacy, wyla pując spóźnionych lub zbłąkanych powstańców. Dla mnie stała zaprzężona bryczuszka, na którą mnie wsadzono, gdyż już ledwo mogłem poruszać zbolałymi członkami. Obok mnie, wesoło gwarząc, ze swymi fuzyjkami, szli moi Kurpiłkowie. Tak przekradaliśmy się leśnymi manowcami, aż o zachodzie rozrzedniał las — przed nami rozwinęła się w blaskach konającego dnia krwawa wstęga Biebrzy.

Tu pożegnaliśmy naszego gospodarza i przewodnika, który choć Moskal, nie był przecie zdrajcą.

Przez rzekę przeprawiliśmy się łódką, gdyż prom był spalony, w najbliższej wiosce dostałem konia i wózek, którym podążyłem w ślad za partją

Wawra. Ludność tych stron niezmiernie sprzyjała nam, powstańcom, dawała chętnie pożywienie, koni, nie biorąc za to, ani grosza; służyła za przewodnika śledziła za każdym obrotem moskali, donosząc nam o wszystkim, ukrywając rannych. Tak więc, dowieziono mnie bezpiecznie do obozu, który był już daleko odszedł od Goniądza.

Nie było jednak mi sądzonem zażyć tu pokoju. Niebawem przepawili się moskale przez Biebrzę i poczęli znowu nas przypierać. Wypadło więc nam cofać się, nie koniecznie w najlepszym porządku, wciąż mając na karku kozaków. Kawalerji nie mieliśmy już, konie nam popadały w drodze lub zagrzezły w bagnach razem z jeźdźcami. Wypadło iść pieszo, mnie się otworzyły rany na nodze, każdego wieczora but pełen był krwi. Głód dokuczał potężnie, wozów z furazem już dawno nie było, poginęły pod Białaszewem. Co gorsze, brakowało też amunicji. Kozacy, na swych lekkich konikach coraz zuchwalej nacierali, zajeżdżając to z boku, to z przodu, co raz to kogoś urywając. System ich na tem polega: nurzyć przeciwnika, nie zbliżając się na odległość strzału. Natomiast starszyzna moskiewska często podjeżdżała pod sam nasz obóz, wołając byśmy się poddali, lecz nikt z nas nie usłuchał. W marszu podzieliliśmy się na dwie części: jedna większa,

składająca się z kosynjerów, szła przodem; arjer-gardę tworzył mały oddziałek strzelców, przeważnie Kurpiów, do których i ja przystałem. Dowodził nami Tadeusz Wojczyński. Byliśmy nieustannie prawie w styczności z wrogiem, strzelanina nie miała ani w dzień, ani w nocy, niestety warunki były nierówne, nasi chłopcy mieli broń myśliwską i to lica, niedaleko nośną, ja jeden posiadałem dobry sztucer. To też, gdy któryś z moskalów zbyt się zbliżył, zwłaszcza jeżeli to był ktoś ze starszyny, przedemną stawał Kurpiak, ja zaś, będąc osłabionym i nie mogąc utrzymać sztucera, opierałem go na jego plecach i brałem wroga na cel. W ten sposób utrzymywaliśmy prześladowców naszych w przyzwoitej odległości — moskale bowiem na ogół nie narażali swego życia, woleli zdać nas nękać, widząc, że i tak im nie ujdziemy. Jakoż niebawem zabrakło nam kul, wtedy wypadło strzelać odłamkami tłuczonych garoków, co już żadnej nie przyczyniało szkody. Napastnik coraz zuchwalej nacierał, nie zazналиśmy ni spoczynku ani snu. Kilkakrotnie mieliśmy większe utarczki pod Suchowolą i Klewanką, na ogół była to jednak dość nieszkodliwa strzelanina. Uderzyć na wroga pierś o pierś nie mogliśmy, gdyż siły były zbyt nierówne, moskalów było co najmniej pięć razy tyle

ile nas, z drugiej strony przeciwnik nasz, chociaż zniecierpliwiony nieustanną gonitwą, wśród wiosennych roztopów, nie mógł zaatakować nas na bagnety, jako że szliśmy w rozsypką... musiał się zadawać wylapywaniem tych, którzy padli ze znużenia lub ugrzęźli w błocie. Tak opisaliśmy w Grodzieńszczyźnie duże półkole i stanęliśmy znowu nad Biebrzą.

Noc była ciemna; po ostatnim niezwykle forsownym marszu udało się nam oderwać od wroga. Przeprawiliśmy się spokojnie przez most, który natychmiast rozebraliśmy za sobą, co na czas pewien wstrzymało pogoń. Było to pod Sztabnem. Miasteczko spało, przeszliśmy cicho, w największym pośpiechu, niby duchy nocne, zabrawszy jeno przewodnika, który miał nas zaprowadzić do Jastrzębny, w okolicę największych augustowskich puszczy.

Unikaliśmy szerokiego gościńca, idąc manowcami, wszyscy ostatecznie wyczerpani, głodni. Ujrzałem w lesie samotną chatę, do której wstąpiłem poprosić chleba — kobieta pokazała mi, że chleba upieczonego niema ani okruszyny, ledwo w dzieży zamieszony... porwałem w garść, ile mogłem ciasta i pośpieszyłem za towarzyszą, jedząc łapczywie, dałem też nieco najbliższemu kurpikowi,

który również jadł. Uczta taka lednak miała nam na złe wyjść, niebawem podparło nas straszliwie w żołądku, tak że padliśmy w straszliwych kurczach, towarzysze podnieśli nas i wlekli nawpół żywych aż do rana.

W wielkich lasach pod Jastrzębną stanęliśmy obozem. Tuż za nami ciągnęło się wielkie bagno, gdzie w razie niebezpieczeństwa można się było schronić. Jakże odmieniale wyglądał ten nasz obóz od tamtego, z przed kilku tygodni, pod Biłaszewem!

Gromada nasza z kilku tysięcy stopniała może do 500 ludzi. Milczenie panowało grobowe, zabroniono palić ognie, nawet fajki palono przysłaniając je dłonią. Nie mieliśmy już ani odrobiny chleba, ani jednego suchara, więc Wawer posłał w okolice po furaz. Mój stan był bardzo ciężki. Prócz zupełnego wyczerpania, prócz strasznych bólów w nodze, oczy mi spuchły, zapłynęły materją, tak że byłem prawie niewidomy.

Widząc to Wawer, że byłem raczej ciężarem dla wojska niż pomocą, sprowadził wózek chłopski, na który mnie nawpół żywego wsadzono i powieziono manowcami wglęb puszczy. Tak rozstałem się z towarzyszami, z moimi dzielnymi Kurplikami, których już więcej nie miałem zobaczyć — nie do-

czekawszy bitwy, która w kilka dni potem stoczona została w lasach pod Jastrzębną.*)

Po paru godzinach bardzo uciążliwej drogi, stanąłem w schludnym dworku wśród puszczy, nadleśniczego lasów państwowych pana Jarnuszkiewicza. Gospodarz i żona jego przyjęli mnie najserdeczniej, nie zważając na niebezpieczeństwo, które im samym groziło, w razie gdyby mnie tu znalezione. Natychmiast posłali po doktora do Sejnu, który obejrawszy oczy moje, kazał mnie zamknąć do ciemnicy i robić okłady.

Kiedy po kilku tygodniach wolno mi było wyjść na świat Boży, poczęli zewsząd do cichej leśniczówki zjeżdżać sąsiedzi, niektórzy z dalekich nawet stron, bo wiedziano już, że wysłany jestem ze specjalnymi rozkazami od rządu centralnego więc każdy rad był się dowiedzieć, jakie zamary są na przyszłość.

Pamiętny swej misji udania się w rodzinne strony, w Augustowskie, dla rozbudzenia tam zamie-

*) Bitwa pod Jastrzębną dn. 20 kwietnia n. st. według wspomnianego już kilkakrotnie źródła rosyjskiego („Pierieczn bojowych stołknowienij“.) liczba powstańców wynosić miała 2 tysiące. Cyfra ta znacznie przesadzona, jako że partja Wawra na samym początku, gdy była zorganizowana i w. komplecie nie wiele więcej liczyła, następnie zaś po klęsce pod Białaszewem i następnych tygodni znacznie stopniała.

rającego powstania, niezbyt długo poposałem w gościnnym domu państwa Jarnuszkiewiczów, lecz skoro tylko wracające siły pozwoliły mi wgramolić się na podróżną bryczkę, wyruszyłem do Justjanowa, do p. Abłamowicza.

Tu już czułem się jak w domu. Począłem objeżdżać znajome sąsiednie dwory, budząc wszędzie ducha.

Z Justjanowa pojechałem do Trakień, gdzie byli dwaj dzielni bracia Gutowie, Zygmunt i Aleksander, z Trakień do Pojezior pp. Gawrońskich. Wszędzie witano mnie z zapalem, wszyscy gotowi na dane hasło wyjść w pole. Szlachta wierzyła w pomoc Napoleona, a lud wierzył szlachcie i szedł za jej przewodem.

W Pojeziorach był wójt Mieszkowski, ten pojechał do mniejszych zaścianków i wsi i tu nadspodziewanego doznał przyjęcia: szła drobna szlachta zagonowa, szli chłopci—litwini, zwłaszcza wśród młodzieży był zapal niesłychany. Starzy gospodarze czasem popłakiwali, ale sprzeciwić się dzieciom nie mieli siły, więc ostatecznie puszczali je z błogosławieństwem. Tak formowały się gromadki po kilkunastu parobczaków, pod wodzą pana ze dworu, lub—gdy ten był starym i niedołężnym—rządcy czy ekonomem.

Widząc, że sprawy dobrze idą, zapal jest powszechny, wszyscy czekają jeno hasła, by rozpocząć, udałem się do Piotrowszczyzny, gdzie bawił podówczas Konstanty Szyszkowski, agent rządu centralnego. Jemu odraportowałem wszystko, co zrobiłem w ostatnich tygodniach i jaki panuje nastrój, poczem wsiedliśmy na bryczkę i pojechali do Berznik, majątku dzierżawionego podówczas przez Akorda Sowińskiego. Człęk to był w wieku już starszym, ongiś, po roku 1848 wysłany na Sybir, skąd powróciwszy osiadł na dzierżawie, olbrzymiej tuszy, powolny, nie energiczny, został z ramienia Rządu narodowego wojewodą augustowskim.

Z trudem, pod naciskiem sąsiedniej szlachty, która hurmem się zjechała do Berznik, udało się skłonić starego kunktatora, by dał hasło do zbiórki. Jako najdogodniejszy punkt zborny obraliśmy miejscowość Podlipki, dokąd też niezwłocznie udałem się na czele zebranej szlachty i kilkudziesięciu parobczaków z sąsiednich wiosek.

Szyszkowski tymczasem i Akord, niezważający już na swą bajeczną tuszę, puścili się w drogę, od dworu do dworu, celem powiadomienia obywatelstwa, gdzie się ma stawić.

Podlipki była to mała osada, ukryta wśród lasów, w widłach rzecznych pomiędzy Niemnem

a jego dopływem, Świętojańskim strumykiem. Mieszkał tam podleśny Władysław Moszyński *), bardzo nam sprzyjający. U niego stanęliśmy kwatery; niebawem poczęły też przybywać mniejsze i większe partje, zwykle po kil anaście osób. Przybywały też wozy z żywnością: chleb, wędlina w najlepszym gatunku i pod dostatkiem, natomiast z bronią było znacznie gorzej: szlachta tylko posiadała broń myśliwską, dla chłopów nadeszło kilka wozów rzezaków, jakie używano do ręcznych sieczkarni. Urządziliśmy połowę kuzienkę i wnet rozpoczęła się gorączkowa praca. O ile zwykła kosa, osadzona sztorcem, jest bardzo nietrwala, o tyle kosa czy rzezak od sieczkarni, znacznie grubszy, osadzony odpowiednio na drążku, w ręku tęgłego perobczaka może być niebezpieczną bronią. Na końcu posiada on zwykle długi szpikulec, który zaginaliśmy w formie haku. Tym to hakiem chwytła się kozaka za kark, ściga go z konia, potem taie przez łeb... cieżce jest straszne—nie mało nasi chłopci litewscy rozpiatali głów kozackich, od czuba do pleców!

Wogóle materjał na żołnierza był świetny, partja nasza składała się coś z 500 ludzi, dzielni chłop-

*) Skazany później na 15 lat katorgi. („Alfawitnyj spisok polityczeskich prestupnikow etc.“).

cy, pełał zapalu — ale nigdy wojny nie widzieli, nie byli w ogniu; brakowało nam doświadczonemu wodza. Wprawdzie kandydatów na to stanowisko znalazło się aż dwóch: Cybulski-Kochanowski, stary żołnierz ale też i stary niedołęga, opój, drzemiał przy ognisku we dnie i w nocy, owinięty w kożuch. Drugim był młody paniczek Kamiński - Mroczkowski, pochodził bodaj z Wołynia, czy też Podola, chłopak jak malowanie, brunet, wysmukły, elegant, w swej zgrabnej kurtce i czapeczce obszytej barankiem, z teatralną szabelką i pistoletem za pasem. Świetnie tańczył mazura po sąsiednich dworach i zawracał pannom główki. Na wojnie nic się nie znał, chociaż podobno skończył kurs w szkole geneueńskiej.

Pewnej nocy, gdy wesoło płonęły ogniska, a młoty kowalskie miarowo stukały, nadbiegł gajowy z wiadomością, że kozacy kręcą się w pobliżu. Zrobiło się zamieszanie, które zdołaliśmy jednak opłacać: rada w radę, postanowiliśmy przeprowić się przez strumień Świętojański, tak rozumując, że gdy nas moskał przyprze w widłach rzecznych, popłmi się w Niemnie.

Pogaszono tedy ogniska, rozdano broń, przewiant załadowaliśmy na pięć furmanek i prowadzeni przez gajowych, ruszyliśmy manowcami ku rzece.

Poranek świtał, gdy stanęliśmy nad brzegiem Świętojanki. Nieduży strumyk wezbrał skutkiem ostatnich deszczów. Poczeliśmy szukać brodu, gdy w tem, z przeciwnej strony, z lasu ukazał się oddział kozaków. Ujrzawszy nas, dali ognia — wtedy panika ogarnęła cały nasz oddział. Nawet Cybulski, drzemający na wozie w swym baranim kożuchu, zbudził się; Mroczkowski po prostu stracił głowę... kilkunastu, co przytomniejszych próbowało odstrzeliwać się, ale broń myśliwska, nie dalekonośna, nabita siekańcami, nie przyczyniała przeciwnikowi najmniejszej szkody. Ogromna większość rozpięzchła się, chroniąc do puszczy. Nawet wozy z prowadzonymi pozostawiono.

Tymczasem kozacy, których był wcale nieliczny podjazd, nie próbując nawet przeprowić się na naszą stronę, pojechali dalej, gościńcem, w stronę Olity, gdzie stały pod ówczas główne siły moskiewskie.

Jest w Marjampolskim powiecie, wśród lasów, które wiosenną okryły się zielenią, wieś, która się nazywa *Wesołe Oko*. Tam poczeli zbierać się nasi rozbitkowie. Znalazł się tu także, uśpiący bohater, Mroczkowski, ale go nikt słuchać nie chciał. Natomiast wielkie zaufanie i powszechny szacunek, potrafił sobie zdobyć niejakiś *Szymon Katył*, syn chło-

pa litewskiego, kleryk, który z seminarjum uciekł do powstania. Na sprawach wojskowych nie znał się wcale, ale potrafił, nie będąc dowódcą, utrzymać towarzyszków w korbach posłuszeństwa, wprowadzić w szeregi rozbitków pewien ład i dyscyplinę. Taka w tym chłopskim synu była powaga, jakieś niezwykle dostojeństwo.

Tymczasem co dzień napływali do nas nowi ochotnicy, partja nasza rosła z dniem każdym w siły. Nie próżnowaliśmy też: we dnie odbywaliśmy musztry śród osloniętej, leśnej polany; w nocy kuliśmy kosy; z Marjampola przywieziono żyda, który znakomicie odlewał kule. Niedaleko od Wesołego Oka był dwór Michalszki, Szuksztów, tam pamiętano o naszych potrzebach, synowie dziedzica, dwaj młodzi Szuksztowie, ledwo podrostki, zwozili nam pożywienie i mundury. Gdyby ale brak broni, możnaby powiedzieć, że oddział nasz był wcale dobrze wyekwipowany.

Aż pięknego dnia przybył do nas niespodzianie Szyszkowski, przyjechał na olbrzymim, parokonnym wozie, wyładowanym sianem — pod sianem zaś było 200 nowiutkich, belgijskich sztucerów z bagnietami, przemyconych przez pruską granicę, nieco szabel, pistoletów i zapas amunicji. Najmilszą jednak była dla nas wiadomość, że dowódca wysłany

przez Rząd Narodowy, już był w drodze i lada dzień miał tu przybyć.

Wodzem tym, wyznaczonym dla naszej partji przez władze centralne był Paweł Suzin.

Ciekawe były koleje życia tego niezwykłego człowieka. Jako syn wygnańca *), przyszedł na świat na dalekiej obczyźnie. Osierocony całkowicie, jeszcze w niemowlęctwie, wychowywał się na koszt rządowy w zakładzie t. zw. „dzieci żołdackich”, nie wiedząc nawet o swem polskiem pochodzeniu. Wysłany na Kaukaz, dzięki niepospolitemu mężstwu zdobył stopień oficerski; tam też po raz pierwszy od zesłanych Polaków dowiedział się o swem pochodzeniu. Krew przemówiła w nim. Porzuciwszy wojsko, ucieka zagranicę, razem z niejakim kapitanem Kaube, pochodzenia niemieckiego, lecz z matki—Polki. Odtąd stają się nierozłącznymi towarzyszami. Czas niejakiś byli we Włoszech, w Ge-

*) Nie był to Suzin, przyjaciel Mickiewicza, znany z trzeciej części „Dziadów”. Tamten, jako student uniwersytetu Wileńskiego, zesłany został w r. 1824 do Orenburga, skąd wrócił do kraju i umarł w Warszawie 1874 r. Ojciec Pawła Suzina był wojskowym lekarzem w Kownie, zesłany za udział w powstaniu 1831 r. umarł wkrótce potem na wygnaniu. Podobno znał także Mickiewicza z czasów jego pobytu w Kownie.

ni, gdzie Suzin wykładał w szkole wojskowej, oczywiście pod przybranem nazwiskiem. Ztąd tytułowano go przeważnie „panem profesorem”. Gdy wybuchło powstanie, przybył potajemnie do Warszawy, z kąd wysłany został w Augustowskie. Przyjechał chłopskim wózkiem, ubrany w szarą, samodzielową siermięgę, z nieodstępnym Kaubem.

Mroczkowski chciał go uroczyście powitać i przenieść nań swoją urojoną władzę, ale ceremonia się nie udała, Suzin machnął zniecierpliwiony szpic. różgą i zwracając się do nas krótko przemówił:

— Bracia! Koledzy! Wróg niedaleko, Felkner stoi pod Białwierzyszkami. Czy macie do mnie zaufanie?

Odkrzyknęliśmy jak jeden, że gotowi jesteśmy pod jego rozkazami biec się do ostatniej kropli krwi. Tylko Mroczkowski, obrażony, usunął się i tegoż dnia opuścił naszą partję.

Suzin nie próżnował. Był to nadzwyczaj energiczny mąż, około trzydziestoletni, słusznego wzrostu, tęgi, szatyn, nosił się nad wyraz skromnie, zamiast wszelkiej broni miał jedynie szpicróżgę, z którą przechadzał się przed frontem śród gradu kul. Mówił łamaną polszczyzną i nosił okrągłą, ciemną brodę, co go czyniło podobnym do moskala. Łagodny z natury, gdy jednak spozjrzał na kogoś swe-

mi przepaścistemi, czarnemi oczyma z pod krzaczastych brwi, w tamtym duch zamierał. Gdy dał rozkaz—to był on wypełniony bezwzględnie. Posłuch i dyscyplina panowały w oddziale jego wzorowe.

Tegoż dnia jeszcze dokonał przeglądu żołnierzy, broni i amunicji. Było w naszej partji około pięciuset, względnie nieźle uzbrojonych, trzeba było tylko ład wprowadzić w te szeregi, czego Suzin dokonał w ciągu kilku dni.

Niedaleko od nas, w lasach, stał Hłasko Wiktor ze swą partją około 300 ludzi. Chciał on się z nami połączyć, chętnie szedł pod rozkazy Suzina. Wodzowie zjechali się, celem porozumienia, w pewnej leśniczówce. Suzin był zdania, że przy partyzantce, jaką prowadziliśmy, daleko lepiej jest operować mniejszemi oddziałami, niepokojąc ustawicznie wroga. Ostatecznie stało na tem, iż Hłasko miał ciągnąć do Staciszek, my zaś mieliśmy się udać do Balwierzyszek i tam wydać moskalom bitwę. Gdyby nas rozgromiono, mieliśmy się cofnąć do Staciszek, gdzieby nas osłoniły świeże siły Hłaski, gdzie nieprzebyte lasy i bagna zapewniały bezpieczne schronisko.

Tegoż dnia ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy nieco kawalerji, coś ze 30 koni. Słabi to byli kawalerzyści, tyle tylko, że się nieźle na swych szka-

pach trzymali, z dubeltówkami przewieszonemi przez plecy. Suzin rozdzielił ich na dwie części: piętnastu stanowiło czoło pochodu, reszta szła w odwodzie. Środek formowała piechota. Suzin, jakkolwiek miał ślicznego bułankę, którego mu Mroczkowski darował, nigdy go nie dosiadał, chyba podczas musztry, gdy objeżdżał szeregi. Poza tem wolał przestawać z żołnierzami, nie znosił teatralnej pozy, nie otaczał się fałszywym blichtrem. Siedział z innymi, w jednym szeregu, z nieodstępną fajeczką w zębach, z szpicróżgą w rękę. Małomówny, w sobie skupiony... nigdy nie widzieliśmy śmiejącym się tego dziwnego człowieka.

Była godzina druga po południu, gdy kończył się nagle las, pod którego szliśmy osłoną. Na lewo, w dolinie, leżało miasteczko Balwierzyski — na prawo, na wzgórzu ujrzeliśmy wojsko moskiewskie: było tego około 300 dragonów, setnia kozaków, bataljon piechoty w liczbie około 600 żołnierza i dwie armaty polowe, pod wodzą Felknera.

Suzin wydał rozkaz, który w mgnieniu oka spełniono: sztucernicy rozsypali się w tyraljerkę, tworząc lewe nasze skrzydło. Było ich około 200, przeważnie dzielna młodzież szlachecka, dowodził zaś tym oddziałem Nieszokoć, chłopiec jak malowanie, blondynek, krew z mlekiem. Na prawem

skrzydle, w zwartym szeregu, stanęli kosynjerzy, sami chłopci litewscy, pod wodzą Dowgiałły.

Nasi rozpoczęli ogień; Suzin przechadzał się przed frontem, nie wyjmując z ust fajeczki, przez lunetę wypatrywał starszyzną moskiewską i wskazywał ją swym pejczykiem strzelcom, którzy wnet na cel brali.

Początkowo Moskale byli zaskoczeni, niespodziewając się z naszej strony zaczepki, wnet jednak sformowali się, zatoczono armaty, kilka granatów z piekielnym chichotem padło w sam środek kosynjerów, czyniąc znaczne spustoszenia. Wtedy Suzin zakomenderował: „do ataku!”

Nieszokość krzyknął: „za mną bracia!” i z bagnetem w ręku, na czele swej drużyny, rzucił się na ów pagórek, nie zważając na grad kul, którym go powitało. Zwarły się pierś o pierś wrogie szeregi... rozległy się jęki, krew bluznęła z ran... ale przeemoc liczebna Moskali była znaczna, po pierwszym, silnym natarciu nasz szereg zachwiał się, spychany w dolinę przez wroga, który zajmując ona wyżynę, miał bardzo dogodną pozycję i górował nad naszymi.

Wtedy Suzin skinął szpicróżgą. Pan Dowgiałło krzyknął na swoich litwinów: „pirmian!” („naprzód!”) Jak ci runą z prawego fianku na Moskale! Jakież

zapamiętaule ogarnęło chłopów, w milczeniu, za-
wzięcie, cięli swojemi kosami, a raczej rzezakami,
płatając łby moskiewskie. Co widząc, Nieszokó
skrzyknął swolch, raz jeszcze powlódł do ataku,
ostrza bagnatów pogrążyły się we wrogich pier-
siach... niezdzierzył moskał — z dwóch stron w że-
lazne ujęty kleszcze, pierzchnął w popłochu, zosta-
wiając swych rannych i trupy.

Pole bitwy w naszym było reku.

Suzin nie tryumfował. Jego desperacko za łeb
się złapał:

— Bóże! żeby teraz choć mały oddziałek kon-
nicy, starlibyśmy ich na prochu..

Ale trzydziestu naszych „kawalerzystów”, uzbro-
jonych w dubeltówki, dobrych było do wywiadu, nie
zaś do gonienia wroga, posiadającego bądź co bądź
kilkaset dragonów i setnie kozaków.

Chcąc niechcąc trzeba było zanlechać po-
ścigu.

Sprowadzono furmanki z sąsiednich wsi, ra-
nionych moskali ulokowano w Bałwierzyszkach —
naszych rozestaliśmy do zaścianków bardziej od-
ległych, gdzie byli bezpieczni przed pościgiem. Po-
ległych nazajutrz [ksiądz z chłopami pogrzebał pod
lasem.

Wojsko nasze tymczasem rozłożyło się na wzgórkę, korzystając z chwilowego odpoczynku. Ten i ów „nakręcił zegarek” — zegarkami bowiem nazywaliśmy płaskie, blaszane manierki z wódką, noszone przeważnie za cholewą.

Z miasteczka przywieziono chleba i słoniny — nie było więc głodno.

Słońce majowe przygrzewało, czuliśmy się tak, jak gdyby już nie było moskalów na świecie, wojna wygrana, Polska oswobodzona.

Na noc ruszyliśmy w dalszą drogę, w stronę Olity. Niebo się zachmurzyło, mżył drobny kapśniączek. Szliśmy otwartym gościńcem, przez pola, brzozowe zagajniki, po lewej stronie mając szeroką wstęgę Niemna, którego woda wśród mroków nocy, gdzieś niedaleko połyskiwała dziwnie tajemniczo.

Kilka razy spoczęliśmy na krótką chwilę, nie rozkładając ognisk. O poranku rozpogodziło się, słońce wstawało z niemnowej toni, na tle purpury wyraźnie rysowały się ciemne wieżycy kościoła. Gdy wchodziliśmy do Olity, miasteczko jeszcze spało; właśnie ozwał się dzwonek na ranne pacierze, bez komendy obnażyły się wszystkie głowy, „Zdrowaś Maryo” przebiegło szeptem przez nasze szeregi — „Szwenta Maria, Matina Diewo, meldżkes už mus griesznus”... wtórowali kosynjerzy.

Na ryneczku oczekiwał nas Włodzimierz Ja-
cuński; był to chłopak może 15-letni, syn powstań-
ca 1831 roku, który na kilku furmankach przy-
wiózł nam świeży prowiant—w sam czas, gdyż po
nocnym marszu byliśmy potężnie głodni. Cekał
na nas tu również z niedużą partją świeżo zwer-
bowanych powstańców niejaki Gleb, były oficer
rosyjski, artylerzysta. Przywiózł on własnej kon-
strukcji dwa działa... wydrążone w kłodach dębo-
wych, obitych żelaznem obręczami. Gdy jedni
z nas dobierali się do wozów z prowiantem, inni
zaś podziwiali owe arcydzieła sztuki puszkarskiej,
padły nagle strzały. Był to oddział kozacki, który
przechodził właśnie drugą stroną Niemna i nas
w ten sposób niespodzianie zaalarmował. Strzały
nie były szkodliwe, nie było też obawy, by nieprzy-
jaciel przeprowadził się na naszą stronę, gdyż promy
były zniszczone, zresztą kozacy unikali okazji,
w której można było oberwać po łbie.

Atoli Gleb uważał, że właśnie nadarza mu się
najlepsza sposobność popisanania się przed całym
naszym oddziałem. Kazał więc na gwałt zataczać
swoje armaty na brzeg niemnowy. Miał on też
swoich wyszkolonych puszkarzy z pośród szlachty
ci ustanowili się, przejęci swą ważną rolą, jeden
ze szczotką, drugi z lontem. Działa były nabite

Już poprzedniego wieczora. Sam Gleb je wyrychtował, zakręcił drewnianą śrubę, potem zakomenderował po rosyjsku (gdyż po polsku nie mówił wcale):
— Piii!

Rozległ się huk straszliwy, olbrzymi kłęb dymu zaslonił nam przez chwilę świat... działo nabite już z wieczora, nabrzękle następnie skutkiem deszczu, który lał przez całą noc — pękło. Połowę jego siłą wybuchu przerzuciło na drugą stronę Niemna, druga połowa, warcząc i kręcąc się przewróciła kilkunastu kosynjerów, przyglądających się temu widowisku.

Z za rzeki doszedł nas głosny śmiech kozaków, Gleb zaklął z rosyjska, litwini — kosynjerzy przeżegnali się, młody Jacuński zaciął konika i uciekł, Szuzin machnął tylko pejczykiem i odszedł.

Lecz uparty Gleb nie dał za wygraną, kazał zatoczyć drugie działo, z którem powtórzyła się ta sama historia.

Taki był żaloszny koniec naszej artylerji.

Niedługo popasając w Olicie, wyruszyliśmy na zachód. Następny postój mieliśmy w majątku Bendrach. Właściciela, p. Skarżyńskiego *) nie było,

*) Wiktor Skarżyński był również w powstaniu, zesłany następnie do Syberji. „Spisok polityczeskich prestupników“.

w jego zastępstwie przyjmowała nas jego kuzynka, panna Józefina, dzielna dziewczyna, pomagał zaś jej miejscowy wójt Krupowicz. Zabito najtłustszego welu ze stada, na dziedzińcu rozłożono ogień, w olbrzymich kotłach, przyniesionych z browaru warzyło się mięswo z grochem.

Wypoczęci i nakarmieni ruszyliśmy wieczorem rżną w dalszą drogę. Miałliśmy majątek i miasteczko Mirosław ze starym klasztorem i kościołem.

Około północy ujrzelśmy w blaskach księżycy lśniąca olbrzymią taflę jeziora Obelja. Noc była ciepła, pogodna. Rozłożyliśmy się na płaskach wybrzeża na krótki spoczynek. Na jutro, ledwo świt, ruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy z krótkimi tylko przystankami dzień cały, aż pod wieczór stanęliśmy we wsi Staciszkach, gdzie nas oczekiwał ze swym oddziałem Hłasko. Po krótkiej naradzie obydwu przywódców plan dnia następnego został ułożony:

Hłasko miał się cofnąć na południe, mając za sobą olbrzymią puszcę, dokąd w razie klęski mógł się bezpiecznie schronić.

My cofnęliśmy się na północ. Za sobą mieliśmy wielkie Jezioro Metelskie. Pomiedzy naszym oddziałem a partją Hłaski była wieś Staciszki,

którą przecinał wielki gościniec. Tamtędy, według wszelkiego prawdopodobieństwa miał przecho-
dzić wróg. Plan bitwy polegał na tem, by go,
skoro się ukaże, niespodzianie wziąć w dwa
ognie.

Mimo niesłychanie ciężkich warunków, w ja-
kich wypadło nam, powstańcom, walczyć, mimo
największych trudności, piętrzących się na każdym
kroku, które całe to nasze przedsięwzięcie czyniły
beznadziejnem, prawie bezbronni, traktowani przez
wroga nie jako strona wojująca, lecz jak zwykli
bandyci, tropieni jak zwierzę leśny, zmuszeni nawet
rannych swych ukrywać po różnych budach le-
śnych — pod jednym względem górowaliśmy nad
moskalem: sympatje ludności miejscowej bezwzględ-
nie były po naszej stronie, a to w wojnie, zwa-
szcza takiej jak nasza, partyzanckiej, ogromnie dużo
znaczy.

Zastrzegam się, że to, co mówię, dotyczy
przedewszystkiem moich stron rodzinnych, Augu-
stowskiego i Suwalszczyzny. W innych częściach
kraju bywało rozmaicie, były takie okolice, gdzie
ludność wiejska bezwzględnie sprzyjała powstań-
com, łączyła się z nimi w bratnich szeregach, były
niestety i takie, gdzie stosunek otumanionej przez
moskaliów ludności do powstańców, był wręcz nie-

przyjazny, nawet otwarcie wrogli. Nic podobnego u nas; tu śmiało każdemu można było zaufać: pan ze dworu, szlachcic zagonowy, lub dzierżawca, chłop-litwin, Niemiec-kolonista, nawet żyd-arendarz — wszyscy stanowili, jak gdyby jeden związek braterski, wzajemnie się popierali, uzupełniali się wzajem, a wszyscy prześcigali się w świadczeniu nam, którzy wyszliśmy z bronią w rękę, wszelkiej pomocy, dostarczając prowiantów, przemycając broń, pielęgnując rannych, a przedewszystkiem śledząc za każdym obrotem wroga.

Pod tym względem zwłaszcza, wielkie usługi oddali nam żydzi. Nie przeczę, że byli między nimi i zdrajcy, byli i tacy, którzy obydwu stronom służyli, tu i tam ciągnąc korzyści. Podobne wypadki zdarzały się jednak dopiero ku końcowi powstania — w początkach ogromna większość żydostwa była nam przychylna i to bezinteresownie, jako że i odwdzięczać się materialnie nie bardzo mieliśmy czem.

Bywały też wśród żydów przykłady — wprawdzie bardzo rzadkie — prawdziwego bohaterstwa.

Tak, pamiętam, był w naszej partji młody żydek, Lejbczyk (o właściwe nazwisko nikt wtedy nie pytał). Jako szeregowiec, ze sztucерem

w rękę walczył on pod Balwierzyszkami, pod Olitą, pod Sapieżyszkami i pod Staciszkami, ramię przy naszym ramieniu, siedł dzielnie na bagnety.

Potem pełnił funkcje żandarma i znaczne usługi oddał powstańcom, donosząc o każdym ruchu wojsk moskiewskich, o czem miał dokładne wiadomości od swoich współwyznawców. Pewnego razu, chcąc na czas uprzedzić któryś z naszych oddziałów o grożącym niebezpieczeństwie, pedził przez pola, łąki i rowy konno, galopem. Niestety, można mieć szlachetne serce, lecz być lichym kawalerzystą: Lejbczyk, natknąwszy się na jakąś przeszkodę, zleciał ze swej szkapy i złamał sobie nogę. Znaleźliśmy go omdlałego z bólu i ulokowaliśmy w niedalekiej karczmie, gdzie, pod opieką swoich, zdawało się być bezpiecznym. Jednakże wytropili go tu kozacy, związanego przewieziono do Suwałk, do więzienia.

Tu oblecywano mu śletylko zupełną bezkarność, ale jeszcze znaczną nagrodę, gdyby przeszedł na służbę moskiewską. Nie wydał nikogo; nie stał się Judaszem, i śmiało stanął pod szubienicą.

Lecz wróćmy nad jezioro Metelskie, gdzie śród karłowatego, rzadkiego lasu, naprzeciwko Staciszek,

rozłożył się Suzin ze swą partją. Posiadając tak doskonały wywiad—jak się wyżej rzekło—byliśmy dokładnie poinformowani o ruchach wroga, wiedzieliśmy, iż niedawno wyruszył w ślad za nami z Olity, i że przy najbardziej forsownych marszach wcześniej niż nazajutrz, rano, nie może być w Staciszkach.

Zawiadomiliśmy o tem Hłaskę, stojącego w lesie, po przeciwnej stronie gościńca. Suzin pozwolił nam, zmęczonym długą drogą, na krótki nocny spoczynek.

Ustawiono broń w kozły, rozpalono ogalska, przy których warzyła się wiecezka. Po skromnym posiłku i wspólnej modlitwie usnął obóz nasz snem kamiennym. Noc była cudna, letnia, suchy piasek i mech borowy służyły dla strudzonych członków za najwygodniejsze łoża. Co piąty pełnił wartę. Suzin sam kilkakrotnie w nocy obchodził strażę, nakazywał baczność, gdyż okolica wśród jezior była piaszczysta, piasek jak wiadomo głuży krok, więc trudno słyszeć, gdy wojsko nieprzyjacielskie nadchodzi.

Nad ranem, ledwo świt, postawił swój oddział na nogi. Milczący zwykle i smutny Suzin dnia tego wyjątkowo był pogodny, uśmiechnięty, zgromadził nas dookoła siebie i przemówił krótko:

— Dziś, bracie, dobrze celujcie, i nie uciekajcie, gdy wam wodza nie stanie... bo dzisiaj moja śmierć.

Rzuciliśmy się do niego, pytając skąd takie przecucie, lecz on spokojnie, stanowczo powtórzył:

— Dziś moja śmierć...

Potem ustawił nas w tyraljerkę i sam, jak zwykle, ze swą szpicróżgą, powlódł, idąc na czele szeregu. Przed nami, na wzgórzu, leżała jeszcze we mgłach poranku spowłta, wleś Staciszki. Pierwsze promienie wschodzącego słońca padając skośnie, oświeciły dach karczmy przydrożnej. Wtedy ujrzeliśmy, jak jakaś czarna postać wgramoliła się na komin i widocznie ku nam spoglądała.

— To szpiegi! — zawołało kilku z nas. Suzin przyłożył do oka lunetę i po chwili oświadczył.

— To oficer rosyjski — poczem skinął milcząco na najbliższego sztucernika, Orzechowskiego.

Orzechowski wziął na cel... wystrzał rozdarł ciszę poranku... ciemna postać zwinęła się dziwnie i runęła z komina w dół.

W odpowiedzi na to posypały się strzały moskiewskie od strony wsi, nie bardzo nam szkodząc, gdyż szliśmy w pojedynkę, osłonięci płotami, sadami i zaroślami.

Suzin szedł na czele... w tem zachwiał się,
chwycił za serce, krew mu buchnęła z rany i runął
na wznak, jak drzewo podcięte siekierą.

Rzuciliśmy się ku niemu... lecz był to już
trup. Kula, co przecięła to życie, padła zdrad-
lecko z za krzaku, gdzie był się przyczaił kozak.

W tej samej chwili padł od moskiewskiej kuli
nieodstępny towarzysz Suzina — Kaube.

Ktoś krzyknął: „panowie ratujcie się, naczelnik
zabity!”

Wszczął się straszliwy popłoch. Pierwsi rzu-
cili się do ucieczki kosynjerzy litwiał, próżno pró-
bowali ich powstrzymać Nieszokoć i Dowgiałło.
Widząc co się dzieje, schwyciłem konia, który pę-
dził luzem przez pole, po zabitym kozaku, wsko-
czyłem nań, zajechałem z boku, zagradzając drogę
uciekającym. Wszystko było daremne; oddział
poszedł w rozsypkę.

Hłasko, stojąc po drugiej stronie gościńca,
widząc co się dzieje, cofnął się w głąb lasu, bez wy-
strzału.

Tegoż samego dnia, w pobliskim majątku Ru-
dominie, młoda żona Suzina powiła syna.

Po niefortunnej bitwie pod Stalczkem otrzymałem rozkaz od wojewody Rkordę, bym do oddziału więcej nie wracał, lecz objął zarząd nad rewirem strzelców konnych, czyli żandarmów, województwa Augustowskiego. Obowiązki żandarmów były przeważnie wywiadowcze, trzeba było ustawicznie informować oddziały powstańcze o każdym ruchu wojsk rosyjskich. Dalej należało do nas wybieranie podatków, dostarczanie furazju, przemykanie transportów zagranicznych broni, amunicji, siodeł, przede wszystkim zaś łapanie szpiegów, których wieszaliśmy natychmiast, bez pardonu. Służbę tę pełniłem od połowy czerwca do ostatnich dni października.

Kazano mi udać się do Suwałk, gdzie otrzymałem znacznie większą kwotę pieniędzy na kupno koni; do pomocy dodano mi p. Luca i Wiśniewskiego. Jeździliśmy z jarmarku na jarmark, zakupione konie wysyłaliśmy następnie do punktów zbornych w lasach.

Bardzo pomocni byli nam przytem miejscowi włościanie. Przeszkód nie mieliśmy żadnych, ani trudności, gdyż wojska moskiewskie stały przeważnie większymi oddziałami, o których byliśmy dokładnie poinformowani i które omijaliśmy prze-zornie.

Policja moskiewska była bardzo nieliczna, byli to przeważnie Inwalidzi, którzy siedzieli cicho.

Pewnego razu, gdy przejeżdżałem przez Łankieliszki, patrząc na ganku, przed swą plebanją siedzi znajomy mój ksiądz Dmochowski, staruszek 80-letni i ćmi fajeczkę. Ujrzawszy mnie, klasnął w dłoń, porwał się z żywością dwudziestoletniego młodzieńca:

— Wielka powinał — powiada — teraz i ja tak dobrze jak oficerem jestem!

— A któż to — pytam — mianował księdza kanonika oficerem?

Tu opowiedział mi, jak zwabił dwóch moskiewskich policjantów, inwalidów, nakarmił, napił i pijanych zamknął do piwnicy:

— Teraz — jak Bóg da — prędko będzie wymiana jeńców, to i ja będę miał dwóch na wymianę, za co mnie chyba nie minie patent oficerski...

Powiadam: „Bój się Boga, księżę kanoniku, moskale naokoło, dowiedzą się — księdza powieszą i kościół spalą... puszczaj ich, księżę na suche lasy!”

Stropił się mocno staruszek, ale usłuchał. Moskalów wyciągnął z piwnicy, znów nakarmił i spoił, kazał im przysiąc, że będą milczeć, poczem wypuścił.

Był w Marjampolu naczelnikiem wojennym niejakiś Lichaczow, miał żonę Niemkę, która pojechała w odwiedzinach do krewnych, do Wierzbolowe. Gdy wracała, zaczęliśmy się w lesie, za Marjampolem, pojmać panią naczelnikową i napisali do męża, by natychmiast wypuścił hr. Rozwadowskiego i księdza Gryglatysa, uwieczonych, w przeciwnym razie powiesimy żonę. Lichaczow przeraził się nie na żarty, natychmiast pojechał do Suwałk, do woj. gubernatora Baklanowa, na którym wymógł wypuszczenie obydwu jeńców. Hrabia skorzystał i umknął natychmiast zagranicę, natomiast ksiądz najspokojniej powrócił do Sejn, gdzie był profesorem seminarjum. Po paru dniach aresztowano go ponownie... był z nami później w katordze.

Stał w Pilwiskach oddział wojska rosyjskiego, trębaczem był tam chłop litewski, Jeksztys. Zaprośszy go raz na wódkę, namówiłem, by przeszedł na naszą stronę—razem ze swą trąbą, co też uczynił. Następnie podkładał się pod obóz rosyjski i trąbił na trwogę, poczem całe wojsko przez całą noc stać musiało w pogotowiu.

Powtarzało się to kilka razy, ku wielkiej naszej uciechy, zanim nareszcie Moskale zmiarkowali sprawę. Jeksztys szczęśliwie uciekł za granicę i żył następnie w Krakowie.

Nieraz odbywałem swe wędrówki wzdłuż ; wierz po kraju w przebrańlu chłopskiem, w łapciach, w zgrzebnej koszuli, umorusany, ale mnie chłopci i żydzi zeall, nieraz (bez złego zresztą zamiaru) palcami wytykali:

— A zyl der Karpowicz...

Był przy wojsku moskiewskiem chłop Dydwald, szpieg, który dużo nam szkody przyczyniał. Otrzymałem tedy rozkaz Dydwalda unieszkodliwić. Kilka razy stawiałem nań zasadzki — zawsze potrafił się wymknąć.

Poszedłem więc po radę... do żyda. Ten pokręcił tylko głową, powiada: „on jest tak chytry, że go zwykłym sposobem nie weźmiecie — trzeba się przebrać w mundur moskiewski”.

Jakoż tak uczyniłem. Dostałem kilka mundurów rosyjskich, sam przywdziałem oficerski, kilku kolegów przebrałem za moskiewskich żandarmów. **W Głiwach** stał podówczas mały oddziałek rosyjski, przy którym znajdował się Dydwald. Przyjeżdżamy tam: rozkazuję podoficerowi, aby mi wydał Dydwalda—ten, zważawszy pismo nosem, młotał się, zaklinał, ale żołdaci usłuchali mnie, jako oficera i związanego szpiega swego wydali. Odwiozłem go natychmiast do partji Szpaka, stojącego niedaleko, w lasach, który go niezwłocznie, kazał powiesić.

Zrzuciwszy mundur moskiewski, wlażem znowu w skórę chłopską. Nieszczęście chciało, że natknąłem się na ten sam oddziałek moskiewski. Soldaci nie mało byli zdziwieni, ujrawszy niedawnego oficera w przebraniu chłopskiem. Aresztowali mnie i odprowadzili do swego setnika Diektiarowa, który stał w karczmie, w Głwach, u Niemca Graumana.

Tu rozpoczęła się pijatyka. Córka Graumana dolewała kozakom dzielnie spirytusu, kręcąc się dookoła, nieznacznie, rozluźniła postronek, którym mi skrupowano ręce, jednocześnie położyła na półce, przy drzwiach, rewolwer. Jednym susem znalazłem się przy drzwiach, porwałem broń i w mgnieniu oka byłem już na łące, w ogrodzie, wśród chmielu. Kozacy wypadli za mną, przeszukali cały chmielnik—ja zaś tymczasem siedziałem przykucnięty pod krzakiem malwy, trzymając mocno w garści rewolwer, zdecydowany drogo okupić swe życie. Ale kozacy, nie znalazłszy mnie w chmielu, wrócili do karczmy, kłanąc na czem świat stoi. Ja tymczasem, pełną parą, dostałem się do gospody Bohdanowicza, który, mimo nazwiska czysto polskiego, był również Niemcem. Ten schował mnie, o zmroku zaś odwiózł na swej bryczce w bezpieczne miejsce.

Niebawem po raz wtóry miałem się dostać w ręce moskiewskie. A było to tak:

Był w miasteczku Wiżajnie, na samej granicy pruskiej, żyd, podrabinek, (nazwiska nie pamiętam) który przechowywał kasę kahałą.

W tym czasie właśnie wydany został nakaz władz moskiewskich, wszelkie komasalne i t. pod. pieniądze niezwłocznie oddawać w depozyt rządowy, rzekomo w celu ochrony ich przed powstańcami. Sprytny żydek przewąchał pismo nosem, iż był to depozyt na wieczne nie oddanie, a że bardziej sprzyjał Polakom niż Moskwie, poszedł do miejscowego burmistrza, p. Sadowskiego, oczywiście dobrego polonusa i powiada: „Co mam oddawać kasę rządowi, niech przyjdą powstańcy i zabiorą.”

Sadowski niezwłocznie zawiadomił o tem władze powstańcze, które z kolei mnie zleciły tę robotę.

Przebrałem się dla odmiany za cieślę; idę tedy z siekierą i wiankiem na plecach, w „klumpiach” na nogach, drogą z Kalwarji do Wiżajn. Przed samem miasteczkiem zatrzymuje mnie moskiewska pikietka. Widać żołdatom wydała się fizjonomia moja zbyt znajomą, gdyż pod silną strażą odprawili mnie do miejscowego aresztu.

Dom, w którym mieścił się areszt, był niemal kwadratowy, okolony wązkim dziedzińcem, otoczony

bardzo wysokim parkanem. W jedynej izbie było coś około dziesięciu więźniów, w tej liczbie, pamiętam dwie siostry, panny Pilchowskie. Przeważnie leżało to pokodem na podłodze lub siedziało na ławie, pod ścianą, drzemiąc. Ja zaś oglądałem się i myślałem o ucieczce. Wtem patrząc za oknem, na wielkiej kupie drew, stał pan burmistrz Sadowski i pokazuje mi, że z tej kupy bardzo łatwo można przeskoczyć przez parkan. Bał tylko jak się dostać na podwórko, skoro drzwi zamknięte a okno zakratowane? Po niedługiej chwili nadszedł stróż i przyniósł mi kubek herbaty i chleba. Drzwi zostawił za sobą niedomknięte, ale za drzwiami stał żołdat z bagnietem. Myślałem: może tak skoczyć niespodzianie, chlusić żołdatowi w ślepie gorącą herbatą? Tymczasem stróż wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi... zgrzytnął zamek... jedyna okazja minęła, ja zaś bogatszy byłem w doświadczenie, że gdy chodzi o życie, nie czas na rozmysły.

Minęło może pół godziny, alicci wraca mój stróż i wlecze za sobą jakiś olbrzymi drąg, którym poczyna mieszać w plecu, w którym ogień się palił, gdyż mimo wczesnej jeszcze pory, dzień był słotny i zimny. Od rozżarzonych węgli zajął się ów drąg, co widząc wybiega stróż z oną płonącą i dymiącą pochodnią, by ją zagasić w kałuży błotnej

na podwórzu. Na ten raz już się nie namyślałem, lecz rzuciłem się za nim, otoczony obłokiem gryzącego dymu. Zanim żołdat się spostrzegł, byłem już na onej kupie drzew... wystrzelił, lecz spudłował... Ja zaś przesadziłem parkan i byłem na wolności. Zaalarmowani wystrzałem żołdaci rzucili się za mną kupą... tuż była rzeczka... przepływałem ją wśród gradu kul... i znalazłem się bezpieczny po stronie pruskiej.

Graniczna straż pruska odprowadziła mnie do najbliższej strażnicy, gdzie mnie natychmiast zwolniono. Przenocowałem u znajomego pana Grabowskiego, który, mimo polskiego nazwiska, był Niemcem, synem pastora. Nazajutrz, wypoczęty, przebrany, wróciłem do kraju.

Trudna była i niebezpieczna służba żandarmów, gdyż skoro który z nas dostał się w ręce moskiewskie, natychmiast, bez sądu, został powieszony... taka już była na nas zawziętość. To też oddział, którego byłem naczelnikiem, liczący początkowo 150-ciu konnych strzelców, stopniał do kilkunastu. Niektórzy uciekli, większość wywieszano.

W końcu września nastąpiły czasy niezmiernie ciężkie, partje litewskie rozbite, przekroczyły Niemien, cofając się na zachód. Były tam niedobitki partyj Sendka, Lubicza, Ostoi, Mojżela, Leona Cze-

chowicza, Czudnowskiego... Za nimi wład napłynęły ogromne siły moskiewskie, napierając ze wszystkich stron. Co dnia niemal w różnych punktach bywały mniejsze i większe utarczki. Ja byłem łącznikiem pomiędzy poszczególnymi oddziałami, zadaniem mojem było zebrać je do kupy, obznajomić z miejscowością i przygotować wszystko do decydującej bitwy, gdyż dalsza ucieczka była odcięta, byliśmy dookoła otoczeni, w matni.

Objęliśmy z wędzami całą okolice, ostatecznie padł wybór na Dębową Budę. Była to stacja pocztowa, na szosie wiodącej z Kowna do Marjampola i Kalwarji. Budynek stacyjny stał w środku polany, którą przecinała rzeczka Wabalksznia, dookoła zaś był las.

Pozycja z tej racji była dogodna, iż zaraz na zachód rozpoczęła się puszcza preńska, która ciągnęła się aż do granicy pruskiej. Tu więc zaczęły ścigać poszczególne oddziały. Dzięki temu, iż połączyły się szczątki różnych partyj, liczebnie siła nasza niezgorzej się przedstawiała, natomiast stan wojska powstańczego był fatalny, uzbrojenie najnikczemniejsze: kto z kosą, kto z drągiem, obdarcie i bosi, lub w łapciach, poprzez strzępy ubrania, poprzez podarte koszule, świeciło nagie ciało. Względnie najlepiej przedstawiały się oddziały

Sendka i Lubicza. Sendek był to już mąż około 40 letni, pięknej, szlachetnej postawy, b. pułkownik wojsk rosyjskich na Kaukazie, Lubicz młodym był porucznikiem, niedawno wypuszczonym z korpusu oficerskiego. Ci dwaj objęli faktyczne dowództwo.

Pierwotny projekt był przedrzeć się do lasów Giełgudyszkowskich, gdzie była zakopana większa ilość broni, wystarczająca dla uzbrojenia całej naszej gromady, niebawem jednak okazało się, iż plan ten był niewykonalny, gdyż Moskale szli aż z trzech stron: z Pren, z Marjampola i od Iślauża. Pozostawało więc na miejscu oczekiwać stanowczej rozprawy.

Rozłożyliśmy się na wzgórku, mając przed sobą Wabalksznię. Wprzód zburzyliśmy mostek na szosie, co jednak nie miało większego znaczenia, gdyż Wabalksznia (dopływ Pilwy) jest to mały strumyczek, który łatwo przejść w bród, na dobrym zaś koniu można ją przesadzić. Nocy tej nikt nie spał, ogni nie wolno było palić, nawet fajkę, jeżeli kto ćmił, to tylko pod przykryciem burki. Głodno nie było, gdyż z wieczora chłopcy przywieźli nam chleba, sera, masła, wódki. Natomiast chłód przejmował do kości, wszak była to już druga połowa października. Deszcz wprawdzie nie padał, lecz wilgoć była w powietrzu, niebo zachmurzone,

ciemność zupełna dookoła. Za nami, od strony Kowno, czerniał bór sosnowy, przed nami jedno-
stajnie szemrał strumyk. Jedyne światelko migo-
tało w oknie budynku stacyjnego, po przeciwnej
stronie Wabalkszni, dalej było tam jeszcze kilka-
naście chat żydowskich, te stały pustką, gdyż żydzi
pouciekali z wieczora. Cisza panowała zupełna,
tylko Sendek i Lubicz krążyli przez noc całą, niby
dwa cienie, szeptem upominając, byśmy gotowi
byli, nie spali, nie wypuszczali broń z garści.
Co pewien czas, chyłkiem przekradał się jakiś
chłop, lub baba, z doniesieniem, że Moskale idą:
od strony Marjampola, Pren, Wyłkowyszek... że są
o parę wiorst zaledwo... o wiorstę:

Okolo godziny czwartej w nocę nadeszła
wiadomość, że Moskale już zajęli budynek stacyjny,
położony na przeciwległym brzegu Wabalkszni.

Sendek natychmiast podjął nas na nogi i po-
czął formować szyk bojowy. Pośrodku, na szosie,
stanęły bardziej wyborowe siły, uzbrojone jako
tako w broń palną, chociaż tylko myśliwską. Obydwa
skrzydła zajęli chłopci—kosynjerzy, przeważnie litwi-
ni. Stali oni po obu stronach szosy, tworząc w ten
sposób półkole. Małe dano konia—kasztanka (dziś
jeszcze żał mi dzielnego towarzysza w tym naj-
straszniejszym dniu mego życia). Zadaniem mojem

było niby ples owczarski oganiać kosynjerów, jako, że litwini, dopóki biją, to biją kupą, zawzięcie, gdy jeden pocznie uciekać, to wszyscy pędzą za nim, na oślep, jak owce.

Pian bitwy był bardzo prosty: skoro Moskale poczną budować most na Wabalszni, powitamy ich ogniem z broni palnej, skrzydła zaś nasze przeprawią się wbród przez rzeczkę i wezmą nieprzyjaciela, jak gdyby w żelazne kleszcze.

Poczęło świtać. Mgła gęsta zaścieniała polanę. Przeciwnika nie było widać, tylko słycać było po tamtej stronie strumyka gorączkową krzątanie, głosy komendy, miarowe kroki maszerujących żołnierzy, tętent koni. Potem coś ciężko zaczęło dudnić... zgrzyt i brzęk łańcuchów — to zataczano armaty.

Słaby błysk wśród białej mgły porannej, potężny huk, któremu echem odpowiedziała ściana lasu — pierwszy padł granat w nasze szeregi... za nim drugi... trzeci... każdy celniejszy. Próbowaliśmy odpowiedzieć — licha broń myśliwska nie donosiła. Tymczasem armaty coraz gęściej waliły, coraz bardziej zabójczy stawał się ich ogień. Zmiótł on w mgnieniu oka trzy sekcje kosynjerów... jeszcze się trzymali, ale widocznem było, że lada chwila rozprzną się ich szeregi i pójdą w rozsypkę.

Więc Sendek nakazał atakować: ruszyliśmy ławą naprzód.

Mgła poranna poczynała rzednąć. Nieprzyjaciel, zaniechawszy budowy mostu, pchał swą plechotę wbród. Starliśmy się pierś o pierś, lecz kosy chłopskie i sękacze przemogły moskiewskie bagnety. Wtedy na pomoc moskałom przybyli spleśzeni dragoni. Nasza szlachta, zajmując środek szosy, powitała ich ogniem z ręcznej broni, prosto w twarz. Obydwa skrzydła kosynjerów parły potężnie. Sendek spokojnie chodził przed frontem, wskazywał, rozkazywał, zachęcał, niby dobry gospodarz w dzień żniwa. Lubież, jako że najmłodszy, nie wytrzymał: porwał kosę od poległego litwina i sam jak zwykły żołnierz walił przez łeb moskałów. Śród dymu, który zasłonił widnokrąg, słychać było tubalny głos Mojżela: „Do szeregu, durniu!”.

Trzy razy szedł moskał do ataku, na bagnety, trzy razy odparty, cofnął się za rzekę. Rzeź była taka, że woda Wabalkszni zafarbowała się na czerwono. Już, już zdawało się, że nasi górą... gdy w tem nagle, za nami, zagrały karabiny, w plecy nam sygnął się grad ołowiu.

Jak już wspominałem, od strony północnej był gęsty las sosnowy, tędy szosą z Kowna, niepostrzeżony przybył nowy, silny oddział moskiew-

ski, przyprowadzony przez szpiega, byłego soldata, Zagórskiego. Moskale, wyszedłszy z lasu, rozwinęli się u skraju jego szerokiem półkolem i rozpoczęli morderczy ogień.

W naszych szeregach zapanowała chwilowa kensternacja... potem dzień sądny! Pierwsi kosynjerzy bezprzytomni rzucili się do ucieczki. Próżno próbowałem ich wstrzymać, obalili mnie razem z moim kasztankiem. Zresztą uciekać nie było do kąd. Oddział moskiewski, który tak niespodzianie zaskoczył nas od strony Kowna, rozwiniawszy się na razie w półkole, obecnie począł je zewęzać, tak, że obydwa skrajne skrzydła jego dotykały już rzeczki Wabalkaszi. Z drugiej strony trzy oddziały nieprzyjacielskie, które nadeszły z Marjampola, Prens oraz Iślauża, trzema kolumnami napierały od południa, południo-wschodu i zachodu. Około mostku zawiązała się ostateczna, krwawa rozprawa. Byliśmy w matni, otoczeni dookoła; podczas gdy kosynjerzy, potraciwszy głowy, rzucali się tam i sam w coraz ciasniejszym półkolu, którego jak gdyby cięciwą stanowiła srebrna struga Wabalkaszi, szlachta skupiła się koło mostku, na szesle, gotowa jak najdrożej sprzedać swe życie. Tu śmiercią bohaterską poległ Sendek, Lubicz został raniony, resztę wycięto.

Widząc ostateczny pogrom, skrzyknąłem kilku najdzielniejszych towarzyszków i upatruwszy słabsze miejsce w opasującym nas wrażym łańcuchu, rzuciliśmy się całym impetem, zdecydowani przetrząść się lub polec. Mój kasztanek ugodzony w pierś moskiewską kulą, stanął dęba i runął. Jazawczasu zdążyłem wyswobodzić nogi ze strzemion i korzystając z chwilowego zamieszania, przejechałszy szabłą przez pysk najbliższego żołdaka, drugiemu zajechawszy sztychem pod żebra, przedarłem się przez kordon; za mną poszła reszta towarzyszków.

Dopadliśmy do pobliskiego lasu... pogoń tuż... za pięta!...

Wpadliśmy w gąszcz borową, smagały nas po twarzach gałęzie... czepiały się ubrania, szarpiąc je na strzępy... za nami goniąca sfera żołdatów... Ich dzikie wrzaski:

— *Stoj miatieżnik!... Nie ujdiesz!... ławi jewol... kalil!...*

Krzyknąłem na towarzyszków, by się rozsypali i każdy w inną uciekał stronę. W ten sposób uniknęliśmy pogoni.

Dobrze po południu dotarłem do Starej Rudy. Był to nieduży folwarczek, wśród lasu, nad rzeką Pilwą, własność p. Grabowskiego. Patrząc: allści za mną ciągnie około dwudziestu niedobitków. Gra-

bowscy, ujrawszy nas, wyskoczyli na ganek i dawaj zapraszać miłych gości.

— A dajże waćpan pokój! Tu moskale wślad za nami. Nas wezmą, waćpana spalą.

Lecz gospodarz, nie bacząc na osobiste niebezpieczeństwo, nastawał... Wzięc jako śmiertelnie znużeni i gładni pokrzepiliśmy się naprędce gościnnie ofiarowaną wędliną i chlebem, przepijając starką, poczem towarzysze mol rozeszli się, każdy w inną stronę. Ja, pozostawszy na chwilę, przewdziałem się w komarze znówu za chłopca, założyłem do wózka konia Grabowskiego, i bezpieczny w mem przebraniu pojechałem do księdza w Skrawdziach, żeby nazajutrz przyjechał pochować poległych. Od księdza udałem się do znajomego, p. Lipińskiego, który był również żandarmem, moim podkomendnym i mieszkał tu w swoim dworku. Zebrało się jeszcze kilku sąsiadów, p. p. Przybyłski, Wagner i inni, którym opowiadałem wypadki dnia ubiegłego. Tak nas przy lampce miodu i niepustej misie zaskoczyła noc. Kolonja Lipińskiego leżała tuż przy szosie kowieńskiej, może półtorej mili od Dębowej Budy, w stronę Kowna. Dabrze po północy słyszeliśmy powracających do Kowna mekalki: mlarowy krok plechoty, tętent koiak, turkot wozów i armat. Pośpiesznie zgasiliśmy światło....

Najęutrz ledwo świt, na chłopskim wózku z Wagnerem wyruszyliśmy w stronę pobojowiska. W towarzystwie Wagnera czułem się bezpiecznie, gdyż był on Niemcem, a tych nie ruszano. Ranek był pochmurny, jeslnny, gdy przybyliśmy na miejsce. Właśnie wracali żydzi z lasu i zagospodarowywali się w swych opuszczonych chatach. Budynek stacyjny zniszczony był całkowicie, połamane płoty. Pele bitwy stratowane, pokryte odłamkami broni, krwawymi strzępami ubrania. Najstraszniej wyglądało na szosie, nad rzeczką, gdzie rozegrał się ostatni akt walki. Belki zburzonego mostku pokryte były krwią zakrzepłą.

Niedaleko, pod lasem, było stare cmentarzy-sko z roku 1831-go. Tu spoczywali Puszat, Frenzel, Schöne.

Stare, spróchniałe krzyże znaczyły jeszcze ich mogiły. Tutaj chłop, zawiadomieni przezemnie jeszcze dnia poprzedniego, wykopali obszerny dół w żółtym piasku borowym. Do tego dołu znieśli naszych poległych, gdyż swolch Moskale z sobą zabrali do Kowna. Gdy przyjechałem, kończyli właśnie swą smutną robotę. Trupy straszliwie pocięte leżały bez trumien, rzędami, w jamie. Grabarze znosili jeszcze pojedyncze członki, zebrane na pobojowisko: ten rękę, ów nogę...

Nadjechał ksiądz z Krawdzi. Pokropił jamę...
zaśpiewał „*libera me*”... poczęliśmy rękami zasypy-
wać grób świeży, aż wyrósł kurhan z płasku
borowego, na nim zatknęliśmy krzyż, świeżo oclo-
sany, sosnowy, ociekający żywicą...

Wieczny wam pokój, koledzy!

Po klęsce pod Dębową Budą, właściwie skończyło się w naszych stronach powstanie. Kto mógł, uciekał zagranicę. Mojem zadaniem, jako szefa konnych strzelców, było ułatwiać ucieczkę, przeprowadzać przez granicę, jednocześnie zaś pochować w bezpiecznym miejscu transporty broni, której znaczna ilość i w doskonałym gatunku przyszła z Prus... zapóźno. Gdy wszystko było skończone, otrzymałem rozkaz, czy pozwolenie, salwować własne życie i przedostać się za granicę, gdyż zaoczny wyrok śmierci, dawno wydany został na mnie przez rząd carski.

Wręczono mi listy polecające do Berlina i Paryża.

Szczęśliwie przeszedłem granicę pod Ejdkunami.

W Paryżu powodziło mi się nienajgorzej, o tyle przynajmniej, że nie potrzebowałem pobierać zapomogi z kasy emigracyjnej. Otrzymałem zajęcie w ślusarni, zarobek mój wystarczał zupełnie na mo-

je skromne potrzeby, a nawet mogłem niekiedy udzielić pomocy biedniejszym kolegom.

Rzecz charakterystyczna: podczas gdy w szeregach powstańczych panowała równość i prawdziwe braterstwo—tu, na emigracji, ^oostro i dotkliwie zaznaczyły się różnice stanowe. Spotykałśm się wprawdzie we wspólnej jadłodajni, przez nas „Kalifornią” nazwanej; były tam jednak dwie sale: w jednej obiad kosztował 5 franków, w drugiej, gdzie obiadawała brać rzemieślnicza — 50 centymów. Pano wie, którzy za pięć franków jadali, przestali negle nas poznawać, co im jednak nie przeszkadzało pobierać zapomóg z kasy emigracyjnej, a niekiedy nawet u nas, żyjących z pracy rąk naszych, zaciągać drobne pożyczki... na wieczne nieoddanie. Poza tem udawali wielkich panów i rycerzy, chociaż w powstaniu odznacza li się bardziej sukcesami u płci pięknej *).

Poformowały się na emigracji kółka i kółeczka. Dookoła mnie skupiło się kilkunastu serdecznych kolegów. Był więc Przeciszewski, młodzieniaszek, niemal dziecko, którego utrzymywałem całkowicie,

*) Powyższą charakterystykę pozostawiam całkowicie na odpowiedzialność ś. p. Imię Pana Józefa Karpowicza. O jego politycznych przekonaniach wspomniałem w słowie wstępnem. Wydawca.

za co mi się odwdzięczał serdeczną przyjaźnią. Pracować nie umiał, nie miał żadnego fachu. Syn majątnych rodziców, którzy go odumarli, majątek był pod sekwestrem, brat siedział w moskiewskim wzięciu. Był Gorajski, nieskończony inżynier z Płockiego, który tu, w Paryżu dokształcał się, Trepka z okolicy Zawichosta, syn obywatelski, drapnął do powstania z 6 tej klasy gimnazjum, walczył pod Langiewiczem i Junglem. Był p. Łabędź z Wileńszczyzny, oficjalista z dóbr Tyszkiewicza. Przyłączyło się jeszcze do nas dwóch francuzów, kolegów moich z warsztatów ślusarskich. Tak tworzyliśmy dobrą grupkę, Polityką mało zajmowaliśmy się, pracując ciężko w ciągu tygodnia. W niedzielę schodziliśmy się w skromnej restauracyjce na szklankę wina i pogadankę, przyczem nie rzadko paliliśmy z jednej fajeczki.

Tak minęło kilka miesięcy. Pewnego dnia, ja i Przeciszewski otrzymaliśmy wezwanie od komisji wojennej; udaliśmy się niezwłocznie, tu nam zapowiedziano, że powstanie na nowo ma rozgorzeć, formują się nowe pułki, oraz, że powrót nasz jest konieczny. Na rozkaz miałem jechać do Strasburga, tam zameldować się u Teodora Karczewskiego, zawieść mu plikę papierów i dalszych oczekiwać rozkazów.

Karczewski, emigrant z 1831 r., typowy polonus, majestatyczna, szlachetna postawa, sumiasty, siwy wąs, przyjął nas po ojcowsku, ugościł. Wieczorem zebrano się u niego liczniejsze towarzystwo, około dziesięciu osób, było kilku wyższych oficerów francuskich, przeważnie byli koledzy Karczewskiego z r. 1831, prym jednak z wieku i dostojęstwa trzymał p. Skrzetuski, uczestnik powstania Kościuszkowskiego.

Był to już starzec sędziwy, ubrany w kożuszek, chodził o dwóch kijkach, lecz świeży całkiem na umyśle, pamiętam, jak nasm, młodym dokuczał przez cały wieczór, dworując nie-miłosiernie, żeśmy się to rozbić dali i waleśmy się po cudzych krajach.

Za trzy dni bawiliśmy w Strasburgu, poczem otrzymaliśmy od Karczewskiego rozkaz by przez Drezno i Berlin udać się do Prus Wschodnich. Rozkaz ustny dotyczył tego, aby wszyscy emigranci, przebywający w Prusach Wschodnich, zawczasu zapatrywali się w broń, amunicję i odzież, na wiosnę zaś gromadnie wracali do kraju, formowali oddziały i nanowo rozpoczynali akcję wojenną. Otrzymaliśmy listy polecające: do Drezna, Berlina, przede wszystkim zaś do Prus Wschodnich: do Królewca, Wystrucia (Insterburg), Gąbina, Stolupian i t. d.

Listy były adresowane przeważnie do Niemców, sprzyjających powstaniu.

W Dreźnie zastaliśmy mnóstwo znajomych: był tam Akord, Hłasko, Brand, Lubicz, Niedziałkowski, Jabłoński, był Rochebrun. Nie długo wszakże popasaliśmy tu; powtórzono nam rozkazy by niezwłocznie jechać do Wschodnich Prus i tam przygotować wszystko do nowej kampanji na włosną. Dano nam jeszcze listy do Czyńskiego i Gleba do Wystrucia, które to miasteczko pograniczne było podówczas jak gdyby stolicą powstania 1864 r.

W Berlinie mieliśmy rozkaz odszukać niejakiego p. Kanta (?) i wręczyć mu listy, otrzymane z Paryża i Strasburga. Nie było to trudne zadanie, gdyż zajmował on wysokie stanowisko, mieszkał w pięknym gmachu rządowym: ganek wspaniały, na filarach, marmurowe schody, wyściełane kobiercem... U drzwi stał odzwiertny w sutej liberji. Pokazałem mu listy... zadzwonił na lokaja, który wnet wrócił, przeprowadził nas przez szereg apartamentów, do gabinetu. Zastaliśmy tu samego gospodarza: był to jegomość półwleczny, łysy, niezmiernie otyły. Siedział w wygodnym fotelu i palił hawańskie cygaro. Ujrawszy nas, podniósł się ociężałe, przemówił łamaną polszczyzną, mieszając dużo słów niemieckich. Prosił następnie usiąść, rozpy-

tywał szczegółowo o Paryż, o komisję wojenną, o Mierosławskiego... odczytywał kilkakrotnie listy, potem znówu rozpytywał, w końcu zadzwonił na lokaja, któremu szeptem dał jakieś polecenie. Za chwilę przyniósł lokaj na tacy kilka butelek różnych wódek, na talerzu ser i pasztety. Gospodarz przepił do nas, uprzejmie zapraszając. Wypiliśmy po jednym kieliszku, odmawiając się od drugiego. Wtedy Kant, dla zachęty, naleł sobie i nam po drugim i tak powłada swą łamaną polszczyzną:

„Szelnież, a młody, musi pić wódka i jedźcie z Paaa Bogiem, i auf Wiedersehen, prędko zobaczymy się, wróćcie wszyscy nach Berlin, wasze powstanie nie plekole idzie... nicht gut...“

Dał nam w końcu list do Wystrucia, do burmistrza, poczem pożegnał.

W Wystruciu zastałem dawnych znajomych Akielewicza, Gleba, Czyńskiego, Pilichowskiego i nawet Hiaskę, który tu z Drezna przybył. Ledwo pozwolili mi noc jedną odpocząć, nazajutrz wyprawiono w drogę. Działalność moja w Prusach Wschodnich polegała na objeżdżaniu wsi i folwarków, gdzie naonczas pełno było naszych, przeważnie z Suwalszczyzny i z Grodzieńskiego. W samej Wermji było około 5 tysięcy. Nędza panowała tam przeraźliwa, pracowali przeważnie za kawałek chle-

ba po folwarkach i majątkach, że zaś zimą nie było zajęcia na roli, więc przymierali głodem. Te „nowo organizujące się pułki“ o których tak szumnie zapowiadano w Paryżu, przedstawiały się na miejscu jako bezładna masa zbiedzonych, zgłodniałych i obdartych nędzarzy. Mimo to udało się sformować trzy niewielkie partje, których dowództwo objęli: Wolski, Kozłegrodzki, Tyszko. Za ledwo przeszli granicę, wnet zostali przez moskalów otoczeni, i po części na miejscu wyblcli, po części wywieszani lub zesłani do katorgi.

Mnie tymczasem wysłano do Goldapia, nad granicą, w celu dalszego werbunku. Tu stosunki były jeszcze gorsze, nędza bez porównania większa niż na Warmji: wszyscy goli, bosł, bez broni, schorowali, tak że na dwudziestu może jeden najwyżej zdalny był do dalszej pracy. Na dółkę stosunek rządu pruskiego do emigrantów niespodzianie zmienił się, stał się nieprzyjaznym. Musieliśmy robotę naszą prowadzić pokryjomu, konspiracyjnie. Jedynie szczęście, że ludność niemiecka po dawnemu była nam przychylna, niektórzy zaś wielkie oddali nam usługi. Był więc tu mój znajomy, Wagner, farbiarz, który niegdyś mieszkał w Suwalszczyźnie, i bardzo nam sprzyjał, był Gustaw Albert Reuter, właściciel niedużego folwarku. Ten zabrał mnie

z nieodłącznym Przeciszewskim do siebie, zbierał pilnie wiadomości o zamieszkałych w tamtych okolicach Polakach, przy jego czynnej pomocy objeżdżałem okolice Góldapla w dość szerokim promieniu, usiłując jaki taki ład i organizację wprowadzić w rozbitych i rozproszonych masach powstańczych.

Zadanie to było coraz trudniejsze do spełnienia, gdyż władze pruskie, widocznie na żądanie Rosji, poczęły wyłapywać i aresztować bardziej ruchliwych z pośród nas. U Reutera była podówczas jak gdyby główna nasza kwatera: oprócz mnie i Przeciszewskiego przyjechali tu ks. Ambrożewicz, Pltota, Grażewicz Julajan... Ktoś doniósł o tym „zjeździe polaków powstańców” do landrata, ten wysłał 25 dragonów z wachmistrzem, żeby nas aresztować.

Dowiedział się o tem młody Wagner, syn farbiarza i nie tracąc chwili czasu wskoczył na koń, oklep i popędził do kolonji Reutera, by nas uprzędzić, ale dragoni zatrzymali go w drodze.

My tymczasem, niczego złego nie spodziewając się, poszliśmy spać, jako że godzina była późna. Krzątała się jeszcze w domu teściowa Reutera. Ta wpada naraz do naszej sypialni i woła, że dragoni przybyli. mają nas aresztować... i wskazuje na okno, któredy łatwo było uciec i schować w folwarcznych

budynkach. My tedy do okna... aliści za oknem stoi dragon. Potraciliśmy głowy... a tu dragoni, wywaliwszy drzwi wchodowe, już wkraczą do wnętrza, nie bacząc na energiczne protesty gospodarza. Rozbiegliśmy się — jak byliśmy, ze snu, w białiznie — po różnych kątach dość obszernego domu... kto na strych, kto do dalszych pokoiów. Ja przykucnąłem za szafą, w ciemnym kurytarzyku. Naraz czuje, ujęła mię za rękę jakaś mięka ciepła dłoń — była to szwagierka Reutersa, dziewczę jak skra, krew z mlekiem. Energicznie pociągnęła do swej kemory, położyła do łóżka, sama zaś obok się położyła, i przykryła koldrą, udając że śpi. Na mnie siódme biją poty.

W tem wchodzi wachmistrz, bez ceremonij zrywa koldrę, zaświecił latarką prosto w oczy i powiada: „*Guten Morgen, Herr Pole! Ausgeschlafen?*” I każe się ubierać. Panna w płacz. Nadbiegła jej matka, rzuciła się na wachmistrza, łajac i kinąc na czem świat stoi, co tamten z dziwną znosił flegmą. Gdy zaś przekleństwa nie pomogły, poczęła prosić... I to nie wzruszyło Prusaka. Zabrali nas wszystkich i pognali do Goldupia, oprócz Przeciszewskiego, którego, jako najmniejszego, dziewczki kuchenne schowały w szufladzie. Więcej go w życiu nie widziałem. Podobno gwałtem wrywał się za nami, ale

go Reuter sprął po ojcowsku, potem związał, do czasu, aż się uspokoi, poczem wyprawił do Krakowa, gdzie Przeciszewski miał bogatego stryjs.

Ranek świtał, gdy wchodziliśmy do Gołdapia. Na ulice wyległa cała ludność miasteczka, okazując nam wielkie współczucie: „*Das sind die polnischen Insurgenten*” mówili. Zamknięta nas w areszcie, przy ratuszu. Były to dwa, czy trzy pokoje, z zakratowanymi oknami, nagle, zimne, wzdłuż ścian stały z desek zbite, twarde łopaczany. Aliści nie upłynęło godzin, gdy nam z miasta przysłano pierantów, poduszek, kołder, wszelakiego jedzenia i picia. Niebawem poczęli odwiedzać nas goście z miasta: kupcy, rzemieślnicy, nawet urzędnicy, ich żony i córki, wszystko to szwargotało po niemiecku i śmiało się z naszej niemieckiej wymowy, okazując nam jednak dużo sympatji. Zaoferowali nam cukierki, ciastka i cygara.

Czyjaś dobra ręka wsunęła mi do kieszeni paczkę cygar, były one owinięte w arkusz „Dziennika Poznańskiego”. Przeglądając wieczorem, z nudów, gazetę, wyczytałem wiadomość, że rząd rosyjski wyznaczył 10 tys. rubli temu, kto żywego lub martwego dostarczy Józefa Karpowicza...

Nazajutrz odwiedził nas zastępca burmistrza, p. Pianka; był to Niemiec, ale mówił niezłe po

polsku. Uspokoił nas, że nam się żadna krzywda nie stanie, że na niczem nam zbywać nie będzie, gdyż „sam p. Landret zajął się naszym losem”. Jakoż po paru dniach zjawił się urzędnik od Landrata, oświadczył, że wszyscy otrzymają „Reiseroute” do Akwizgranu (Rachen), z wyjątkiem jednego... tu wskazał palcem na mnie — „ten musi być dostawiony do granicy, gdyż władze rosyjskie gwałtownie o niego się dopominają”.

Niejednokrotnie zaglądałem śmierci w same oczy, o tchórzostwo nikt mnie chyba nie pomówił, a jednak, przyznaję, na te słowa zadrzały pederną łydki. Wszak wiedziałem, że wyrok zaoczny oddawany był na mnie wydany, na głowę moją wyznaczono nagrodę... Wydany moskałom, prościutko, bez sądu, poszedłbym na szubienicę.

Pianke, który obecny był przy tej scenie, wziął mnie na stronę i uspakajał, że niedopuszczalnego do tego, by mnie wydano. Radził, bym się udał do księżnej Hohenlohe, która mieszkała w swej willi, koło Kirchy i prosił ją o wstawiennictwo. W tym celu napisał mi list polecający i dał mi żandarma, który mnie tam i z powrotem miał odprowadzić. Przyznaję, że w drodze przyszła mi chętka wyrwać żołalerzowi, który palił moje cygaro i niepilnował się wcale, karabin, dać mu kolbą w łeb lub bagno-

tem w serce i uciec. Plan był łatwy do wykonania, ale potem?.. dokąd uciekać?.. Nieznając języka niemieckiego, w Niemczech nigdzie bym się nie ukrył, zaś przeprowić się przez granicę, na stronę rosyjską, to znaczyłoby dobrowolnie iść z deszczu pod rybę. Zaniechawszy więc myśli o ucieczce, postanowiłem usłuchać rady osób życzliwych i działać jedynie drogą legalną.

List polecający Pianki oddałem odźwiernemu w pałacyku księżny Hohenlohe, który niebawem wrócił i poprosił mnie do wnętrza. Żołnierz został u bramy. Za chwilę wyszła księżna, osoba lat 40-tu, słusznego wzrostu, szczupła, w czarnej sukni, u jej ramienia, nby barwy motylek czy ptaszę, wisiała róższczeblotana dziewczynka. Księżna przywitała mnie łaskawie, zmiarkowawszy zaś, że nie rozumiem po niemiecku, powiedziała tylko „courage! courage!”, poczem zawołała lokaja, mówiącego po polsku, który prośbę moją szczegółowo przetłumaczył. Księżna kazała mi powiedzieć, że zrobi wszystko, co w jej mocy, jakżeż natychmiast siadła do pisania depeusz, skinąwszy mi na pożegnanie przyjaźnie głową.

Pod strażą żołnierza, który czekał na mnie przed bramą, wróciłem do więzienia. Tu zastałem Piankę; zaczął mnie wypytywać, a gdy mu wszyst-

ko opowiedziałem szczegółowo, poweseleł, powiada żebym był dobrej myśli, że księżna posiada w Berlinie znajomości w najwyższych sferach i że skoro tylko zajęła się moją sprawą, to niewątpliwie doprowadzi wszystko do pomyślnego skutku.

Minęły jeszcze dwa dni strasznej niepewności: dnia trzeciego przychodzi Pianka rozpromieniony: „Wszystko dobrze, powiada, pojedziesz pan z innymi do Berlina, a potem do Rachen... Ale, ale... może masz pan jakieś kompromitujące papiery, to mi je oddaj, gdyż będzie tu zaraz urzędnik od Landrata, który przeprowadzi rewizję. Radzę także oddać pieniądze... gdy nie znajdą u was, to pojedziecie na koszt skarbowy”.

Rewizję przeprowadzono raczej *pro forma*, poczem Pianka zwrócił nam wszystko: papiery i pieniądze. Aż tu otwierają się drzwi, hurmem wpadają do nas Reuter, żona jego, szwagierka Charlotta, teściowa... roześmiani, wieszają... dowiedzieli się wcześniej o naszym uwolnieniu, więc zrobili w mieście składkę; zebrali coś około 200 talarów, a ile cygar, wszelakich łakoci, tego nie zliczyć, nie wypowiedzieć, taka pudówczas była tam dla nas serdeczność.

Straże odstąpiły od więzienia. Panie zostały przy moich towarzyszach, ja zaś z Reuterem po-

szedłem do księżnej, by jej podziękować, przyczem Reuter służył mi za tłumacza. Księżna okazała wielkie zadowolenie, życzyła wszelkiej pomyślności na drogę.

Po powrocie zastałem całe więzienie pełne gości z miasta, którzy schodzili się tu dzień cały, wieczorem zaś poprowadzone nas tryumfalnie do resursy, gdzie wydano huczny bal. Bawiliśmy się i tańczyli do białego dnia. O godzinie 7-ej zrana przybył wachmistrz Schultz, który miał nas odwieść do Berlina. Jeszcze nas napejono kawą, dano śniadanie, poczem wsiedliśmy na przygotowane wozy i żegnani przez wszystkich, odjechaliśmy do odległego o pięć mil Gąbina, skąd koleją, *nach Berlin*.

Wachmistrz pruski nie odstępował nas w ciągu całej drogi, gdy jednak wysiedliśmy w Berlinie, gdzieś się zapodział—znikł wśród tłumu. Widocznie taką miał instrukcję. Rozglądamy się bezradni po olbrzymim dworcu, gdzie nasz „anioł stróż”, ale pana wachmistrza Schultza — ani śladu. Zamiast niego stoi u drzwi gruby policjant i wydaje metalowe marki od dorożek. Wziąłem jedną i pojechałem do znajomego doktora Schweichel, kolegom powiedziałem, by czekali na dworcu mego powrotu. Dr. Schweichel, który mówił nieco po polsku, wysłuchawszy mnie, roześmiał się: „poco—powiada:—

macie jechać do Akwizgranu? Co będziecie tam robili? Taki był nakaz? To cóż z tego? Zapodział się wam gdzieś wasz strażnik Schultz? Czy wy jego, czy on was ma pilnować? *Wer viel fragt kommt nicht weit...* Jedźcie lepiej do Dreżna, gdzie jest całe wasza kolonia, tam łatwiej dacie sobie radę... Jakoż niezwłocznie ubrał się, pojechał ze mną na dworzec, gdzie czekali koledzy, sam kupił bilety i wyprawił do Dreżna.

W Dreźnie zastałem Pillchowskiego, Brandta, Rydlewskiego, Mojżela, Kuszlejkę, Hłaszkę Wiktora, który tymczasem powrócił z Prus Wschodnich. Długo popasać mi nie dano, kazano z powrotem wracać do Wystrucia w Prusach i na gwałt organizować oddziały, gdyż na własną konieczność musi się rozpocząć powstanie.

Co do nowej kampanji 1864 roku miałem wprowadzić grube wątpliwości, których nie ukrywałem, ale zamknięto mi usta tajemniczymi półsłówkami i niedomówieniami o sytuacji międzynarodowej, o Napoleonie... przypomniałem sobie złożoną przysięgę, obowiązek posłuszeństwa — pojechałem.

W Wystruciu zastałem Gleba i Czyńskiego; po naradzie doszliśmy do przekonania, że bez pieniędzy nie damy sobie rady. Pieniądzy nie mieliśmy, ale u pana Zarina, w majątku Michallnie, niedaleko

Marjampola, były jakieś reszty zeszłorocznej kasy powstańczej. Tam miałem się udać i zażądać zwrotu, że zaś były poszlaki (nie wiem czy słuszne), że Zarin nie chce zwrócić pieniędzy, wydano mi, na wszelki wypadek, wyrok śmierci na samego Zarina i na jego córkę, oraz nakaz spalenia dworu—w razie, gdyby się wzbraniał wydać pieniądze. Wyrok podpisał Gleb. Według naszego obrachunku, musiało być u Zarina coś około 200 tys. rubli, suma, jak na nasze warunki bardzo pokaźna, cóż, gdy mocno wątpliwa... Na towarzysza wyprawy wyznaczono mi Józefa Kuleszę ze Święciańskiego.

Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się narażam, gdyż granica naonczas była pilnie strzeżona, za granicą zaś cały kraj nasz zalanym wojskiem i kozakami, tak że nie sposób było prześliznąć się, zwłaszcza mnie, którego znało każde dziecko, na którego głowę wyznaczona była znaczna nagroda. Mimo to rozkaz był stanowczy, więc poddać się musiałem. Polectwszy tedy duszę Bogu, puściłem się z towarzyszem moim w drogę, jakby na pewną śmierć.

Granicę przeszliśmy śród ulównego deszczu w nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę.

Dojeżdżemy do folwarku Oaufrego Micewicza-Kibejki. Tu zaraz pierwszy zawód: właściciela nie było w domu, pojechał do sąsiedniego Wilkobola na święto. Poprosiłem miejscowego ekonoma Jakubowskiego o konie; osiodłano nam parę: dla Kuleszy i dla mnie, lecz były to ciężkie, powozowe konie, a że grunt był rozmokły, więc zapadały co chwila po brzuchy.

Puściliśmy się drogą ku Mażuciom. Switało już, gdy nas zoczyli „objeszczycy”. Rozpoczęła się gonitwa. W Mażuciach zdążyliśmy zmienić konie, zjechaliśmy z wielkiego traktu i boczną drogą skierowaliśmy się ku folwarkowi Kłampucie. Kozacy wciąż za nami. Leciliśmy przez pola i łąki w nadziei dotarcia do giżowskich lasów, które zbawczym pasmem czerniały na widnokręgu—ale było do nich ze dwie opętane mile. A droga najfatalniejsza. Kozacy to ukazywali się, to znowu nikałi gdzieś w od-

dał, ale czuliśmy pęcić ich za sobą. Wiatr zerwał mi czapkę — nie podniosłem jej, jeno pędzimy naprzód.

Spadłem z konia, gdyż popręg był niedociągnięty, siódło się przewróciło. Poprawiłem i dalej... Powtórnie pęka popręg... zeskoczyłem z konia, nożem przeciąłem resztę i odrzuciwszy siódło, oklep leczę... Kozacy tuż za nami, gdyż z powodu wypadku z siódłem straciliśmy nieco czasu. Udało się jednak znowu nieco odsadzić... Wpadliśmy do Kłampuć, gdzie właściciel, p. Winlarski, wnet osiodłał parę świeżych koni i dał mi swoją czapkę.

Musieliśmy przejechać wieś Rostkowszczyznę; na drodze stała roгатka chłopska, kilkunastu chłopów, uzbrojonych w siekiery i drągi, wszyscy pijani, jako że dzień był świąteczny. Ujrawszy nas, rozstąpili się jednak... Rzuciłem im talara i dalej pędząc, pomyślałem, jak to w tak krótkim czasie zmieniły się nastroje: ci sami chłopci, którzy przed niespełna rokiem z nami razem, ramię przy ramieniu walczyli przeciwko wspólnemu wrogowi, służyli za przewodników, ostrzegali przed każdym niebezpieczeństwem—dziś dopomagają kozakom wyłapywać powstańców.

Niedaleko od wsi Rostkowszczyzna był dwór tejże nazwy państwa Staniszewskich. Wpadliśmy

na dziedziniec, z zamiarem przelecenia przez folwark, niezatrzymując się, gdyż konie mieliśmy dobre, jeszcze nie zdrożone. Aliści z przeciwnej strony, jak gdyby na nasze spotkanie, wjeżdża oddziałek dragonów, w jakieś kilkadziesiąt koni, którzy konwojowali pocztę z Kalwarji do Wylkowyszek. Mając za sobą tuż—Kozaków, przed sobą—dragonów, zeskoczyliśmy z koni, na ganku stała właśnie pani Grzybowska, krewna Staniszewskich, rzuciłem jej burkę i zdażyłem szepnąć, aby ją dobrze schowała, gdyż zaszyte w burce miałem wielce kompromitujące dokumenty. Jak strzała przeleciałem przez dom, na werandę, ztamtąd do sedu. Sąd był młodziutki, drzewa o tej porze bez liści... przykucnąłem w jakiejś jamie.

Tymczasem dragoni oraz kozacy, którzy właśnie nadążyli, wpadają w ślad za nami do dworu. Natknęli się na suto zastawione święconem stoły i, zapomniawszy o pościgu, poczynają pałaszować szynki oraz inne mięsna. Szlachcic, rad z takiego obrotu rzeczy, jeszcze im podlewa co najsmaczniejszych wódek. Gdy już wszystko zjedli i wypili, mają ruszać w dalszą drogę. Kielzają konie, kilku, raczej dla pozoru, obchodzi dwór, zabudowania i sąd; przechodzą tuż koło mnie, nie widząc zamglonemi od wódki oczyma. Nieszczęście chciało, zkądś wyr-

wał się pies, chyba z piekła rødem, skacze koło mnie, skomle i łasi się. Musiało to zwrócić uwagę; ktoś zaglądnął do mej jamy... krzyknął... wnet reszta się zleciała.

Postanowiłem żywcem się nie dać. Wycelowałem do najbliższego z pistoletu... lecz proch zamokł... szczęknął tylko kurek... powtórzyłem raz drugi... z tym samym skutkiem.

W tej chwili kozak drzewcem lancy uderzył mnie w skroń. Padłem nieprzytomny. Rzucono się na mnie, skrępowano. Przetrząsnięto raz jeszcze cały dom i znaleziono Kulesze, który się ukrył w jamie z nieczystościami. Rozzuchwaleni kozacy wywalili drzwi od piwniczki, z kąd wydobyto resztę zapasów świętecznych; dopiero rozpoczęła się plja-tyka. Korzystając z tego, choć skrępowany, potrafiłem szepnąć lokajowi, by nikt nazwiska mego nie wydał.

Pod wieczór kazali złożyć wóz drabiniasty, male i Kuleszę, związanych plecami do siebie, rzucili jak kłody na wóz, tylko lokaj zlitował się, przykrył nas swym kożuchem. Zabrano także pp. Staniszewskich, za to jedynie, że w ich domu przylapano „młatieżników”.

Ruszyliśmy. Noc była ciemna. Deszcz lał jak z wiadra, droga okropna. Zbici, związani, nie mo-

gąc poruszyć się, cierpliwsiśmy mękl straszliwe Dobrze po północy stanęliśmy w folwarku p. De-browolskiego, Kumieclach. Wniesiono nas do dwor-ku, posadzone na krzesłach. Gospodarz i jego dwaj synowie, Ksawery i Albin, zajęli się kozakami, dali im jeść i pić ile tylko chcieli. Nic to jednak nie pomogło: część kozaków piła, reszta stała na warcie.

Cały dom był otoczony, pod każdym oknem stał kozak; przy każdym z nich stało po dwóch, drzwi były również strzeżone.

Byłem tak zbity i zmęczony, że zasnąłem na krześle. Czyjaś dobra ręka podłożyła mi poduszkę pod głowę. W tej chwili zdołałem szepnąć, by — na miłość Boga — nikt mnie nie nazwał po imie-niu i żeby nikt się nie zdradził z tem, że mnie zna.

Zrana wyruszyliśmy w dalszą drogę, do Wył-kowyszek, gdzie nas przekazano t. zw. Wojennemu Naczelnikowi, który natychmiast spisał pierwszy protokół.

Na szczęście żadnych dokumentów przy nas nie znaleziono, najmniejszego kompromitującego świstka, gdyż — jak się wyżej rzekło — zdążyłem burkę, w której były zaszyte, oddać pani Grzybow-skiej, w Rostkowszczyźnie.

Gdy nas zapytano o nazwiska, towarzysz mój,

Kulesza, wymienił prawdziwe — ja zaś nazwałem siebie Teodorem Stefańskim *).

Z Wylkowyszek wyprawiono nas pod silną strażą do Marjampola, dokąd przyjechaliśmy pod wieczór. Tu, w kancelarji Naczelnika, poznał mnie stary mój znajomy, Icek, przypadkowo tu obecny. W obecności straży, nie miałem możności z nim się rozmówić, więc tylko nieznacznie położyłem palce na ustach. Sprytny żyd zrozumiał i udał, że się na razie pomylił, że mnie nie zna wcale.

Za chwilę nadszedł Naczelnik... poznałem w nim również starego znajomego, pułkownika Czichaczenkę, który był przedtem naczelnikiem straży pogranicznej, brał od nas łapówki i przepuszczał transporty broni i amunicji z Prus, przeznaczone dla powstańców. Czichaczenko poznał mię również od pierwszego wejrzenia. Zbladł jak chusta, ale się przed strażą nie zdradził. Złatwił zwykle formalności i kazał nas odprowadzić do aresztu. Właści-

*) Od tej chwili ś. p. Józef Karpowicz we wszystkich sądownych, oraz innych aktach i rejestrach rosyjskich figuruje jako Teodor Stefański. Pod tem nazwiskiem był sądzony i zesłany. Źródła polskie mylnie notują Józefa Karpowicza jako poległego w bitwie. W rzeczywistości poległ Teodor Stefański, którego Karpowicz znał osobiście, i którego imię i nazwisko sobie przywłaszczył

wie była to szopa, przerobiona tymczasowo na więzienie, ale drzwi miała zamczone, okna zakratowane, dookoła strażę, tak że o ucieczce mowy być nie mogło. Razem z nami siedziało tu jeszcze trzech młodych złodziejasków.

W nocy przyszedł sam Czichaczenko, wziął mnie na stronę i powiada, że mimo najszczerzej chęci, wypuścić mnie w żaden sposób nie może, gdyż nie jego podwładni mnie aresztowali; że jednak pozatem wszystko, co w jego mocy, gotów dla mnie uczynić, byle bym ze swej strony zachował milczenie o jego dawnych sprawkach.

Obiecałem dyskrecję i poprosiłem, aby mnie jaknajprędzej wysłał gdziekolwiek bądź, byle jaknajdalej stąd, gdzie mnie każde dziecko znało i gdzie z konieczności wydało by się moje prawdziwe nazwisko.

Obiecał tak uczynić i nazajutrz wysłać do Wilna.

Nazajutrz, rano, wyjrzałem przez zakratowane okno mego więzienia: naprzeciwko, na werandzie cukierni Markiedanta, stała siostra moja, Katarzyna i uporczywie wpatrywała się w okno więzienne. Prawdopodobnie lcko dał jej znać o mnie, więc przyjechała w nocy, by się ze mną pożegnać. Postanowiłem za żadną cenę nie wydać się — wszak o cenę życia tu chodziło — więc poprosiłem jedne-

go ze współwłóczęków, aby się z nią rozmówił. Chłopak był sprytny — Czaputajtis się nazywał — w lot zrozumiał o co chodzi. Pyta się:

— Kogo pań tak wypatruje?

— Tu brat mój jest, Karpowicz, którego mają powiesić. Chciałabym go raz jeszcze zobaczyć.

— Pań się myli, tu niema żadnych powstańców, tu nas tylko siedzi trzech złodzieją.

Postała jeszcze chwilę, pokiwała smutnie głową i odeszła.

Niebawem, na tej samej werandzie, ujrzałem dwie znajome: pannę Wołkową i pannę Stancierównę. Powtórzyła się ta sama scena. Chłopak zapytał, kogo szukają? — na to odpowiadają, że „tu siedzi Józef Karpowicz, którego mają powiesić”, przytem pokazały kapłuch z tytoniem. Prawdopodobnie była tam kartka dla mnie ukryta, wołałem jednak wcale się nie przyznawać, więc wtuliłem się w kąt, żeby mnie nie widziały, chłopak zaś, jak poprzednio, odpowiedział: „Niema tu żadnego Karpowicza, tu siedzi trzech złodzieją”.

Pomyślałem: jeżeli dłużej wypadnie mi tu pozostać, wyda się sekret niechybnie, za dużo miałem tu znajomych, przyjaciół i życzliwych...

Na szczęście Czichaczenko dotrzymał słowa. Tego samego rana jeszcze, pod silną eskortą, ze-

stałem wysłany, razem z Kuleszą, do Wyłkowyszek, gdzie nas wsadzono do pociągu.

W drodze miałem wypadek, który o mało nie przyplaciłem głową. Skutkiem pomyłki, zamiast do Wilna, odwieziono mnie do Kowna. Przyjechaliśmy późnym wieczorem i natychmiast zaprowadzono mnie do komendanta, generała Ganeckiego. Widocznie spał już po przepiciu.. obudzono go: wyszedł do kancelarii w białźnie, z twarzą obrzękniętą, w najgorszym humorze i z miejsca porwał mnie za wąsiki i począł targać. Uczulem ból przejmujący, ręce miałem skrępowane, ale nogi wolne, a że byłem młody i popędliwy, więc nienamysłając się, z całej siły pchnąłem go kolaniem w brzuch. Padł zemdłony, przewracając krzesło i stół... Z sąsiedniego pokoju wypadła żona, stara jędza, również w białźnie, z rozwalonym włosiem siwym, wołając: „*Padlec miateżnik ubił generała!*”.

Rzucili się na mnie żołnierze, w mgaleniu oka zbili kółkami, skrępowali, nadbiegł adjutant, przejrzał spiesznie papiery, tu dopiero okazało się, że przeznaczony byłem do Wilna, nie do Kowna. Zwymyślał oficera konwojującego i natychmiast kazał odesłać do Wilna.

Było to mojem szczęściem, gdyż (jak później dowiedziałem się) w więzieniu kowieńskim siedział

podonczas ojciec mój, bracia i stryjowie. Przy panującym wtedy przepelnieniu więzień spotkanie byłoby nieuniknione, a co za tem idzie: zostałbym poznany. Tak uniknąłem szubienicy, ale ojca i braci nigdy już w życiu nie widziałem—pomarli na dalekiem wygnaniu.

W Wilnie stawiono mnie przed komendantem Wiatkinem. Indagacja była krótka: zapytał mnie, w jakiej partji walczyłem: odpowiadam na chybił trafił, że u Jankowskiego.

— *Ty—powiada—zacziesz sukina syn być w etojszajkie, eto samaja opasnaja. Zawtra powiesim.*

Poczem kazał mnie odprowadzić do więzienia.

Posadzono mnie „pod numerem czwartym”, w osobnej celi, na dolnem piętrze, gdzie wilgoć i zaduch od przepływającej pod więzieniem rzeczki-kłoki były nie do zniesienia. W celi był stół, taburet i łóżko w murze, do podażoszenia. Dopóki jednak trwało śledztwo, łóżka niewolno było spuszczać, trzeba było spać na ziemi, która była brukowana „kociemi łbami”, i to spać niemal całkiem nago, gdyż zabrano mi całe ubranie, pozostawiając tylko w bieleźnie. Przyjacielowi memu i koledze z czasów powstania, Franciszkowi Niepokojczyckiemu, który tu dłuższy czas śledził, od takich noclegów potworzyły się rany na całym ciele.

Po ciężkiej nocy, nazajutrz rano, stróż przyniósł mi śledzia. Nie dotknąłem go, wiedząc, że chcą mnie męczyć pragnieniem. Wieczorem znowu przyniesiono śledzia—głodny byłem, stróż zachęcał, ale odpowiedziałem, że jeść nie będę, dopóki nie dadzą wody i chleba. Odpowiedział, że „*nie połogajetsia*”.

Na trzeci dzień przyszedł gen. Wasilickij i począł badać: jak się nazywam, gdzie się urodziłem, czy żyją rodzice — odpowiadałem, co mi na myśl przyszło, przypuszczając, że nie będą sprawdzać. Starałem się tylko nie wpaść w sprzeczność. Dalej zapytywał mnie o różnych dowódców z powstania, między innymi, jak gdyby od niechcenia, zagadnął, czy nie znam niejakiego Józefa Karpowicza? Odpowiedziałem spokojnie, że Karpowiczów dużo jest w Polsce, Józefów również, mógł więc być także Józef Karpowicz, ale jakoś o nim nie słyszałem. Na tem skończyła się pierwsza, formalna indagacja.

Siedząc tymczasem w samotnej celi, słyszałem z boku, przez ścianę, to z góry, przez sufit, pukanie. Domyśliłem się, że to towarzysze pragną porozumieć się ze mną i począłem pilnie nadstawiać uszu. Tamci, również domyślając się we mnie nowicjusza, udzielali mi formalnych lekcji tego języka więziennego. Puknięto więc 24 razy—to ilość liter

w alfabecie. Ponieważ tak długo pukać uciążliwie i łatwo się pomylić, niebawem wtajemniczono mnie w inny system, bardziej udoskonalony: mianowicie alfabet dzielił się na cztery rzędy, każdy rząd po sześć liter. Rząd oznaczał się pukaniem, literę zaś skrobaniem. Takim sposobem dowiedziałem się, że obok mnie siedział Brunon Korzon, nademną była większa, zbiorowa cela, w której siedzieli Moszyński, Chodzyński, Wiszniewski i Rodziewicz Józef *).

W pierwszych dniach rozmowa za pomocą stukania szła mi bardzo opornie, zwłaszcza, że straż więzienna pilnie za tem śledziła i za takie rozmowy sadzała do karceru. A karcer był straszliwy. Mieścił się on w piwnicznym lochu, dołem przepływała wspomniana rzeczka-kloaka. Sklepienie było tak niskie, że nie można było stać, jeno leżeć na wąskiej deseczce, przerzuconej przez ową rzeczka.

*) Porównaj „Alfawitnyj spisok polityczeskich prestupnikow etc.“: Korzon Brunon, szlachcic gub Wileńskiej skazany na katorżne roboty w kopalniach na 15 lat; Moszyński Władysław, szlachcic, przybył z Warszawy, na katorżne roboty w kopalniach na 15 lat; Chodzyński Hipolit, b. stud uniw moskiewskiego (według wspomnień Karpowicza: student zakładu w Marymoncie?) pochodzi ze szlachty gub Wileńskiej, na katorżne roboty w fabrykach na 4 lata; Rodziewicz Józef szlachcic gub. Mińskiej, Borysowskiego pow., zesłany do gub. Tomskiej.

Gdy się usiadło, miało się nogi w wodzie. Ciemność panowała tu całkowita, samotność urozmaicała niezliczona ilość ropuch i szurów.

Mineło sporo czasu, podczas którego jak gdyby o mnie zapomniano, nikt mnie nie badał, prócz stróża więziennego nikogo nie widywałem. Rż oto pewnego poranka kazali wyjść na kurytarz, było nas około stu współwięźniów... kazano stanąć do szeregu.

Za chwilę ujrzałem w towarzystwie komendanta więzienia i zgrał jego podwładnych — siostrę moją, Katarzynę; z nią razem byli: Kwiatkowski, stary wachmistrz z roku 1831, mój niegdyś piastun, dalej Pleczajtis, Petrolonis, Kryszczunas, chłopci z Augustowskiego, którzy mnie znali od dzieciństwa.

Zrozumiałem, że chodzi o konfrontację; dusza we mnie zamarła, ale na zewnątrz zachowałem spokój. Tymczasem siostra moja szła wzdłuż szeregu, za nią szli tamci, każdemu uważnie przyglądając się. Takim sposobem doszła do mnie, przystanęła na chwilę, ani sekundy dłużej, ani sekundy krócej niż przy innych, spojrzała mi w oczy, żaden muskuł jej twarzy nie drgnął, nie zmienił się jej wyraz, spokojnie przeszła do następnego... Z kolei przystąpił do mnie stary weteran Kwiatkowski

i Plecajtlis, Petrolonis, Kryszczunas, każdy spójrzał mi w oczy, odszedł do następnego i tak dalej, aż do końca szeregu. Potem siostra zwróciła się do komendanta, coś smutnie zaprzeczyła, to samo uczynił Kwiatkowski, chłopci obojętnie podrapali się w głowę... poczem wzdułż naszego szeregu, nie podnosząc już oczu, wszyscy poszli kurytarzem i zniknęli za drzwiami.

Więcej już w życiu nie ujrzałem siostry.

Dnia tego sądzono mi było przeżyć jeszcze mnóstwo wstrząśnień. Ledwo wróciłem do celi, sąsiad mój przestrzegł mnie za pomocą pukania, że przyjdzie do mnie zapewne prałat Niemeusza, abym się nie spowiadał, gdyż to szpieg.

Skąd mieli koledzy wiadomość o przyjeździe Niemekszy — nie wiem, w każdym bądź razie okazała się ona prawdziwą, a dana mi przestroga nie poszła w las.

Niebawem wszedł do mej celi oficer żandarmski *Nikołajew* *) (dość nam przychylny, gdyż podobno

*) Nazwiska oficera nie dało się dokładnie ustalić ś. p. Karpowicz wymienił raz nazwisko „Nikołajew” to znowu „Nikołaj”. Ś. p. prof. Ziemacki (założyciel i pierwszy rektor uniwersytetu Wileńskiego, bratanek straconego przez Murawjewa księdza Z.) w artykule p. t. „Góra Trykryzyska w Wilnie.

miał żonę—Polkę) za nim zaś wcisnął się przez wązkie drzwi celi mąż ogromnej tuszy, ubrany w szaty kapłańskie, o bydlęcym wyrazie twarzy, w którym domyśliłem się Niemekszy po licznych orderach rosyjskich, zdobiących szeroką pierś jego, oraz ciężkim łańcuchu złotym, który zwisał mu z szyi.

Nikołajew oznajmił sucho, że z pozwolenia władzy przyszedł kapłan, by mnie wypowiadać. Byłem w najwyższym stopniu podrażniony zarówno widzeniem się z siostrą, jako też samem przyjściem spowiednika, które nic dobrego nie zdawało się wróżyć.

Widząc, że nie mam już bodaj nic do stracenia, odparłem szorstko: „To nie ksiądz, a szpiegl” Potem zaś, wskazując na złoty łańcuch dodałem: „Czy to u was w Rosji moda trzymać popów jak psów na łańcuchu?”

Niemeksza w pierwszej chwili onleiał, gruby kark mu napęczniał, krew rzuciła się do twarzy, zaklął straszliwie i cofnął się za drzwi. Nikołajew

Kartka z dziejów powstania 1863 r* (Wydawnictwo zbiorowe: „Jako lecący na wyraj żórawie... Elizie Orzeszkowej Polacy z nad Newy, Petersburg 1906 r*”) wspomina oficera żandarmerji nazwiskiem „Nikulín” (vel „Nikotin*”), który o tyle zdaje się być identycznym ze wspomnianym przez Karpowicza, iż był żonatym z Polką.

powoli wyszedł za nim, uśmiechając się znacząco pod wąsem.

Wieczorem wprowadzono do cell mojej Kulesze, z którym rozdzielono male, od czasu jak zostaliśmy osadzeni w więzieniu wileńskim. Niebawem nadziedzł Nikołajew, w towarzystwie księdza-zakonnika. Był bardzo poważny, powiedział, byśmy się na śmierć gotowali i że ksiądz pozostanie z nami do rana. Późem opuścił celę; za nim wyszli żandarmi-

Imienia księdza, ani nazwiska nie pamiętam, zresztą, przychodząc z Panem Bogiem, oczywiście nie potrzebował rekomendować się, ani też nam nie przyszło na myśl pytać go o nazwisko. Pamiętam natomiast doskonale tę twarz ascety, podługowatą, śniadą, ze spływającą na piersi, długą, ciemną brodą i wyrazem niezmiernie słodczy.

Gdy zostaliśmy sami, ksiądz dobył z torebki aparaty, przykrył stół więzienny obrusem, ustawił krzyż, zapalił świece... Po krótkiej, wspólnej modlitwie, Kulesza odszedł w kąt; ksiądz usiadł na łóżku, ja ukląknęłam przy nim, zaczęła się spowiedź. Wypytywał bardzo szczegółowo: czy nie zrobiliśmy komukolwiek krzywdy? Czy nie popełniliśmy gwałtu, nie dopuściliśmy się rabunku? nie zabrali pieniędzy narodowych?... Po spowiedzi, udzieleniu Sakramentów i pomazaniu, uklękliśmy i wspólnie zmówiliśmy litanję,

potem psalmy. Na stole doalaly się świece woskowe. Nie czuliśmy, jak czas mija, ale słyhać było uderzenia zegara na katedralnej dzwonnicy, gdyż nocy tej ruch niezwykły panował na ulicy, dudniły koła, słyhać było miarowy krok wojska.. Nie spostrzeżliśmy też zmiany straży...

Po skończonej modlitwie, ksiądz, wstawszy z klęczek, wziął mnie i Kuleszę pod ramię i tak przechadzał się po celi, pocieszając i pokrzepiając na duchu, że wcześniej, lub później, przecie śmierć każdego czeka, ofiarował się, jeżeli chcemy, rodzicom zawieść ostatnie zlecenia.

Ja prosiłem, by zawiadomił matkę o mej śmierci. Kulesza chciał również o coś prosić, ale młode siły nie wytrzymały — zemdlął. W celi był dzbanuszek z wodą, więc ocuciliśmy go, poczem ksiądz jął ponownie, z większym jeszcze zapalem krzepić i wzmacniać na słach, przemawiając do najszlachetniejszych uczuć, że to przecie za sprawę narodową ginie, że trzeba umrzeć mężnie, pokazać wrogom, że nas nie zdolali złamać.

Przez wązkie okienko więzienne padł pierwszy, blydy promyk świtu, gdy usłyszeliśmy na korytarzu szcęk szabel i liczne kroki. Ksiądz pobłogosławił i objął każdego z nas, tuląc do piersi, a ze ścisłego gardła wyszeptał: „Brać! Męstwa! Nade-

szła ostatnia godzina! Nie ukazujcie strachu... postępujcie krokiem wolnym, ale twardym... żeby się wróg nie cieszył, nie tryumfował..."

Padliśmy sobie w objęcia z Kuleszą. Zamek zgrzytnął u drzwi, wszedł Nikołajew, za nim hurmem żandarmi... Z twarzy jego biła niezwykła radość. Zwracając się do mnie, rzekł wesoło:

— *Skażi: „Stawa Bohul”*

Odpowiedziałem machinalnie:

— Chwała Bogu!

Nie odczuwałem ni radości, ani zdziwienia, czułem się tylko niezmiernie wyczerpanym ostatnią nocą, ogłuszonym, jak gdyby miał kto obuchem dać w łeb. Nikołajew zaś powiedział:

— *Pojedietie sobolej łowit’* — co znaczyło, że odprawia nas na Sybir. Do księdza zaś zwracając się dodał uprzejmie:

— *A wy, ksiondz, możecie tiepier odprawlatsia s Bohom.*

Wtedy księdzu łzy puściły się z oczu, rumieniec wystąpił na białe policzki, obejmował nas kolejno, ścisnął, całował i pocieszał, że Sybir to nie mogiła, jeszcze zobaczymy się, wrócimy i rodziców jeszcze powitamy... poczem zabrawszy aparata, raz jeszcze pobłogosławił i odierając łzy z oczu poją habitu, wyszedł...

Kuleszę odprowadzono teraz z powrotem do tego cell. Pozostałem znów sam. Dzień mięł za dnem. Tymczasem nauczyłem się niezgorzej porozumiewać się przy pomocy pukania. Zwłaszcza z Korzonem utrzymywaliśmy stały kontakt; oczekiwał mnie, że stan taki niedługo już potrwa.

Jakoż po tygodniu może przeprowadzono mnie do innej cel; była ona obszerniejsza, miała znacznie więcej światła, i co główne—zamiast szkaradnego, zimnego bruku, miała podłogę. Dostałem też towarzysza, był nim b. oficer wojsk rosyjskich Zapolski *) niebawem przybył jeszcze jeden, Ignacy Niedziński **). Zwrócono mi ubranie, kapciuch z tytoniem i fajkę oraz pieniądze—15 talarów niemieckich, przywiezionych z Prus.

Niebawem pod eskortą czterech żołnierzy, z bagnietami, zaprowadzono mnie do komisji śledczej. W niedużej stancyjce, przy okrągłym stole, siedziało pięciu wojskowych, osobno, przy małym stoliku, kilku pisarzy.

*) Więźnia tego nazwiska, b. oficera, w źródłach rosyjskich nie znalazłem. Był jedynie Zawłętowski, sztabs-kapitan pułku kubańskiego — skazany na śmierć i stracony. Z powyższym zdaje się nie identyczny.

***) Ignacy Niedziński szlachcic pow. trockiego, skazany na 6 lat katorgi. Por. „Alfawitnyj spisok polit. prest.”.

Rozpoczęło się niezmiernie drobiazgowe badanie: gdzie i kiedy urodzony? czy żyją rodzice i gdzie? gdzie ostatnio mieszkałem? czym się trudniłem? Odpowiedziałem, że pracowałem w fabryce fortepianów, w Warszawie; gdy z powodu powstania fabryki zamknięto, wyjechałem do Petersburga, w lesie, za Dynaburgiem, spotkałem powstańców, do których przystałem. Trafiałem z powrotem do Królestwa, w jednej z petyczek raniony, dostałem się za granicę. W szpitalu wyczytałem w gazetach manifest, więc postanowiłem wrócić.

Temu ostatniemu nie uwierzyli, jako, że nielegalnie przeszedłem granicę i uciekałem przed kozakami.

Pytano mnie, w jakiej byłem „szajce”? Odpowiedziałem, że z początku w oddziale Kuszłejki, na Litwie, potem walczyłem pod Jankowskim.

Jeden z sędziów nie chciał uwierzyć, że fabryki fortepianów były zamknięte w Warszawie, ale drugi oficer potwierdził to, więc zaprotokółowano i na tem, narazie, zakończono badanie.

Odprowadzono mnie z powrotem do więzienia.

W celi naszej zmieniło się ustawicznie towarzystwo: jednych przyprowadzano, drugich wyprawdzano, to znówu mnie przenoszono do innych cel.

Pamiętam z tego okresu Poczobuta, Pikturę Godziębę, Kociellę, Koziełłę, Kozakiewicza i Paszkiewicza *) z oddziału Wisłoucha. Ten był pod Dębową Budą, poznał mnie, ale zdołałem go w porę uprzedzić, by milczał.

Od towarzyszków nauczyłem się fychło z chleba razowego robić różańce; kucharz, żmudzin, b. soldat, dostarczył nam papieru, z którego wyplataliśmy koszyczki. W tym czasie wyrzeźbiłem wizerunek Najświętszej Panny Ostrobramskiej, sposobem wkleśłym, otrzymawszy zaś jakoś spory kawał kredy, utarłem ją na proch, rozrobiłem z wodą i w ten sposób odlewałem wcale udatne medaliki, smarując foremkę olejem, który nam dodawano do kaszy więziennej.

Te nasze wyroby wysyłaliśmy na miasto, przy pomocy stróża-soldata oraz pewnej żydówki, która je odbierała przy bramie więziennej, przynosząc

*) Poczobut Michał szlachcic pow. grodzieńskiego. umarł w więzieniu. Pikturko Apolinary szlachcic pow. telszewskiego zesłany do gub. tobolskiej. Kociello Andrzej szlachcic pow. wilejskiego na 4 lata katorgi. Paszkiewicz Michał szl. pow. oszmiańskiego zesł. do tobolsk'ej gub. Koziełłów znalazłem w spisie aż dziesięciu. Nazwiska Godzięby wcale nie znalazłem. Kozakiewicz Adam, szlachcic pow. wilkomirskiego, powieszony—czy identyczny z powyższym? por. „Alfawitnyj spisok etc”

w zamian cukier, herbatę i inne, najniezbędniejsze produkty.

Siedziało też ze mną czas niejakiś dwóch braci Rudnickich*) z pow. lidzkiego. Matka ich, która przybyła ze wsi do Wilna, błagała Wiatkina, by pozwolił jej widzieć się z synami. Odmówił stanowczo. Wtedy nieszczęsna kobieta zdołała uprosić adjutanta, który widzenie się to ułatwił. Na nieszczęście Wiatkin, coś widocznie zwietrzył, gdyż najniespodzianie zarządził rewizję więzienia. Ostrzeżeni w ostatniej chwili zaledwo zdążyliśmy ukryć panią Rudnicką pod łóżkiem i zasłoniliśmy kołdrą.

Wpada do naszej kamery Wiatkin, nawpół pijany, za nim szereg żandarmów. Obejrzał się dookoła badawczo, dostrzegł koniec nogi wystający z pod łóżka... poskoczył, chwycił za nią i ciągnąc, mówiąc: „nieużeli gdzieś zdochłała sobaka leżi!” Zwymyślał następnie błędną kobieciną słowami, jakie zna jedynie język rosyjski; dalszych następstw jednak sprawa ta nie miała.

*) W „Spisie” znalazłem jednego tylko Rudnickiego Ludwika z pow. lidzkiego, który następnie skazany został na zesłanie do mniej odległych miejscowości w Syberji. Drugi Rudnicki, Karol, figuruje w spisie jako „szlachcic urodzony w Królestwie Polskiem” nie mógł więc być bratem poprzedniego.

Tu należy zaznaczyć, iż Wiatkin był niegdyś prostym żołnierzem, dzięki szelonemu męstwu w wojnach na Kaukazie doszedł stopniowo do rangi generała. Pierś miał okrytą orderami, ale też twarz całą i głowę poraną brózdami blizn. Jak powia dali, nie był on w gruncie tak zły, ile brutalny, cham, zwłaszcza gdyż się upił, a pijany był prawie zawsze.

Monotonję życia więziennego urozmaicały od czasu do czasu wezwania przed komisję śledczą, która zawsze te same stawiała pytania, porównując następnie odpowiedzi, czy nie dopatrzy się najdrobniejszej sprzeczności.

Aż nadszedł dzień, w którym miano nam ogłosić wyrok. Gdy weszliśmy — Kulesza i ja — do przedsiłonka sądu, napadło na nas dwóch zbirów, którzy zdarli z nas wierzchnie ubranie, zostawiwszy w koszuli i spodniach. Tak wprowadzone nas do sali. W końcu jej, na podwyższeniu, stał stół, okryty sukmem czerwonym, za nim, w środku siedział komendant generał Wiatkin, przed nim nieodstępna butelka rumu, z której ustawicznie pociągał. Dalej sędziowie wojskowi, w końcu stołu audytor.

Pomiędzy szeregami żołdatów stali osądzeni: było nas około 50 osób, w tej liczbie też kobiety; żona i matka Narbutta, panna Tabeńska, trzy sio-

stry Gadomskie, pani Maliszewska, pani Jasieńska; z mężczyzną był ks. Romuald Skibiński, Napoleon Półjanowski, Jacuński, Józef Malicki, Kossowski, Rodziewicz Józef, Rudnicki i Inni*)

*) Ani żony ani matki Narbutta w „spisie” nie znalazłem, jest tu jedynie Ludwik Narbutt, szlachcic pow. lidzkiego, zabity, którego majątek podlega konfiskacie, oraz Bolesław Narbutt szl. pow. wileńskiego skazany na zesłanie do bardziej odległych miejscowości w Syberji.

Tabeńskie figurują w spisie dwie. Jedna Elżbieta, szlachcianka pow. lidzkiego, skazana na zesłanie do gub. Tomskiej, druga Antonina, również szlachcianka pow. lidzkiego, córka właściciela maj. Rudowo, skazana na zesłanie do mniej odległych okolic Syberji. (Według wspomnień Karpowicza, który imienia panny Tabieńskiej nie przytoczył, utrzymywała ona pensję i szkołę w Lidzie).

Ks. Romuald Skibiński, proboszcz kościoła w Dąbrowie, pow. lidzkiego, skazany na 8 lat katorgi.

Półjanowski Napoleon, szlachcic pow. lidzkiego, na 6 lat katorgi.

Jacuńskich spotykamy w „Spisie” dwóch: Piotra, szl. pow. lidzkiego, skazanego na zesłanie do gub. tobołskiej, oraz Onufrego, szl. pow. trockiego, na zesłanie do mniej odległych miejscowości w Syberji.

Malicki Karol - Henryk, szlachcic, rzekomo poddany austriacki, był w partji w pow. oszmiańskim, skazany na 4 lata katorgi

Kossowski Jan, mieszczanin m. Mińska, do jarosławskiej roty aresztanckiej na 4 lata.

Rudytor powstał z miejsca i jednostajnym głosem rozpoczął odczytywanie wyroku. Wojsko, którego było conajmniej cztery razy tyle ile osądzonych, podczas czytania trzymało bagnety spuszczone, jak do ataku, jak gdyby się obawiali, że garść naszych rzuci się na nich z gołymi rękami, rozbroi, może wymorduje...

Czytanie wyroków ze wszystkimi formalnościami, personaljami, trwało niezmiernie długo. W miarę, jak w butelce ubywało rumu, czerwieniała twarz Wiatkina, widocznie nudziła go ta ceremonia, kręcił się na fotelu, ple mógł usiedzieć, w końcu zerwał się i począł bez ceremonji chodzić po sali, zagadując to tego to owego, plwał na lewo i prawo, rzucając słowa bez związku, klinąc straszliwie.

Kolega mój, Kulesza, był to młodzutki kadet, który uciekł z zakładu do powstania. Trzeba trafu, że dyrektorem tego zakładu był czas niejakiś Wiat-

Rodziewicz Józef szl. pow. borysowskiego gub. mińskiej, na zesłanie do gub. tomskiej. (Ogółem było 6 skazanych Rodziewiczów).

Rudnickich znajdujemy w „Spisie” dwóch: Karola szl. urodz. w Król. Pol. oraz Ludwika szl. pow. lidzkiego. Obydwaj skazani na zesłanie do mniej odległych miejscowości w Syberji Trzech siostr Gadomskich, Maliszewskiej, Jasieńskiej w „Spisie” nie znalazłem.

Porównaj „Alfawitnyj spisok etc.”.

kto. Ten, mimo, że pijany, przechodząc koło nas poznał byłego ucznia swego, twarz mu straszliwie posiniała, wykrzywiła się, pęczał nogami tupać, wygrażać pięściami i wykrzykiwać: „Wyrok nie ważny! protestuję! *Rozstrelat! powiesit!*” Nikt atoli nie zwracał uwagi na te krzyki pijanego, więc uspokoił się nieco, machnął ręką i odszedł.

Rudytor właśnie głosem monotonnym odczytywał nam dwom wyrok: głosił on na 12 lat katorgi *)

Gdy nareszcie skończyło się czytanie, rzucili się na nas żołdaci i poczęli tuż w sali—z mężczyzną zarówno jak i kobiet—zdzierać resztę ubrania, do naga, poczem rozdawano więzienné koszule i płaszcze, tak zw. „brodziażki”. Jednocześnie uwijał się stary żyd, o twerzy Judasz, z kilkoma pomocnikami, który mężczyznom golił głowy, kobietom zaś ucinano krótko włosy.

Powiadali, że ten sam żyd golił przed egzekucją Konarskiego.

Sędziwej, 80-cioletniej Narbutowej (matce) ucięto włosy warkoczyk. Młodzłutka, precudnej uro-

*) Porównaj „Alfawitnyj spisok”... Nr. 1539 Stefański Teodor. Szlachcic. Mieszkaniec Warszawy. Na katorżne roboty w kopalniach na lat 12

dy Tabeńską, żołdaci rozebrali do naga, a gdy ta, spłoniona, rozpuściła swe długie włosy, okrywając się niemi jak płaszczem, podkradł się żyd, chwycił je w garść i jednym cięciem ostrych nożyczek uciął przy samej skórze. Tabeńska zachwiała się i upadła zemdlna. W tej chwili któryś z żołdatów, przykrył ją swym płaszczem. Właśnie przechodził wtedy, zataczając się, „Wiatkło, pijany zupełnie i uniółszy koniec płaszcza, którym przykryta była Tabeńska, spytał na głos: „Ej! panowie Polaki! A gdzież tu wasz Centralny Komitet?”

Mało jednak kto zwrócił uwagę na te plugawe słowa zbydlęciałego dygnitarza carskiego; żgiełk, spazmatyczny płacz kobiet, grube przekleństwa żołdatów i krzyki panowały w całej sali, podobnej do jakiegoś straszliwego przedplekła. Wyzdierano nam wszystko: pieniądze, zegarki, pierścienie, nawet skromne, srebrne medaliki z wizerunkiem N. P. Ostrobramskiej. Miałem pierścień z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, dany mi z błogosławieństwem przez matkę, kiedy szedłem do powstania. Niespostrzeżenie zdjąłem go z palca i ukryłem pod językiem. W ten sposób uszedł baczność zbirów. Pani Jasieńska miała na szyi szkapierz, nieco niezwykłych rozmiarów, w którym zaszyte były pieniądze. Chciano go jej wyrwać, ona bronila się

rozpaczliwie. Dojrzał to Wiatkło i z raptowną zmianą nastroju, właściwą pijakom, huknął na żołnierzy „Ostawit’!”

Przebranych w katorżne ubranie wyprowadzili nas na dziedzińiec, otoczyli żołdatami i wśród mroku, bocznemi ulicami, przeprowadzili do etapowego więzienia, — „piersylnoj tiurny” — gdzieś w okolicach św. Stefana.

Tu, chociaż w zamknięciu, mieliśmy niejakię swobody. Siedzieliśmy w salach ogólnych—kobiety niezamężne oczywiście osobno. Brakło coprawda najelementarniejszych wygod, nie było łóżek, ani najtwardszych nawet tapczanów, czyli tak zwanych „nar”; spaliśmy pakotem na podłodze, mając w najlepszym razie garść słomy pod głowę. Ale ta podłoga, bądź co bądź, była z desek, nie były to już twarde, wilgotne „kocie łby”, przedewszystkiem zaś, nie było tej straszliwej samotni więzienia całkowego. Znajomości zawierały się prędko—co gorsze, zastałem tu cały szereg dawnych znajomych, którzy, w najlepszej wierze oczywiście, o mały włos ledwo mnie nie zdradzili, nazywając głośno właściwem imieniem i nazwiskiem, gdy ja przecie uchodziłem za Teodora Stefańskiego. Wykrycie tej mistyfikacji groziło mi wznowieniem procesu i już niechybną karą śmierci. A przecie „Sybir to nie mo-

gila*, jak nam powiedział, przy pożegnaniu zacny zakonnik spowiednik, wołałem więc moje 12 lat katorgi, z której zawsze można drapnąć, niż szubienicę, z kąd już niema powrotu. Na szczęście, nie było wśród nas szpiegów, nikt też nie podsłuchiwał, więc też zdążyłem uprzedzić znajomych o mojej przemianie. Odtąd powszechnie za Stefańskiego uchodzilem.

W więzieniu etapowem wolno było przyjmować ofiary z miasta, więc tym, którzy mieli krewnych lub znajomych, przynieszone pieniądze, produkty spożywcze, tytoń, nawet ubranie, gdyż po ohydnej maskaradzie w sali sądowej, po ogłoszeniu wyroku, wolno było znów ubrać się po cywilnemu. Tylko skazanym na katorgę zaleconoschować ubranie aresztanckie na wypadek niespodzianej rewizji.

Ja nie miałem krewnych w mieście, znajomych wprawdzie miałem, ale nie mogłem przecie zdradzić się... tymczasem strawa więzienna była ohydna, trudno było wytrzymać. Na szczęście sledził ze mną zacny doktor Czekatowski *) z żoną; ten, znając mój sekret, postarał się, iż przyniesiono mi porządne ubranie, bieliznę, odtąd codziennie przy-

*) Czekatowski Piotr; szlachcic gub. Mińskiej skazany na wysłanie do bardziej odległych miejscowości Syberji „Alfawitnyj spisok etc.”

nosiła mi też dziewczyzna obiad, a nawet od czasu do czasu płaską butelczynę z wódką; jakkolwiek było to zabronione, ale nikt tam nie rewidował, lub rewidowano bardzo powierzchownie. Dwóch współkolegów i współwięźniów Ludwik Rudnicki *) z lidzkiego i ks. Händlus **) złożyli mi gotówkę 20 rubli, tak, że niedostatku nie miałem. Partja nasza liczyła około 800 osób, w tem z molch dawnych znajomych Kildysz, Lange, Żyliński, Gubiński, Danilewski ***) oraz jeszcze kilkunastu młodych chłop-

*) Rudnicki Ludwik szl. pow. lidzkiego, skazany na zesłanie do mn'ej odległych miejscowości Syberji „Alfaw. spisok etc.“

**) W „Alfaw. Spis“: Gundius (Hundius) Wienczyśław ksiądz proboszcz Wileńsk. kościoła św. Jana, z pochodzenia szlachcic gub. grodzieńskiej, zesłany do gub. tobolskiej.

***) Kildysz Donat, szlachcic pow. poniewieżskiego, uczeń szkoły w Gory-Gorkach, skazany na roboty katorżne (termin nie oznaczony).

Żylińskich jest dwóch w „Spisie“ Wiktor i Jan, obydwaj szlachta gub. Wileńskiej skazani: pierwszy na zesłanie do tobolskiej, drugi do tomskiej gub.

Stanisław Gubiński, szl. gub. wił. figuruje w „Spisie“ jako „zbiegły“.

Danilewskiego w spisie nie znalazłem, jest natomiast August Danilewicz z Poniewieża, skazany na 3 lata areztanckich rot w Tule, oraz Jan Danilecki, szlachcic pow. słonimskiego, skazany do katoggi, bez oznaczenia terminu. „Alfaw. spis.“ etc

ków—litwinów, których nazwisk nie pamiętam, przeważnie z oddziałów Nieszokocia i Szpaka. Nawiasem mówiąc, z tymi największa była bieda, jakkolwiek dobrzy, serdeczni chłopcy, ale wciąż się zapominali i nazywali mnie po imieniu. Na szczęście nikt obcy tego nie zauważył.

W ciągu pobytu mojego w więzieniu etapowym mieliśmy aż dwa śluby pomiędzy więźniami a pannami, które przyszły z miasta i następnie towarzyszyły mężom do Syberji. W katordze wyznaczone były dla rodzinnych osobne, wspólne cele, lub też w jednej, większej celi sadzano kilka par małżeńskich. Skazane kobiety siedziały osobno, i widzieć się z nimi było trudno, ale następnie, w drodze, pomieszały się płcie, to też zanim dojechalśmy do Permu, połowa wyszła za mąż, a w Krasnojarsku już ani jednej panny nie zostało. gdyż niewiast było stosunkowo mniej, a chłopcy... no: ogień i siarka...

Panna Tabeńska wyszła w Permie za mąż za doktora Łozowskiego *).

Dn. 10 lipca zbudzono nas wcześniej, niż zwykle i kazano przygotować się do drogi. A była

*) Łozowskiego w Spisie nie znalazłem, jest natomiast Łazowski Edward, lekarz z pow. nowogródzkiego, skazany na 4 lata katęgl.

to długa droga, która trwać miała bez mała rok cały.

Spakowaliśmy naszą ubogą chudobę—ubrania, bieliznę—do worków. W mieście w adomo było, iż dnia tego wysłana zostanie nowa partja na Sybir, więc od samego rana zebrał się tłum przed więzieniem. Byli to krewni skazanych, przeważnie kobiety: żony, matki, siostry. Każda dźwigała węzełek z prowiantami na drogę. Wpuszczono je na krótką chwilę, wstąpił się płacz straszliwy w całym więzieniu: pożegnania, błogosławieństwa.

Niedługo to jednak trwało, niebawem „smotritel” brutalnie usunął przybyłych. Nas wyprowadzono na podwórze więzienne, tu otoczono wojskiem, poczem ruszyliśmy w stronę dworca kolejowego. Czoło pochodu stanowili dragoni i żandarmi, po bokach szła piechota, z bagnietami na pogotowiu, w środku szara, zbiedzona ciżba skazańców, z tobołkami i workami na plecach, pochód zamykali kozacy.

Ulice były całkiem puste, jak wymiółł. Bramy domów pozamykane. Tylko we wszystkich oknach mnóstwo głów, przeważnie kobiecych i dziecięcych, Czasem, na krótką chwilę, wysunęła się jakaś ręka, mignęła biała chusteczka i znów się skryła. Czasem ze łzami nabrzmiącej czyjejs piersi wyrwał się okrzyk

zdlawiony: „Niech Bóg prowadził” „Dawidzenia!” „Wracaście!”.

Dworzec zapelniony był wojskiem; cywilnych tu nie wpuszczano, jeżeli się któryś odważył przecisnąć—aresztowano go natychmiast. Na peronie przeważała starszyna wojskowa, żandarmi. Niezmiernie długi wąż wagonów, wyłącznie trzeciej klasy, stał już przygotowany, dwie lokomotywy buchały kłębamii czarnego dymu.

Rozlokowano nas pośpiesznie; ścisk był ogromny w wagonach, tak, że tylko starsi i kobiety mogły siedzieć, my, młodzież, przeważnie staliśmy w przejściach. Ze mną w wagonie był Rudnicki, Malicki, ks. Romuald Skibiński, skazany na 8 lat katorgi, Pułjanowski, Jacuński. Była i panna Antonina Tańska.

Przy każdym oknie i przy drzwiach stał żołdat z bagnetem. Za torem kolejowym, po przeciwległej stronie dworca, stał tłum kobiet płaczących, kordon żołnierzy oddzielał je od nas. Niektóre kobiety z dziećmi na ręku, wdrapały się na dachy kilku wagonów, stojących na boczny torze, powiewały chustkami, lub pokazywały nas dzieciom. To wszystko jednak nie długo trwało. O godzinie dziewiątej rozległ się dzwonek... pierwszy... drugi... trzeci... lokomotywa odpowiedziała przeciągłym, żalonym

gwizdem... zgrzytnęły łańcuchy... glucho stuknęły bufory... pociąg ruszył. Usłyszeliśmy straszliwy płacz i jęk pozostałych kobiet.

Wtedy ksiądz Skibiński ukląkł w środku wagonu i zaintonował „Nie opuszczaj nas!” Myśmcy wszyscy uklękli i rozbrzmiała pleśń potężnie, górując nad mlarowym stukotem kół. Wpadł oficer moskiewski, rozindyczony:

— *Ej! Gospodin ksiondz, pierestantie, zdleś mie kostioł!*

Ale dla nas nie było wtedy władzy carskiej; nam królowała jedynie Ta „co w Ostrej świeci bramie”. Nikt nie powstał z klęczek, tylko potężnej jeszcze ze wszystkich piersi rozbrzmiewało: „Matko! Nie opuszczaj nas!”

Oficer machnął ręką i wyszedł.

Dośplewaliśmy ostatnią zwrotkę do końca i wstaliśmy, ocierając oczy rękawami katorżnych „brodiażek”.

Niektórzy płakali długo jeszcze, zwłaszcza kobiety i starcy. Powoli uspokoiło się, ale głośno nikt nie śmiał przemówić. Ciche tylko rozległy się szepty, przerywane tłumionem łkaniem.

Jechaliśmy bardzo powoli, nie zatrzymując się na małych stacyjkach. Z okien wagonów widzie-

liśmy na stacjach tłumnie zebrane obywatelstwo miejscowe, przeważnie oczywiście kobiety i dzieci, nie brakło także włościan. Nie dopuszczano ich na peron; wszystkie wejścia były pilnie przez żandar-mów i kozaków strzeżone. Zdaleka tylko, z poza płotów okazywali nam swe współczucie, powiewając chustkami.

Wieczór już zapadał, gdy pociąg zatrzymał się przed budynkiem stacyjnym w Dynaburgu. Postój trwał około kwadransa, podczas którego przy-czepiono jeszcze kilka wagonów ze skazańcami.

Po Dynaburgu coraz mniej widzieliśmy publicz-ności na stacjach. Jeszcze w Rzeżycy była dość spora grupka, ale żandarmi i kozacy rozpedzili ją. Potem zapadła noc...

Do Pskowa przyjechaliśmy nad ranem. Tu był dłuższy postój, gdyż przy-czepiono znowu kilka wagonów ze skazańcami. Wyjść na peron nie po-zwolono, ale wolno było przez żołdatów z bufetu otrzymać herbaty, wrzątku w czajnikach, bułek, wędliny.

Po godzinnym mniejwięcej postoju ruszyliśmy w dalszą drogę do Petersburga. Większość, po-chodząca z Wilna, miała z sobą kosze, porządnie naładowane prowiantami, które rozłożyli, ra-cząc się domowymi smakolokami. Byli jednak

tacy — do których i ja należałem, — którzy nic nie mieli.

OczywiŃsta, że bogatsi traktowali biedniejszych, Na razie przyjmowaliśmy to z niejakim zaambarysowaniem, dalej jednak zniknęły wszelkie różnice, dzielone się wszystkim zasadniczo, wszystko było wspólne.

Na stacjach rosyjskich już nie było tłumów współczujących, tylko kaczki roznosili wzdłuż peronu bułki, mleko, jagody, za co żdzierali bezlitośnie.

Do Petersburga przybyliśmy następnego dnia rano. Tu poraz pierwszy otworzono wagony. Wpuszczono nas do poczekalni III ciej klasy, oczywiście tyle tylko, ile się zmieścić mogło w dość obzernej sali, reszta pozostała na peronie, a było nas razem z tymi, których przyłączono w Dynaburgu i Pszkowie około tysiąca.

W poczekalni stał olbrzymi bufet, na nim dwa przepiękne samowary kipiały, leżały tu olbrzymie stopy butelek, wędliny, cukru oraz blaszane kubki, które każdy mógł zabrać z sobą. Poczęstunek był darmowy. Za bufetem stała pani generałowa Lutyńska, pomagały jej panny z towarzystwa, nalewając herbatę, rozdzielając bułki i mięsiwo. Sama pani generałowa, przystojna, młoda szatynka, słusz-

nego wzrostu, w jasnej sukni, była Polką z Suwalszczyzny, ale mówiła tylko po rosyjsku, gdyż otaczał ją rój oficerów moskiewskich, nłby asystujących pięknej pani, a właściwie szpłegujących i nastawiających uszu na każde słowo. Prócz herbaty, produktów spożywczych, których była moc wielka, rozdawano też bieliznę, ubranie a nawet pieniądze.

Otoczonych szeregami wojska poprowadzono nas z warszawskiego dworca na moskiewski, czyli tak zw. „Mikołajewski”. Ulice przepelnione były żandarmerją, policją, kozakami; publiczności cywilnej prawie się nie widziało. W drodze z Petersburga do Moskwy znów było ciasno niesłychanie, po ciąg wlokł się żółwim krokiem, na stacjach pustki, tylko kacapi roznosili herbatę, bułki, jagody po niesłychanie wygórowanych cenach.

W Moskwie ulokowano nas w olbrzymich koczach, tak zw. „Kałamażnom dworze”. Tu zastaliśmy kilkaset osób z poprzedniej partji—przeważnie warszawiaków. W obrębie więzienia cieszyliśmy się nieco większą swobodą mogliśmy wychodzić na dziedziniec, było też więcej miejsca. W Moskwie zaczęto nam regularnie wypłacać strawne: po 15 kop. dziennie szlachcie, nie szlachcie zaś po 10 kop.

Codziennie przyjeżdżał do więzienia kacap ze swoim wózkiem, który zaopatrywał nas we

wszelkie potrzeby, prócz produktów spożywczych można tu było nabyć papier, ołówki, a także bieliznę i ubranie.

Skorzystał z tego Jarosław Dąbrowski, oficer generalnego sztabu warszawskiego, który tu pozostał jeszcze z poprzedniej partji. Był to chłopiec młody, o twarzy gładkiej, jak dziewczyna. Kupił sobie od kacapa ubranie kobiece i w czasie gdy nas pędzono do łaźni publicznej, w przebraniu kobiecym, okryty chustą, przeszedł śmiało mimo straży i w ten sposób wy dostał się na swobodę.

Niebawem spostrzeżono ucieczkę więźnia, uderzono we wszystkie dzwony niezliczonych cerkwi moskiewskich, dzwoniły one przez dobrych kilka godzin, ale nic nie wydzwoały. Dąbrowski wpadł jak kamień w wodę.

Później słyszałem, że udało mu się umknąć do Francji. W r. 1871 przystał do komuny i został zabity na barykadach *).

*) Jarosław Dąbrowski, znany w organizacji pod przewiskiem „Lokietka”, aresztowany był jeszcze w sierpniu 1862 r. przesiedział w cytadeli do listopada (?) 1864 r. Wywieziono go dowięzienia w Moskwie, skąd umknąć zdołał. Zginął 1871 r. na barykadach paryskich podczas walk komuny z wojskami rządowymi (Por.: Henryk Cederbaum „Powstanie Styczniowe”).

Ucieczka ta dość niemile odbiła się na naszej doli: ograniczono nam swobodę ruchów, zwiększono czujność.

Zresztą pobyt nasz w Moskwie, niezbyt długo się przeciągnął. W dniu, w którym mieliśmy w dalszą wyruszyć drogę, zaprowadzono nas przed cerkiew starowerską i tu ustawiono w paru długich szeregach, naturalnie pod silną eskortą wojskową.

Z cerkwi wyszli kupcy-starowiery. Było to tak: Idzie gruby kupiec moskal, przy nim niemniej gruba jego połowica, za nimi paru „prykaszczyków” dźwiga wór, pełen miedziaków, przed nimi biegną dzieci... niektóre kilkoletnie, ledwo chodzić umiały. Kupiec sięga do worka po pieniądze i oddaje je dziecku, które z kolei rozdaje je więźniom, powtarzając „*prijmitie radi Boga*”. Było wielu z pośród nas, którzy zachnęli się na taką jałmużnę, ale dzieciaki tak serdecznie prosiły „w imię Boga”, że odmówić przyjęcia nie sposób było; bogatsi z pośród nas przyjmowali, by następnie, w sekrecie, oddać uboższym kolegom. Jakkolwiek datki były niezbyt wysokie, przeważnie 20—30 kopiejek, jednak szereg ofiarodawców tak liczny, że każdy mógł zbierać wcale pokaźną sumkę, wystarczającą na dalszą drogę. Dalej niesiono olbrzymie kosze z „kołaczami”,

z cukrem w torebkach po 2 funty, z herbatą po pół funta i t. p. Rozdawały wyłącznie dzieci*.

Trwała ta defilada okrągłe 4 godziny, poczem, wciąż pod silną eskortą wojskową, przeprowadzono nas na dworzec. W przeciwstawieniu do Petersburga ulice były natłoczone publicznością.⁶ Opowiadano mi, że podczas transportu pierwszych partyj, w r. 1863, ludność zachowywała się wrogo w stosunku do skazańców, piała na nich, obrzucała błotem i kamieniami.

Nic podobnego nie zauważyłem, tłum zachowywał się spokojnie, raczej przyjaźnie do nas usposobiony, chociaż swych uczuć nie mógł uwidocznic, gdyż przy najbliższym odruchu przyjaznym kozacy niemiłosiernie batożyli w prawo i w lewo nahajkami. Na dworcu zebrał się tłum inteligencji, studentów i kobiet. Ci nie ukrywali swych uczuć, powiewali ostentacyjnie chusteczkami, żegnali nas okrzykami. Przybył tu generał Zagreckoj, kazał dookoła ustawić szeregami i przemówił z konia, oczywiście po rosyjsku: „Panowie, nie bójcie się, miłosierdzie Imperatora naszego dla was jest bezgraniczne, jedźcie spokojnie, a w bardzo prędkim czasie zobaczymy się!” poczem zdjął czapkę i kłaniając się w koło wołał: „Do swidanja! Doswidanja” (Do widzenia). Potem, gdy nas rozlokowano w wa-

gonach, raz jeszcze przejeżdżał konno wzdłuż pociągu, kłaniając się i powtarzając „*Do swidanja*”.

Drogę do Niżnego odbyliśmy bez żadnych incydentów. W Niżnym zatrzymaliśmy się na kilka dni. Tu zastaliśmy około tysiąca rodaków z oo przednich partyj; nasza partja była bowiem pierwszą, którą wlezione koleją—poprzednie gmano plesto, wielu więc rozchorowało się w drodze; było to obdarte, wynędzniałe, schorzałe. Więzienie było tak przepelalone, że większość z pośród nas nocowała na podwórzu. Naczelnikiem wzięcia był polak-reneget Suraz, służbista i człek nieużyty. Na miasto puszczano nas, oczywiście pod silną eskortą, jednak, spowszy żołnierzy, uciec można było, były nawet w tym kierunku projekty, aleśmy ich ostatecznie zaniechali, gdyż każda taka ucieczka odbijała się następnie niekorzystnie na doli pozostałych. Stosunek ludności Niżnego do nas był obojętny.

Z Niżnego odbywaliśmy drogę wodą. W obszernym statku parowym ulokowano kobiety i starszych, dla nas przygotowana była olbrzymich rozmiarów tratwa, doczepiona do statku. Dookoła miała daszek, a pod nim, w formie galerji, ustawiono tapczany do spania. Środek był odsłonięty, ponieważ jednak pogoda dopisywała, czuliśmy się wcale

dobrze, w każdym bądź razie lepiej, niż w dusznych i ciasnych wagonach. Od Niżnego liczba nasza wzrosła znacznie, gdyż przyłączono do naszej partji maruderów z poprzednich. Byli między nimi dwaj bracia Limanowscy, Lucjan i Józef *). Z nimi zaprzyjaźniłem się i omawialiśmy plan wspólnej ucieczki.

Limanowscy mieli dokładną mapę Rosji i Syberji, ale brak znaczniejszej gotówki, niezbędnej do takiej imprezy, stanął na przeszkodzie.

Był też z nami na tratwie ksiądz Anatol Zenkowicz, również skazany do katorgi, ten bardzo się martwił, że brak najkonieczniejszych aparatów nie pozwala mu Mszy odprawiać, to też w zamian co rana i wieczór intonował „Kiedy ranne wstają zorze”, „Wszystkie nasze dzienne sorawy” oraz „Kto się w opiekę”. My wtórowaliśmy chórem i tak płynęła gorąca nuta polskiej modlitwy ponad beznamiętnym obszarem „matuszki” Wołgi..

W Kazaniu przyłączono do nas dwie nowe partje: jedna z nich składała się wyłącznie ze studentów - Polaków uniwersytetu kijowskiego, skaza-

*) Limanowscy Lucjan i Józef, bracia, szlachta pow. dynaburskiego, z majątku Podgórze, skazani na zesłanie do bardziej odległych miejscowości Syberji. Por. „Alfawitnyj Spisok etc.”

nych za tak zw. „powstanie kijowskie”; było ich około trzydziestu. Druga partja znacznie mniejsza składała się z Rosjan, pochodziła z samego Kazania. Na czele jej stał sędziwy prof. Michajłow.

Michajłow, profesor uniwersytetu kazańskiego, przejęty nędzą i cierpieniami polskich skazańców, pędzonych na Sybir, zorganizował przy pomocy niejakiego mnicha Melecjusza, młodego oficera, również Michajłowa i kilku innych osób tajny komitet, który ułatwiać miał polskim wygnańcom ucieczkę, zaopatrywać ich w pieniądze, fałszywe paszporty i t. p. Sprawa się wydała. Michajłowa z towarzyszymi skazano na katorgę. Była to postać czcigodna, starzec prawie osiemdziesięcioletni, jak gołąb siwłuteński, watły, schorzały, umarł wkrótce w katordze akatujskiej, w okręgu Czyty, umarł też w katordze w Aleksandrowsku - Nerczińskim, na moich rękach, imiennik jego, młody Michajłow. Ja mu trumnę zbilem.

Z Kazania jechaliśmy w górę Kamy do Permu, stąd wyprawiono nas końmi do Kuuguru. Właściwie tylko szlachta miała korzystać z komunikacji konnej — mieszczan i chłopów mieli gnać pleszo — wtedy my, szlachta, zrzekliśmy się strawnych, po 15 kop. dziennie od osoby, ½ za te pieniądze najmoweliśmy podwody dla towarzyszków.

Szeroki trakt Włodzimierski wiodł przeważnie okolicą lesistą; modrzew, sosna, świerk i brzoza, oto najpospolitsze drzewa. Wieś od wsi przeważnie w odległości 25—35 wiośt, duże, porządnie zabudowane, wzdłuż drogi, na jednym końcu zwykle cerkiew, na drugim—więzienie; tuż obok mieszkanie komendanta, wysłużonego oficera - pijaka, oraz żołnierzy.

Budynki więzienne, obliczone na mniejsze transporty katorżników, nie mogły oczywiście pomieścić naszej, przeszło tysiąc osób liczącej partji. Pozostawały tu przeważnie osoby rodzinne, kobiety, nas, młodzież, wypuszczono na wioś. Wtedy „komendant” zwykle mawiał:

— *Gaspada, stupajcie w dierewniu, po kwar tiram, tam dziewczki młodycy už żdut was!* (Panowie, idźcie do wsi na kwatery, tam dziewczęta już was oczekują).

Jakoż istotnie, oczekiwano tam nas wszędzie z otwartemi rękami. Dziwny to kraj, bogaty we wszystkie skarby przyrody, mlekiem i miodem płynący, ale całkowicie pozbawiony pieniędzy; dość powiedzieć, że my, nędzarze-wygnańcy, byliśmy dla tych ludzi krezusami, byliśmy jak gdyby żyłą złotodajną. Za 5 koplejek miało się nocleg z kompletnem, obfitem utrzymaniem. „*Po piataku s ryła*”.

Za 2—3 koplejki porcję mięsa z kaszą tak wielką, że dwóch mogło się najeść do syta. Duża miara twarogu ze śmietaną za 1 kop. Prosię pieczone z kaszą lub gęś za 5 — 10 kop.

Gdy szliśmy drogą wieśkową, ze wszystkich chat wylatywały baby, zapraszając nas:

— *Dworianie, dworianie, przychodicie k nam na kwartir!* („Panowie szlachta! przychodźcie do nas na kwaterę“.)

— *A dziewczki jest’?* („A dziewczęta są?“)

— *Postawisz pół sztowczika — budut.* (Postawisz pół miarki wódki — będą).

Za kieliszek wódki można było wszystko otrzymać, mąż sprzedawał własną żonę, rodzice stręczyli swe córki i jeszcze z wielkiej uciechy w ręce klaskali.

Bywało chłop wypije kieliszek, przeżegna się, pocałuje butelkę, ślinka mu ciecze i z kontentacji po brzuchu się klepie i odchwalić nie może.

Kiedy zaś kolega mój, Siemaszko, wydobyl z pod pachy nieodłączne skrzypce, gdy uciął skoczego, zlatywały się dziewczki z całej wsi, dziad stuletni zlał z pieca, a uraczony przez nas kieliszkiem wódki, puścił się „w prysudy“, tańczył do póki mu tchu stało, dopóki nie upadł, i wtedy jeszcze długo w takt nogami brykał.

Nawiasem mówiąc, smutny był koniec przyjaciela mojego Siemaszki. W Irkucku odmroził on sobie palce, położono go do szpitalu więziennego, tu mu w nocy jakiś „brodlaga”, który nagle dostał pomieszania zmysłów, siekierą głowę uciął.

Wspomniałem już, że większa część kolegów miała z domu, od rodziców, czy krewnych, jakie takie zasiłki pieniężne. Ja tylko byłem ich pozbawiony, a chociaż każdy chętnie się ze mną dzielił, nie chciałem na stałe korzystać z usług koleżeńskich, obmyśliłem więc sobie oryginalny sposób zarobkowania. Istniał przepis, niezbyt zresztą skrupulatnie obserwowany, że skazani na katorgę, drogę musieli odbywać w kajdanach. Na większych punktach etapowych sprawdzano to i jeżeli który nie miał kajdanów, nakładano mu je. Wiedząc o tem, kupiłem sobie w Permie pilnik. Gdy tylko pochód nasz wyruszył, zdejmowałem kajdany, mając, jako mechanik ślusarz, w tem wprawę. Za tę koleżeńską przysługę nie pobierałem zapłaty, ale kajdany pozostawały mi w zysku. Sprzedawałem je pierwszemu napotkanemu na drodze kowalowi, po pół rubla za sztukę, które tamten następnie odprzedawał z powrotem rządowi za półtora rubla. W ten sposób sprzedawałem około 300 kajdan, co mi dźło wcale pokaźny zysk, wystarczający, wobec niskich tamtej-

szych cen, w zupełności i na dobry wikt i na „półsztowczyka”.

Między Permem a Tobolskiem, przebiega granica Europy i Azji. Śród lasu, po obu stronach drogi, wznoszą się potężne, czworograniaste słupy kamienne. Nad nimi orły dwugłowe. Słupy, od góry do dołu pokryte napisami, wrytymi tu przez nieszczęsnych wygnańców, którzy nas wyprzedzili na tej krzyżowej drodze. Śród nadpisów odczytałem nazwiska zesłanych za rok 1831, a nawet konfederatów barskich i uczestników powstania Kościuszkowskiego. Oprócz napisów rosyjskich i polskich, były tu wryte we wszystkich językach: francuskie, włoskie, niemieckie...

Obok słupa granicznego wytryska kryształowe, jak lód zimne, źródło, z którego pokrzepiliśmy się przed dalszą drogą, jak zapewne wiele, wiele tysięcy naszych poprzedników.

Za syberyjską granicą, jak gdyby inny kraj, inny lud. Przyjmowano nas po wsiach serdecznie, nie tylko dla zysku, jak to bywało poprzednio, ale ze szczerego współczucia. Wypytywano dróbiażkowo o przebieg powstania, o powody klęski. Wogóle odróżniano politycznych zesłańców od kryminalistów, nas, Polaków, zaś szczególni darzono względami. Co raz częściej też spotykaliśmy po

większych wsiach i miasteczkach rodaków, skazanych tu na zamieszkanie. Ci nas witali sercem wyłanem, zapraszali do siebie, częstowali czem mogli. W Kungurze podejmowała nas pani marszałkowa Kupściowa, p. Szczęsny Oskierka, ks. Żukowski. W większych miasteczkach były orkiestry, złożone z dawnych zesłańców, które nam „Chłopickiego” rznęły; wtedy zbiegały się dziewczęta z całej osady, tańce trwały nieraz do białego dnia.

Trzeba zaznaczyć, że nam droga stosunkowo szczęśliwie się wiodła, ci, których wysłano wcześniej, w r. 1863 przechodzili prawdziwe piekło. Gnano ich pieszo, w kajdanach. obchodzono się jak najgorzej; tych, którzy upadali ze znużenia, bito niemiłosiernie kolbami. Moc też ich w drodze pomała. Tymczasem powiał „u góry” lny wiatr, i oto postępowanie władz uległo całkowitej zmianie, zanlecano bezcelowego pastwienia się, udzielano możliwych ulg, na drobne przewinienia patrzano przez palce. W tych warunkach droga nie była zbyt uciążliwą — gdy się miało dwadzieścia lat i kwitnące zdrowie..

Dookoła Tiumenta okolica równa, mało zalesiona, wsie duże, nieraz po kilka tysięcy mieszkańców liczące. Pola bardzo odległe, niekiedy 30 wiorst od wsi, tak że młodzież wyrusza niemal na

całe lato na roboty, żyje tam sposobem koczowniczym, w szalasach. Wtedy tym czasem stęci opustoszała, tylko starzy i dzieci tam pozostają. Uprawa roli niezmiernie prymitywna, rola zbyt odległa od wsi, nigdy nie bywa nawożona. W jesieni, po żniwach, mielą ziarno na miejscu, w licznych rozrzuconych wśród pola wiatrakach. Jeżeli jest rzeka w pobliżu, wiozą mąkę ku rzece. Worków nie znają wcale. Mąkę syplą wprost na wóz, potem zaś również bez worków syplą ją na tratwy, w kształcie wysokich, śnieżnych gór. By wiatr takiej góry nie rozwał, polewają ją dookoła gorącą wodą, w ten sposób formuje się twarda skorupa, chroniąca od wiatrów a poniekąd nawet od deszczu. Tratwy z mąką spławiają do większych miast, jak np. Tobolska, gdzie kupcy zbożowi, usunąwszy wierzchnią i dolną warstwę, kupują mąkę pszoną po 5—6 kop. za pud, żytnią jeszcze taniej. Wyprawa taka trwa, zależnie od odległości, niekiedy parę miesięcy, to też wydatki bardzo często przewyższają dochód i nierzadko chłop wraca do swej wsi o zebranych chlebie. Jeżeli wróci z rublem w kieszeni — uważa się za bogacza.

Ziemia, choć doskonała w gatunku, wyjąłowała skutkiem wiekowej, rabunkowej gospodarki. Dopiero wysiedleńcy Polacy nauczyli ludność miej-

scową bardziej racjonalnej obróbki ziemi i obchodzenia się z nawozem, ratując ją przed widmem głodu. To też nawet popi w cerkwiach, podczas kazania mawiali: „Dziękujcie Bogu za to, że nam tu przysłał Polaków, oni nas nauczyli uprawiać rolę.”

Najprzychylniejsi dla nas byli niewątpliwie Starowiercy, nawet jeżeli nie miałeś grosza przy duszy, dostałeś u nich nocieg, suty poczęstunek i jeszcze na drogę cię zaopatrzył, powiadając: „kiedy nas prześladowano, to wy, Polacy, przyjeśliście dziadów naszych i pradziadów”. Pomiedzy starowiercami a ludnością prawosławną panuje głęboki rozdział, przechodzący nieraz w otwartą nienawiść.

Plagą kraju są „brodiagi” t. j. zbiegli katorżnicy; łączą się oni w gromadki po kilkanaście osób, na noc wstępują do karczem przydrożnych, gdzie sekwestrują całą wódkę, płacąc zwykle złotem, skradzionem w kopalniach. Potem piją całą noc i grają w karty, przyczem zwykle wynikają bójk. Nazajutrz pozostaje na placu kilka trupów. Ludność w obawie przed brodiagami wystawia zwykle na noc przed domem, na ławie, resztę wleczery: miśkę z kaszą, mięsivem, chleb... w przeciwnym razie całą wieś puściliby z dymem. Jest to jedna z głównych przyczyn, dla której ludzie osiadają tu gro-

madnie, tworząc duże wsie, chociaż do pól swych muszą dojeżdżać nieraz o kilkanaście lub kilkadziesiąt wiorst. W pomniejszych osiedlach padliby niechybnie ofiarą „brodiagów”.

Gdy dojeżdżaliśmy do Tobolska, pierwszy śnieg, lekka, białą powłoką, pokrył ziemię. Ołowiane niebo wisiało nad olbrzymim, ponurym gmachem „turmy”. Wywoływano nas z listy imiennie, potem parami wpuszczano przez zamczystą bramę więzienną. Jakież jednak uderzył nas widok! Na obszernym dziedzińcu, otoczonym dookoła wysokim murem, stały w podkowę stoły, pokryte śnieżnemi obrusami, zastawione najwykwintalejszymi przekąskami i całymi baterjami butelek przedniego wina, wódek i likierów. Dookoła stołów stało około 500 osób: było to miejscowe obywatelstwo, przedewszystkiem inteligencja wolnych zawodów, nauczycielstwo, rzesze bogatego kupiectwa, nie brakowało też urzędników, a nawet... oficerów.

Była to owacja, urządzona przez mieszkańców Tobolska — dla Michajłowa Ujrzawszy czcigodnego starca, rzucili się ku niemu, witając i całując po rękach, potem tryumfalnie zanieśli go do zastawionych stołów, posadzili na pierwszym miejscu, zdjęto mu żelazne kajdany i włożono — szczerozłote. Kajdany żelazne Michajłowa przekuto następnie na pier-

ścienie z napisem „Po ubieżdzeniu” („Z przekonania”), które sprzedawano po wysokich cenach — na rzecz politycznych więźniów. Dsmy syberyjskie szczyły się posiadaniem takiego pierścienia.

Zaproszono na ucztę także zesłańców, którzy przybyli wcześniej do Tobolska i siedzieli w więzieniu. W ich liczbie była też pani Kirkorowa *), był

*) U p. Heleny Kirkorowej, żony głośnego publicyisty wileńskiego, w Warszawie, ukrywał się ostatnio Traugutt pod imieniem „pana Michała”. Tu został aresztowany i na śmierć skazany. Razem z Trauguttem aresztowano gospodynię mieszkania, p. Helenę Kirkorową razem z jej 70-cio letnią matką staruszką i 6-cio letnim synkiem. Mocą wyroku, potwiermowanego przez namiestnika jeneral - adjutanta hr. Berga 18—30 lipca 1864 r. skazana została w drugiej kategorii wraz z Emilją i Barbarą Guzowskimi na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do robót ciężkich na lat 8. (Guzowskie na lat 6). Por. Dubiecki: „Romuald Traugutt” str. 119—120. Henryk Cederbaum „Powstanie Styczniowe, wyroki Audytorjatu Polowego” str. 151 i 154.

Według Karpowicza Helena Kirkorowa, po odbyciu katorgi w Usolu, była w Irkucku i jako aktorka wstąpiła tu na scenę rosyjską, wyśmiana za swój akcent polsko-wileński, wyszła za p. Piłoro, który miał sklepik (por. Alfawitnyj Spisok esc.* Piłoro Antoni b, Mirowsy Pośrednik pow. Orszańskiego, właściciel maj, Pogoście 1973 dziesięćcin—skonfiskowanego, skazany na 10 lat katorgi). Później wrócili do kraju.

z moich dawnych znajomych Czapski, Pizani, Obrąpalski i Hoffman **).

Podczas uczty, Michajłow zaimprowizował następujący wiersz, który wnet podchwycili wszyscy obecni, śpiewając chórem:

*Krepko družno was w objatja
Wsiech by bratja zakluczył
I nadzieży i proklatja
S wami bratski razdzielil.*

*No tupaja siła złoby
Won iz bratskawo krużka
Gonit w snieżnyja sugroby
W t'mu i chołod rudnika*

*No i tam, na zło gonienju
Wieru łuczszuju moju
W mołodoje pokolenje
Swiato w serdce sochraniu*

*Bud' barba uspieszniej wasza,
Wstret' w boju pobieda was,
I minuj was eta czasza
Otrawljuszczaja nas.*

***) Pizani Paweł dymisj. podpor obyw. nowoaleksandrowskiego (jeziorowskiego) pow skaz na katorżne roboty

Entuzjazm był ogromny, ściskano nas, całowano, potem śpiewano „marsyljanek” potem znów naprzemian polskie i rosyjskie pieśni. Uczta przeciągnęła się do późnej nocy.

Cała sprawa była zbyt głośna i z konieczności musiała dojść do uszu wyższych władz. Nastąpiły masowe areszty, dzień sądny nastąpił w Tobolsku. Wzburzenie w mieście i w więzieniu było niezwykle, lada chwila groziło wybuchem krwawej ruchawki. Władze centralne, do których z kolei doszły te niepokojące wieści, postąpiły w tym wypadku bardzo rozsądnie: na gubernatoraznaczony został Polak Despot Zenowicz. Ten, niezwykle swym taktem załagodził i zlikwidował całą sprawę. Kilkakrotnie przyjeżdżał Zenowicz do więzienia, gdzie wrzało jak w ulu, rozmawiał z nami jak równy z równymi, perswadował i wnet przywrócił spokój i ład, nie uciekając się do żadnych represyj.

Z owego czasu pamiętna mi jest następująca wesoła scenka:

i Obrąpalski Michał szl. dzisieńskiego pow. właściciel maj Sworaczyna skaz. na 8 lat robót katorż. w forfecy; por. „Alfaw. Spisok etc.”

Hofman Marcell (?) skazany na dożywotnie osiedlenie w Syberji (Por H. Cederbaum „Powstanie Styczniowe”) Czap-skiego nie znalazłem.

Było w więzieniu z nami sporo cudzoziemców, uczestników powstania polskiego: Francuzów, Włochów, Węgrów, Niemców. Wielu z nich ani słowa nie umiało ani po polsku, ani tatarskiej po rosyjsku.

Każdy z nich miał swe specjalne życzenia, przeważnie chcieli porozumieć się ze swymi konsulami, zawiadomić swe rządy o położeniu, w jakim się znaleźli, by w ten sposób wywołać interwencję dyplomatyczną. Dotąd im się to nie udawało, gdyż zarówno sądy polowe jako też następnie urzędy transportujące nie zwracały na to uwagi, traktując ich narówni z nami, a nawet może jeszcze gorzej, jako że porozumieć się nie mogli. Ujrawszy tedy Despotę Zenowicza, a przeczuwając w nim człowieka europejskiego, zbiegli się ze wszystkich kątów obszernego więzienia i dawaj szwargotać we wszystkich językach, każdy przekładając swe bolączki. Zenowicz, otoczony dookoła, rozeźmiał się głośno: „A gdzież tu—powiada—są Polacy?” Swoją drogą wysłuchał każdego uważnie, każdemu odpowiedział w jego języku, przyrzekł zrobić wszystko, co w jego mocy i dochował przyrzeczenia.

Dla Polaków, którzy byli na stałe zesłani do Tobolska, był on prawdziwym ojcem-opiekunem. Nie lubił tylko pańczyków, którzy z domu otrzy-

mywali znaczne zasiłki, wiedli tu życie hulaszcze, przynosząc wstyd imieniu polskiemu. Zdarzało się, iż ujrawszy takiego franta, pijanego, jadącego niezadko z ładacznicą, sam go ścigał z dorożki i kijem lupił.

Potem dowiadywał się o adres rodziców, z którymi stale się komunikował.

Partja nasza miała czas dłuższy odpoczywać w Tobolsku przed dalszą, niezmiernie uciążliwą drogą.

Było to nie po mojej myśli — za dużo tu spotykałem znajomych, mogło się wydać moje prawdziwe nazwisko... Poprosiłem więc Zenowicza, aby male wysłał z inną partją, która tu wcześnlej przybyła i wcześnlej miała być wyprawiona. Zgodził się natychmiast, nie pytając o powody.

Pożegnałem tedy najserdecznlej kolegów, oraz panie, z którymi dotychczas dzieliłem dołę i niedołą tej przymusowej podróży. Panna Tobeńska Antonina została w Permie, gdzie wyszła za mąż również oczywiście za powstańca i dzieliła z nim następnle katorgę, jakkolwiek sama na lżejszą skazana była karę, mianowicie na zesłanie do mniej odległych miejscowości Syberji. Była natomiast z nami pani Kirkorowa, która mi dużo ciekawych szczegółów opowiadała o Traugucie, były tu kilkakrotnie po-

przednio wspomniane Narbuttowa matka z córką *)
i inne.

Z Tobolska jechaliśmy do Tary, lecz nie dużym gościńcem, gdyż rzeki podówczas rozlały, cała równa okolica jak jedno bezmierne morze, trzeba więc było krażyć drogami okólnymi. A były to drogi fatalne: we dnie błoto, zmieszane ze śniegiem, który spadał wielkimi, mokreymi płatami, topolejąc natychmiast; nad ranem straszliwa gruda. Wlekliśmy się noga za nogą, za to swoboda panowała całkowita. Zamiast żołdatów eskortowali nas obecnie kozacy. Na partję maszą, liczącą kilkaset osób, dawano zwykle czterech ko-

*) W trakcie drukowania niniejszej pracy, otrzymałem od p. Jana Olszewskiego z Niemenczyna list treści następującej:

Sanowny Panie Redaktorze.

Chciałbym uzupełnić w spisanych przez Pana „Wspomnieniach powstańca z 1863 r.” szczegóły, dotyczące rodziny Narbutów.

Imię Pan Rotmistrz Józef Karpowicz mylił się tylko co do stopnia pokrewieństwa do zabitego Ludwika Narbutta zsyłanych wówczas przez gen. Wiatkina dwóch kobiet.

Nie były to jego matka i siostra rodzone, ale rodzona ciotka Izabella Olszewska, córka historyka Litwy, Teodora Narbutta, a moja babka, — oraz jej córka, a cioteczna siostra Ludwika Narbutta Eleonora Olszewska (moja ciotka).

zaków, dwóch jechało przodem, dwóch zamykało karawanę. O ile we dnie ciężko było podróżować wśród jesiennej szarugi, o tyle bardziej pożądanym był nocleg w ciepłej izbie, wśród obfitości wszelkiego jadła. Gdy wjeżdżaliśmy do wsi, baby czekały już rozchwytywały nas na kwatery. Lud tu bogaty we wszystko (oprócz pieniędzy) wesoły, chaty obszerne, schludne, w oknach nierzadko firanki Ceny bodajże jeszcze niższe niż w okolicach Permu, obfitość mięsna i chleba tak wielka, że się wcale z tem nie liczo, nie tylko opychano nas gościnnie do przesyty, ale nazajutrz naśadowano jeszcze na drogę torbę podrózną, nie biorąc za to dodatkowej zapłaty. Dawała się jedynie nieco we znaki pewna jednolitość w odżywianiu: wciąż tylko baranina. Rzeczą charakterystyczną jest, że w tym

Obie były zesłane wówczas za dostarczenie oręża i żywności dla partji Ludwika Narbutta, — początkowo do Nerczyńska, a następnie przeniesione do m. Galicza Kostromskiej gub., gdzie moja Babka zmarła w 1870 r. i pochowana tamże na cmentarzu Żeńskiego monasteru, Ciotkazał zmarła w Wilnie, w czasie okupacji niemieckiej i pochowana na Rossie.

Racz przyjąć etc.

Jan Olaszewski

prawnuk Teodora Narbutta.

Niemenczyn, 23.XI. 28.

czasie ludność tutejsza nie znała wcale użycia wieprzowiny. W dużej wsi było czasem kilkanaście świń, które żyły nawpół dziko, same karmiąc się wyrzucanymi odpadkami. Prosięta pieczono, o ile zaś zakluto dużego wieprza, to używano słoniny i sadła wyłącznie... do smarowania kół. Dopiero my, Polacy, nauczyliśmy ich wyrabiać wędliny, kiełbasy, solić słoninę, w której niebawem rozsma. kowali się; zwłaszcza Tunguzi i Burjaci przepadali za nią uważając za najprzedniejszy przysmak.

Wogóle Polacy uważani byli za błogosławieństwo tego kraju. Tych, którzy skazani byli tylko na zesłanie, jako też tych, których po odbytej katordze rząd rozkolonizował po wsiach, ludność witała błogosławiąc. Starszyzna chłopska wnet im wydzielala gospodarke, nie tylko ziemię, ale wszelaki sprzęt, inwentarz, nawet... kobietę — „na wybór” byli tylko zostali i uczyli ich rolnictwa. Wielu z naszych dorobiło się na roli — mało jednak kto został na stałe, gdyż tęsknota za Ojczyzną, za kulturalnym otoczeniem była przemożna.

W pewnej wsi, której nazwy nie pamiętam (było to w gubernji tobołskiej) podczas postoju poznałem sędziwego wygnańca-polaka, Nowackiego z Konina w Kaliskiem. Był to stary napoleończyk; z Cesarzem odbył kampanję hiszpańską; w r. 1812 tym

wzięty przez kozaków do niewoli, zesłany został na Sybir, gdzie o nim zapomniano. Przypominam go sobie jako starca całkiem zgrzybiałego, zupełnie ociemniałego. Mieszkał u pewnego, dość zamożnego kapana, którego dzieci niańczył. Mowy ojczystej nie zapomniał, gdy mu zaś opowiadałem o powstaniu, wypytywał jedynie o Napoleona III, w którym widział następcę i jak gdyby przedłużenie wielkiego Cesarza. Reszta wcale go nie obchodziła. Przyznać należy, że gospodarz i gospodyni traktowali „dieduszkę” z wielkim szacunkiem, wogóle wieś cała czciła go, niemal jak świętego.

Tymczasem nastąpiła zima, lute, syberyjska zima. Ustaliła się senna i posuwaliśmy się obecnie szybciej naprzód, bez szczególnych przeszkód. Dopiero podczas ostatniego postoju przed jezioro Bajkałem zdarzył mi się wypadek, na pozór drobny, który jednak o mało nie przypłaciłem życia. Z wieczora w węższym etapie jakimś „brodłaga” skradł mi kożuch. Nazajutrz rano, wsadzono mnie w cienkim, aresztanckim płaszczu na sanie, poczem przy siarczystym mrozie i wietrze, po równej i lśniącej, jak zwierciadło, powierzchni jeziora, pędziliśmy na chyżych, jak strzela, konikach burjackich dziesięć opętanych mil drogi, bez odpoczynku. Zakopałem się w słomie, które naręcze rzucono na sanie;

niebawem jednak mróz mnie zmógł — straciłem przytomność. Zmarzłego na kość napół dziki Burjat woźnica wyrzucił jak tłomok przed więzieniem etapowym i, słowa nikomu nie rzekłszy, odjechał. Na szczęście zauważyli mnie koledzy, podnieśli, odtarli śniegiem i do życia przywrócili. Od owej zimowej przez Bajkał przeprawy dostałem nieznośnych bólów w krzyżu, które przez całe życie mnie już nie opuściły.

Od Bajkału jeszcze blisko tysiąc wiorst do Aleksandrowska, jednego z katorżnych osiedli okręgu Nerczyńskiego. Zatrzymywano nas kilkakrotnie na dłuższy postój, tak, że zanim dojechalismy do celu naszej podróży, było już lato w pełnym rozkwicie.

Rok spędzony w drodze, pełen niewygód ale też i wrażeń różnorodnych, minął jak sen.

Zaczęły się lata katorgi.

Było nas, Polaków w nerczyńskim obwodzie około 10 tysięcy. W obrębie więzienia stanowiliśmy jak gdyby autonomiczne państwo, którego zasadą była: samowystarczalność. Władze więzienne prawie nie wtrącały się do naszego wewnętrznego życia, przestrzegając tylko w ogólnych ramach dyscypliny więziennej. Wszystko oczywiście zależało od osobistości komendanta danego więzienia, który fak-

tyczale był panem nieograniczonym życia i śmierci. Byli między nimi prawdziwe zwierzęta, którzy na śmierć katowali więźniów. Przy wymierzaniu kar cielesnych nie liczono razów, wyrok brzmiał: „*po ukazu Jego Impieratorskago Wielichestwa otpustit... pud (dwa, tri puda) pałek*”. To znaczy, bito do póty, do póki nie zużyta została wyznaczona w wyroku ilość pałek, rozkładając karę taką na szereg tygodni lub miesięcy, ostatecznie jednak delikwent konał zwykle pod razami.

Sprawiedliwość nakazuje zaznaczyć, że działało się to przeważnie w katogach, przeznaczonych dla kryminalistów, jednak i polityczni podlegali karze cielesnej, chociaż na ogół rzadko ją stosowano. Pamiętam następujący wypadek, dotyczący kolegi mojego z Wilna, Franciszka Niepokojczyckiego, który razem ze mną był sądzony, razem odbywał katogę w Aleksandrowsku. Człek niezwykle żywego charakteru, pokłócił się pewnego razu o jakiś drobniąg z komendantem więzienia. Ten krzyknął na niego:

- Powinieneś ustąpić władzy!
- Ustępuję przemocy — odpowiedział.

Komendant kazał go posadzić do karceru. Na-
zajutrz przychodzi i pyta:

- Władza, czy przemoc?

— Przemoc — odpowiada.

Powtarzało się to regularnie, co dnia, w ciągu miesiąca, podczas którego biedak siedział w ciemnicy na chlebie i wodzie. Po tem wysłano go do innego więzienia, do Aketui, gdzie panował znacznie sroższy rygor. I tu niebawem doszło pomiędzy hardym więźniem, a władzą więzienną, do zatargu. W rezultacie złożono „sąd”, składający się z komendanta i kilku oficerów, który skazał Niepokojczyckiego i jeszcze 15 jego kolegów na różgi. Chcąc uniknąć hańbiącej kary i zwłaszcza ratować kolegów, Niepokojczycki wpadł na myśl, symulować pomieszanie zmysłów, i tuż, w obliczu sędziów, jak był okuty, w kajdanach na rękach i nogach, zaczął tańczyć „kamarlińskiego”. Tańczył wściekle, to przysiadając, to na równe zrywając się nogi, to przytupując, a przyśpiewując, nareszcie zaczął wywijać kozły. Z początku zbudziła to zdziwienie, później śmiech ogólny. Sędziowie prawdopodobnie nie uwierzili, jednak rozbawieni zamienili wszystkim karę cielesną na areszt w karczerze. Na tem się skończyło. Od czasu owego baletu, Niepokojczycki otrzymał wśród kolegów przydomek „klepskiego warjata”.

Byli jednak i bardzo ludzcy zwierzchnicy, jak np. u nas w Aleksandrowsku, komendant Iwanow, który przestawał z nami jak brat i kolega, jadł

z jednego z nami koła, urządzał różne rozrywki, muzykę i t. d. To też podwładny jego, Niemiec, Knebloch, tak długo pisał nam do Petersburga donosy, aż go usunięto z miejsca.

Jakkolwiek zwierzchnia władza nad więzieniem i więźniami spoczywa w ręku komendanta, znacznie większy wpływ na życie więzienne ma tak zw. „smotritiel”, czyli inspektor, jako ten, który osobiście, bezpośrednio codziennie z więźniami się styka. U nas „smotritielem” był Polak, Wiktor Wołyński, człek bardzo taktowny. Jeżeli były z naszej strony jakieś przekroczenia, oświadczał krótko: „Tego, panowie, niepowinniście robić; ja was karać nie będę i niemogę, jako swoich rodaków, ale mnie za to ukarzą”... Było to więcej niż groźba karceru lub nawet chłosty. Każdy wystrzeżał się, by zanego rodaka nie narazić na przykrość i skutkiem tego stosunek z władzami układał się przeważnie jak najpomyślniej.

Skazani na katorgę, podlegaliśmy tak zw. „ciężkim robotom”, w rzeczywistości nie były one bynajmniej tak ciężkie, raczej wszystko działo się pozornie, jako że przy tylu skazanych, nie starczyłoby pracy. Wyprowadzano nas partjami po 50 osób, praca polegała zwykle na przesypywaniu rudy z kupy na kupę, kto chciał, robił to, już cho-

ciażby dla samego ruchu, kto nie chciał, wygrzewał się na słońcu, o ile to było lato. Straż składała się z kilku zaledwie żołnierzy, dodanych również raczej dla pozorów, którzy fajki paliłi, gawędzili z więźniami i nie myśleli przynaglać do roboty. Potem mijalo kilka tygodni, nieraz cały miesiac zanim znowu kolej przyszła na naszą partję iść do roboty. Ludzie starsi, familijni, kobiety, pozostawali w domu, o ile koszary więziennne godzi się nazwać domem.

Rozkład dnia w katordze był następujący: wstawaliśmy o szóstej, poczem dzień cały mogliśmy robić, co się nam żywnie podobało. W obrębie koszar więziennnych i dziedzińca mieliśmy zupełną swobodę ruchu — na miasto wypuszczano tylke za każdorazowem pozwoleniem. Każdy z nas zajmował się jakąś pracą, po pierwsze, żeby nie zginąć z nudy, powtóre także dla zarobku, gdyż rząd dawał nam dziennie po 3 fuaty mąki i 3 kopiejki, co nie wystarczało nawet na skromne życie.

Ponieważ było między nami sporo fachowych rzemieślników, założyli oni na własną rękę warsztaty, inni zaś poszli do nich do terminu. Ślusarstwem nie wolno było trudnić się, więc przystałem do stolarzy i wkrótce nabyłem wprawy, że wyrabiałem nie tylko zwykłe stołki, ławy itp. ale także

wytworniejsze meble, wszelkie drobiazgi: fajki, pudełka, guziki itp. Zbyt mieliśmy w mieście, zdarzały się też poważne zamówienia rządowe na ławy, tapczany, okna itp.

Mieliśmy własną pralnię, która oprócz naszej bielizny przyjmowała też robotę z miasta. Ja dla tej pralni sporządziłem megle.

Mieliśmy własnego masarza i za pieniądze składkowe kupowaliśmy wieprze, które przerabiano na kiełbasy i wędliny. Co lepszego sprzedawaliśmy, a wyroby nasze były wprost rozchwytywane przez urzędników, oficerów, przez władze więzienne, oraz w mieście, przez kupców. Resztki wszelkie szły na urozmałcenie własnej kuchni.

Zakupywaliśmy też woły, których mięso szło na naszą kuchnię, z łoju zaś fabrykował Woźnicki*) mydło i świece. Mydło sprzedawaliśmy po 8 rubli za pud, świece po 12 rb.

Był też cukiernik Żurakowski, który z cukru i mąki kartoflanej wyrabiał lalczki, dzieci w powiśkach itp. Co pewien czas wychodził na miasto i przynosił za każdym razem po 20 rb. i więcej.

*) Poddany pruski Ignacy Woźnicki (vel Dartsch) skazany za udział w powstaniu na roboty ciężkie w kopalniach przez lat dwanaście. Por. Cederbaum „Powstanie Styczińskie.”

Familijni z pośród nas mieszkali w osobnych celach i prowadzili gospodarke na własną rękę; tu wspomnieć muszę o zacnej pani Krynickiej, żonie pana Mikołaja, która dobrowolnie przyjechała za nim do katorgi.

Dawała ona na mieście lekcje francuskiego i niemieckiego i przez rodziców uczenic wpływała na starszyznę więzienną, wyrabiając nam wszelkie ulgi.

My, kawalerja, stołowaliśmy się wspólnie, mieliśmy gospodarza, pana Surina *), który codzień wychodził na miasto i kupował tam wszystko, co było niezbędne.

Mieliśmy własny, spółkowy sklep, na który płaciliśmy po 5 kop. od rubla zarobionych pieniędzy i po 10 kop. od przysyłanych. W sklepie można było otrzymać tytoń, herbatę, cukier, papier, ołówki, pióra, atrament, masło, mąkę pszenną i inne. Sklepiarza wybieraliśmy, był nim początkowo Pęski, potem Nowakowski.

Nareszcie założyliśmy własną kawiarnię, gdzie za 1 koplejkę można było dostać o każdej porze kubek kawy, oczywiście zbożowej, z mlekiem, ale

*) Surin Piotr, szlachcic gub. mohylowskiej, student instytutu w Hory - Horkach skazany na 12 lat katorgi. Por. „Alfawitnyj spisok.”

bez cukru, gdyż był bardzo drogi. Kawlarnię prowadził Strupczewski *).

Na dziedzińcu więzielnym urządziliśmy ogródek, obsadziliśmy go brzoškami. W ogródku mieliśmy sałatę i inne warzywa.

Monotonję życia więzielnego urozmaicaliśmy sobie, hodując różne zwierzęta: oprócz psów i kotów mieliśmy oswojoną przepiórkę, kuropatkę, kury... Książę Massalski **) miał koziołkę, którego niezmiernie lubił, i sypiał z nim razem. Przyszła mu fantazja pańska—oddał koziołkę na miasto, do złotnika, by mu wyłocł rożki. Złotnik, widocznie amator taniej pleceń, koziołkę zjadł, rożki zaś pozłocł i odniósł je księciu, który z wielkiej alteracji rzucił się na złotnika i począł go dusić, tak, że musieliśmy ich przy pomocy sikawki rozdzielić.

Poza władzą więzielną, mieliśmy naszą, własną, obieralną. Starostą naszym był Czerwiński ***).

*) Kojetan Strupczewski, litograf z Warszawy, odbijał w swoim zakładzie litograficznym odezwy etc. za co skazany na 12 lat katorgi, którą to karę namiestnik hr. Berg omyłkowo podwyższył do lat 20-tu. Por. Cederbaum „Powstanie Styczińowe”.

**) Książę Adam Masalski, mieszkał w Wilnie, skazany, na katorgę. Por. „Alfawitnyj spisok”.

***) Rajmund Czerwiński, stud. inst. w Hory - Horkach, skazany na katorżne roboty. Prócz niego brali udział w po-

W razie wewnętrznych nieporozumień, mieliśmy własny sąd; karność była między nami wzorowa. Jeżeli ktoś popełnił czyn niebonerowy (co w takim skupieniu i przy takich warunkach mogło się zdarzyć) musiał publicznie do winy się przyznać i kolegów przeprosić, w przeciwnym razie przedstawiliśmy z nim mówić, co równało się najcięższej karze i doprowadzało skazanego po pewnym czasie niemal do obłędu.

Przysłano do nas niejakiego Nadrowskiego *), również skazańca politycznego. W powstaniu był on dowódcą żandarmów w Radzymińskiem, popełnił w pewnym domu obywatelskim gwałt i następnie, dla ukrycia zbrodni, pannę i jej matkę powiesił. Sprawa się wydała, Rząd Narodowy skazał Nadrowskiego na karę śmierci; wykonanie wyroku powierzone zostało innemu naczelnikowi żandarmów. Nadrowski zawczasu przewąchał, co mu grozi i uciekł, wpadł jednak w ręce moskalów, którzy (nie wiedząc

wstaniu Bronisław i Paweł Czerwińscy, obydwaj straceni. Por. „Alfawitnyj spisok.”

*) Niejaki Antoni Nadrowski za udział w organizacji żandarmów wieszających, skazany został przez Audytorjat policyjny warszawski w dn. 28 maja 1864 r. na ciężkie roboty przez lat 8. Por. Cederbaum „Powstanie Styczniowe.”

dobrze, z kim mają do czynienia) skazali go na katorgę.

Narazie przyjęliśmy Nadrowskiego, jak kolegę, byli jednak między nami tacy, którzy go poprzednio znali, ci zakomunikowali Innym — zwołano Radę, na której zapadło postanowienie bojkotowania Nadrowskiego, w ten sposób, że nikt z nim słowa nie zamieni. Po krótkim czasie, bliski obłędu Nadrowski ubiegał władze katorżne, żeby go przesłali do innego więzienia, tam jednak powtórzyło się to samo, wtedy ułtował się naczelnik i zesłał go do Streteńskiego, gdzie siedzieli wyłącznie kryminaliści. Co się z nim dalej stało — nie wiem.

Tak więc byli między nami niewątpliwie wyrzutki i zbrodniarze, ale jako ogół potrafiłszy w czystości utrzymać nasz honor.

Prócz pracy fizycznej, którą mieliśmy w naszych warsztatach, człek łaknie stawy duchowej. Takie rozrywki jak warcaby, karty (własnego wyrobu) nie mogły nas zadowolić. W kopalni Kazimurze mieliśmy centralną biblioteczkę wygnańczą, skąd przychodziły partje całe ksiązek, skwapliwie czytanych. Przychodziły też książki z kraju, oczywiście ze stemplem t. zw. „3 go oddziału” „przejrzane”.

Gazet politycznych właściwie nie wolno było prenumerować, ale za pośrednictwem oficerów, lub

z miasta, otrzymywaliśmy je dość regularnie. Prócz tego zaprenumerowaliśmy też „Kłosa”; każdy numer tego pisma witany był z niezmierną radością, czytany wieczorami, wspólnie, głośno.

Niezapomniano też o najważniejszym... mieliśmy między nami księży, ci sprowadzili niezbędne aparaty, ja zbudowałem coś, w rodzaju ołtarza, z szefeczką, która zastępowała Cyborjum, jedną z sal więziennych przeznaczyliśmy na kapliczkę, gdzie codziennie odprawiana była Msza św.; księża słuchali spowiedzi. W niedziele zwłaszcza kaplica była przepelniona, po Mszy zaś zbieraliśmy się u księdza na pogawędkę i kieliszeczek wódki...

Jako, że byli między nami cudzoziemcy: Włosi, Francuzi, Niemcy, więc uczyliśmy się od nich języków. Ja, przestając zwłaszcza z Włochami, nieźle ich mowy wyuczyłem się.

Mieliśmy także własną muzykę. Jeden z kolegów miał skrzypce, które mi za model posłużyły — zrobiłem takich skrzypiec 20, dwie wiolonczele i jeden kontrabas. Sformowała się orkiestra: na kontrabasie grywał ks. von Kenast, na wiolonczelach Konstanty Wiszniewski i Wincenty Ossowski, na flecie ks. Baratyński (rosjanin), na klarncie Konstanty Odrzechowski, na skrzypcach Siemaszko, Trojanowski, Nehryng, Ambrożewicz, Pribe, Włodzimierz No-

wicki, Wincenty Stefanowski, Lipiński, Bartodziejski i Moszkowski *).

Urządzaliśmy sobie koncerty: zimą w jednej z większych cel więziennych, latem, wieczorami, na podwórzu więziennem — wtedy ludność wlaźła na dachy sąsiednich budowli, by się przysłuchiwać.

Przychodzili też do nas z miasta: kupcy, urzęd-

*) Siemaszko Antoni, uczeń szkoły oficerskiej skazany na katorżne roboty. — Ambrożewicz Józefat, szlach. pow. Powiewieskiego na 20 lat katorgi. (Por. Alfaw. Spisek).

Władysław Trojanowski, pisarz żandarmerji (rosyjskiej) uznany za winnego, że wszedłszy w stosunki z rewolucjonistami dostarczał im otrzymane przez władzę prawowitą domieszenia etc. Skazany przez Audytorjat polowy warszawski 14. XII. 1863 r. na rozstrzelanie. Namiestnik ułaskawił go zamieniając na 15 lat katorgi. — Aleksander Lipiński, szlachcic, brał udział w powstaniu, znajdował się w dwóch oddziałach powstańczych, a następnie przeszedł do organizacji żandarmów wieszających, i uczestniczył w trzech zabójstwach politycznych. Sąd wojenny skazał go na karę śmierci, Audytorjat, opierając się na okólniku Namiestnika z dn. 10. XII. 1864 zmienił karę na roboty ciężkie na lat 15. Wyrok zapadł 16. I. 1865 r. — Maksymiljan Bartodziejski znajdował się w oddziale Łakińskiego, przeszedł następnie do organizacji żandarmów wieszających, do partji, którą kierował Biernacki. Właściwie podlegał karze śmierci, jednakże, opierając się na wyżej wspomnianym cyrkularzu Namiestnika, Audytorjat, pod datą 8. III. 1865 r. skazał go na 12 lat ciężkich robót. Por. H. Cederbaum „Powstanie Styczniowe. Wyroki Audytorjatu polowego“.

nicy, oficerowie, pop z popadją, miejscową inteligencją z damami, by od nas, „warszawiaków”, nauczyć się tańczyć i manier „francuskich”. Przynosili z sobą kosze z mnóstwem przekąsek i napojów, wtedy opróżniliśmy jedną z „kamer”, na, i był bal. Władze więzienne, bądź patrzyły na to przez palce, bądź też brały udział w naszych zabawach, jak zacytował komendant Iwanow, który w pierwszej parze wycinał w mazurze hołubce, natrzymawszy się na naszych tancerzy, nie wiedząc o tem, że o każdym takim hołubcu, szła najejtraz do Petersburga dokładna relacja, spisana przez jego najbliższego pomocnika, pana Knobiecha (Niemca).

Pierwszymi tancerzami u nas byli: Zglinicki, Osmólski, Lenczewski i dwaj bracia Ossowscy, którzy u miejscowych dam ogromne mieli powodzenie.

Myliłby się, ktoby sądził, że na samych zabawach czas nam mijał. Panującym motywem życia więziennego była straszna, zabójcza monotonia, traska o zdobycie jakimkolwiek sposobem paru groszy, dla drobnych potrzeb, jak kupno tytoniu i t. p.

Pręporcja i potrzeby życia ludzi wolnych i więźniów są odmienne, człek wolny łatwiej zarabiał setki, niż więzień grosze, bez których jednak życie jego stałoby się zbyt nieznośnie szarem.

A potem ta dręcząca tęsknota za ojczyzną...

Monotonję życia więziennego przerywały od czasu do czasu wypadki śmierci jednego z kolegów, który słabszy fizycznie, lub pod względem wytrzymałości nerwów, nie zdolny był przetrwać tej ogólnowej próby.

Odszedł od nas major Ejsmont, starzec, uczestnik ongiś powstania 31 r., powtórnie do katorgi zesłany, ks. Strawiński, Meszkowski, Michajłow (młodszy, Rosjanin, skazany za sprawę Kazańska). Dla każdego z nich ja, jako stolarz, zbiłam trumnę. Cementarz katorżny był niedaleko, tuż za rzeczką, otoczony rowem i wałem. Rosło tam kilka karłowatych drzewek, posadzonych jeszcze przez naszych poprzedników. Grunt był tak skalisty, że trzeba było kilofem dół wyrąbywać. Ksiądz go poświęcił, potem na prostą trumnę kolegi rzucaliśmy rękami odłamki kamieni, grudki piasku i ziemi. Na grobie stawialiśmy krzyż prosty, mojej roboty, na którym jeden ze współwięźniów wypisał nazwisko i datę zgonu.

Były u nas różne stronnictwa, więc że rozpoczęte od najskrajniejszych—komunistów. Do nich należeli prawie wyłącznie Moskale, zarówno ci, którzy brali udział w naszym powstaniu i przez to samo uważani byli za kolegów, jako też inni, poli-

tyczni przestępcy, z różnych procesów nihilistycznych. W pierwszym rządzie wymienić tu należy zesłanych w sprawie Karakozowa *).

Głównymi apostołami komunizmu byli: student Stachlewicz (Moskał, z kijowskiego uniw.), Morawski (również Moskał kijowskiego uniw.), niejaki Stiepanow, pskowski mieszczanin, młody Michajłow; byli też niestety polacy: Niebyłowski, Suski, Wołosewicz, Petrow (z ojca Moskala, ale uważał się za Polaka), Konstanty Wiszniewski, Żurakowski **).

*) Dn. kwietnia 1866 r., w chwili gdy cesarz Aleksander II w towarzystwie księcia Mikołaja Maksymiljanowicza Leuchtenberskiego i siostry jego Marji Maksymiljanowny Badeńskiej opuszczał Letni Ogród, od strony Newy, jakaś nieznaną osobistość (Karakozow) zwrócił ku niemu lufę pistoletu. Zauważył to przypadkiem obecny włościanin, który podbił rękę przestępcy, tak, że kula przeleciała ponad głowę cesarza. Nazwisko włościanina Osip Iwanowicz Komisarow, pochodzący z gub Kostromskiej, który w Petersburgu był czeladnikiem u czapkarza. Car darował mu medal złoty ze swą podobizną i datą 4. IV. 1866 r. tytuł szlachecki z przydomkiem Kostromskoj i kazał go przyjąć w randze podchorążego do drugiego lejba - huzarskiego pułku Pawłowskiego, który opuścił w randze rotmistrza r. 1877. (Por. Kulturno - Istorickieskij Oczerk Żizni. St. Pietierburga za dwa wieka XVIII i XIX 1703—1903). Karakozow został powieszony, mnóstwo współwinowajców zesłanych do Syberji.

**) Charakterystycznym jest, że ani w „Alfawitnom Spisie”, obejmującym tak zw. północno - zachodnie gubernje ani w Ce-

no i—ze wstydem to przyznaję—ja, ale przez bardzo krótki czas.

Grupa komunistyczna trzymała się zdala od innych, składali oni do jednej kasy zarówno to, co otrzymywali od rządu, jak i to, co mieli z domu lub zarabiali. Ubranie, bielizna itp. równieź były wspólne. Nibawem jednak rozpoczęły się kwasy: prowodyrowie komunizmu, Rosjanie, byli to hołysze: nic nie mieli, nikt im nic z domu nie przysyłał, przedewszystkiem zaś żaden z nich nie chciał pracować, wylegiwali się dniami całemi, lub czytali, nazywając to „pracą”. Starali się natomiast wciągając do swojej kompanji naszą bogatszą młodzież, zwłaszcza studentów, a także rzemieślników, zarabiających pracą rąk swoich niezgorzej, i obierali nas „w imię zasady” do ostatniej kieszuli. Ja pierwszy spostrzegłem to i wystąpiłem ze związku, za mną poszła reszta Polaków.

Komuniści zawładnęli też częścią ogrodu, uprawili go jako tako i zasadzili wspólnemi siłami, gdy jednak przyszło do wspólnego używania — pokłócili się, poczęli pracować się po pyskach, poczem przeniesiono ich do innej katoggi.

derbauma „Wyrokach Audytorjatu warszawskiego” nieznałem tych nazwisk—pochodzili widocznie z Rosji.

Jeżeli chodzi o nas, Polaków, to pomijając zupełnie nierealne (zwłaszcza tu, w katordze) różnice między „czerwonymi” a „białymi”, właściwie były między nami dwa stronnictwa: zwolenników masowej ucieczki — oraz umiarkowanych, czyli przeciwników ucieczki.

Ucieczka, nawet masowa, nie była niemożliwą. Cała załoga więzienna składała się z 25 inwalidów, których łatwo było rozbroić i powiązać. Do granicy mongolskiej mieliśmy w prostej linii około 100 wiorst, dalej jednak była pustynia. Bez map, bez kompasu, bez zapasów żywności, czekała śmierć głodowa, lub gorsza jeszcze od dzikich, koczujących plemion. To też większość z pośród nas sprzeciwiała się ucieczce. Tymczasem władze więzienne widocznie coś przeczuwały, gdyż niespodzianie zabrano od nas trzech najgorliwszych zwolenników ucieczki: Józefata Ohryzkę, Józefa Dworzaczka oraz Rosjanina, Czerniszewskiego. Wysłano ich do Werchojańskiej gminy, 700 kilometrów w prostej linii na północ za Jakuckiem, niedaleko od morza lodowatego, a 2000 kilometrów na północ od Nerczyńska. Dworzaczek otrul się tam, Czerniszewski dostał pomieszanie zmysłów, Ohryzko zaś nawlazał stosunki z Lipskiem i zrobił fortunę na handlu skórkami.

Gdy więc u nas w ten sposób zlikwidowano wszelkie zamiary ucieczki — nad Bajkałem wybuchnęło powstanie na szerszą skalę. Było tam dużo Polaków zajętych przy budowie drogi. Inicjatorami powstania byli Szaramowicz, Rejner, Kotkowski, Celiński, Eljaszewicz i Dzierżanowski.

Plan powstania polegał na tem: zawładnąć statkiem, przepłynąć przez Bajkał do Połoska, zamtąd iść do Wierchnie Udinska, zabierając po drodze kasy gminne, w Wierchnie Udinsku zdobyć artylerję i wywołać ogólne powstanie, którego celem było oderwanie Syberji od Rosji. Liczono na pewne separatystyczne prądy wśród ludności syberyjskiej, nie obliczono się jednak z własnymi siłami. Plan ten zresztą nie był polskim, pochodził on od zesłanych Rosjan, zrodził się już na jesieni 1864 r. w Tobolsku, gdzie założono nawet specjalną kasę. Należała przeważnie do spisku młodzież rosyjska, i to młodzież gimnazjalna. Niewiedzieć jakim sposobem potrafili wciągnąć Polaków, których następnie oddali na łup. Przyznać jednak trzeba, że ogromna większość naszych była temu przeciwna i jeżeli byli zwolennicy rewolucji, to niezamierzali wcale odrywać Syberji od Rosji, uważając to za utopję, ale planowali masową ucieczkę przez Klachtę do Chin.

Największym krzykaczem był oczywiście—żyd, niejaki Nochim. Odebrał on od kozaka konia i trąbkę, zemlast ostróg wbił do obcasów gwoździe i tak wyjechał przed front powstańców. Wspinał szkapę burjacką, bodzie ją niełtościwie i... trąbi. Nadbiega Szaramowicz i woła:

— Cicho żydzie!

— Panie Naczelniku—powiada Nochim—wszak trzeba to bydło uczyć.

Niedługo jednak było tej „nauki”. Władze rosyjskie dowiedziały się o wszystkim, nadjechał statek parowy Ryków z wojskiem. Nie zdążył jednak wylądować, gdy całe powstańcze bractwo rozpierchło się, chroniąc wśród lasów i pustkowi. Tam ich dzicy Burjaci i Moskale wystrzelali lub związanym wydalili władzom. Pięciu dowódców: Szaramowicza, Rejnera, Eljaszewicza, Kotkowskiego i Cellńskiego rozstrzelano. Dzierżanowski został ułaskawiony. Niepotrzeba dodawać, że żyd Nochim wyszedł gładko z całej afery.

Mniej skompromitowanych jak Dzierżanowskiego, Nehrynga, Koszałkowskiego przysłano do nas, jako że Aleksandrowski uchodził za bardziej ciężkie więzienie. Drugą partję wysłano do Algierza.

Przyjazd nowych skazanych—radykałów podniecił jeszcze naszych rewolucjonistów, na których

czele stał obecnie Franciszek Sekołowski. Chcieli nas zmusić do opuszczenia straży i następnie wspólnej, masowej ucieczki; w celu przekonania nas, brali się nawet do kijów, ale argument ten rzadko trafia do przekonania, w danym zaś wypadku wzmocnił jeszcze opór stronnictwa umiarkowanych, które liczebnie było znacznie przeważające. Widząc, że na miejscu nic nie wskórają, „rewolucjonaliści” wysłali do Rługacza swego emisariusza, Eugenjusza Olszewskiego, również współwięźnia, który pod jakimś tam pretekstem uprosił komendanta, by go przeprowadzono do więzienia w Rługaczu. Niepomyślnie mu się jednak i tam, gdyż większość kolegów w Rługaczu, zrażona ustawicznymi wicherzeniami „rewolucjonistów”, obija emisariusza, który niebawem, jak niepyszny wrócił do nas.

Na tem jednak nie skończyło się. Był pomiędzy nami zdrajca i prowokator, niejaki Władykin. Właściwie było dwóch tego nazwiska, jeden prawdziwy Rosjanin, imienia jego nie pamiętam, ale wiem, że był podchorążym, człek porządny; wspominał o tem, by nie skrzywdzić pamięci, bądź co bądź, towarzysza niedoli, który bronić się nie może, prawdopodobnie już nie żyje. Władykin, o którym mowa, był niewiadomego pochodzenia, niewiadomo, czy było to prawdziwe jego nazwisko. Faktem jest,

Iż brał udział w powstaniu, był w kilku oddziałach litewskich, chociaż niczem (prócz wścibstwa) się nie odznaczał, nigdzie dłuższy czas nie wytrwał. Po-tem niespodzianie wypłynął na bruku wileńskim, Widywano go tu w mundurze... oficera rosyjskiego, miał wstęp do władz rosyjskich, gdzie stał się *persona gratissima*, podobno powierzone mu większą sumę pieniędzy skarbowych, którą ukradł. Aresztowano go, był ze mną w szpitalu św. Jakóba i namawiał do ucieczki — potem zaś o wszystkim doniósł. Rezultat był taki, że mnie, istotnie chorego, przeniesiono z powrotem do więzienia. Za co skazany został do katorgi — nie wiem; może tylko wysłany w charakterze szpicla, dość, że znalazł się z nami w więzieniu w Aleksandrowsku. Jakkolwiek przestrzegałem przed tym osobnikiem, potrafił on uzyskać pewien wpływ w partji rewolucjonistów. Jednak rola jego widocznie była podwójna. Z nami udawał ultraradykała, jednocześnie komunikował się z władzami. Podniecał do powstania i sam wyznaczył dzień, w którym miało wybuchnąć. Hasłem miało być: „p o ż a r !”

Jakoż rzeczywiście, w oznaczonym dniu i godzinie — było to wieczorem — wybuchnął pożar w jednej z szop więziennych. Jest rzeczą charakterystyczną, że Władykiń wtedy między nami nie

było — niektórzy widzieli go wśród straży, przebra-
nego za kozaka. Nikt z nas się nie ruszył, pożar
ugaszone. To skompromitowało Władykina w oczach
władzy. Został on obity i wysłany do Kary, do wię-
zienia kryminalistów. Tam zaczął fabrykować fałszy-
we 25-cio rubiówki. Przyłapano go i powtórnie obi-
to. Co się z nim dalej stało — nie wiem, powia-
dano, że zdechł pod różgami.

Rząd moskiewski posługiwał się szpiegami, ale
w gruncie brzydził się nimi.

Cała ta sprawa nie przeszła zupełnie bez śla-
du, kilkakrotnie z Nerczyńska zjeżdżało do nas „na-
czelstwo”, przeprowadzało najściślejsze rewizje, prze-
trząsając każdy nasz gałganek. Podczas rewizyj nie
jednak absolutnie nie znaleziono, prócz paru fun-
tów ołowiu.. od herbaty, które ja przechowywałem.
Wytłumaczyłam się, że ołów potrzebny mi jest do
prac stolarskich (kije bilardowe), co było zgodne
z prawdą i co potwierdził żołdaci, więc dano w koń-
cu spokój.

Jak już o tem wspominałem, do Aleksandrow-
ska przybyliśmy latem r. 1865. Na wiosnę roku na-
stępnego przybył do nas kurjer carski, oficer Po-
rebów.

W obecności wszystkich więźniów i władz
więziennych, odczytany został „manifest”, którego

mocą kilkudziesięciu z nas zostało zwolnionych, dla reszty termin kary został znacznie skrócony.

Dla mnie miał się on kończyć w r. 1868, jako też dla większej części kolegów. Choć warunki życia więziennego nie były tak absolutnie nieznośne, przecie odczuliśmy ciężar ich z chwilą, gdy nam zabłysła nadzieja swobody, chociażby tylko względnej swobody na tak zw. „posielenju”, czyli na wygnaniu, gdyż „łaska carska” bynajmniej nie zdejmowała z nas brzemienia kary, tylko cięższą, katorżną karę zamieniła na nieco lżejszą—osiedlenie w Syberji.

Kiedy się już zbliżał dzień wyzwolenia, liczyliśmy dni i godziny, niemal minuty. Chcąc zagłuszyć niepokój oczekiwania, skrócić sobie czas, robiłem konieczne, a nawet zbyt konieczne przygotowania. Zrobiłem dla siebie kufer jeden na ubranie, drugi na narzędzia stolarskie, które były moją własnością i którymi zamierzałem zarabiać na chleb powszedni na wygnaniu. Gdy już nie było na co robić kufrów, robiłem je dla kolegów..

Wypuszczano nas nie odrazu, gdyż trudno byłoby naraz tyle przygotować podwód.. Zwalniano nas partjami. Jakoż przyszedł nareszcie dzień, kiedy oznajmiono male i jeszcze 50 — 60 kolegom, że dziś pojedziemy do Irkucka. Tegoż dnia przybyła partja z Akatu, która przez Aleksandrowsk dążyła

również do Irkucka. Byli tam przeważnie księża. Przygotowania nasze nie długo trwały; pozostający koledzy wydali nam skromne pożegnalne śniadanie, które w nadzwyczaj radosnym minęło nastroju, gdyż i tamci przecie lada dzień opuścić mieli wzięnie. Starosta każdemu z nas wylczył z „kasy żelaznej”, ile przypadało. Mnie przypadło 17 rb., a że jeszcze miałem własne oszczędności, ogólny „kapitał”, którym rozperządzałem przy wyjściu z wzięnia, wynosił około 50 rb. Jak na syberyjskie stosunki było to nie najgorzej.

Potem przeszliśmy jeszcze wszystkie „kamery” żegnając znajome kąty, żegnając tych, którzy tu jeszcze pozostać mieli... dzięki Bogu, już nie na długo. „Do widzenia koledzy!” „Dowidzenia!” zewsząd rozbrzmiewało. Za bramą stały sznurem „telegi”, około 50 podwód—na każdą po trzech pasażerów. Konwój składał się już tylko z oficera i dwóch kozaków. Przy bramie stało też „naczalstwo” więzienne... wyjątkowo uprzejmie, by nie powiedzieć serdecznie, nastrojone:

„Proszczajcie, gospoda!” „Proszczajcie!”

Ruszyliśmy. Dzień był letni, pogodny, niemal skwarny. Chociaż powoli posuwała się nasza karawana, o ileż różniej, lżej było na duszy, niżeli przed czterema laty. Wprawdzie tysiące, dziesiątki tysięcy

kilometrów dzieliły nas jeszcze od ojczyzny, wprawdzie były przed nami jeszcze lata całe wygnania, ciężkiej walki o kawał chleba powszedniego, wprawdzie posuwaliśmy się dziennie o jakieś 20 — 25 wiorst — ale jechaliśmy na zachód, jechaliśmy w stronę Polski, jechaliśmy ku wolności, to już wystarczyło, by serca nasze nastroić na najwyższą nutę radości.

Po dziennych przejazdach, wśród skwaru krótkiego, lecz znojnego lata syberyjskiego, znów mieliśmy postoje po wsiach, wszędzie radośnie witani. Melodyce nas poznawały, znów pojawiały się na stole „pólsztowczyki” i „sztowczyki”, jadła wszelkiego moc, ktoś tam z nas zarzępolił na skrzypcach, więc taniec i uciecha do samego rana. A potem, po krótkim śnie, w dalszą drogę!

Jechaliśmy na ogół bardzo powoli, zwłaszcza w miastach były dłuższe postoje. Zsjeżdżaliśmy przed więzienia etapowe, ale już nikogo nie zmuszano tam wchodzić; tylko najbiedniejsi korzystali z tego darmowego azylu, reszta rozchodziła się wolno i bez konwoju po mieście, przyczem zapowiedano tylko, że dnia takiego to, a takiego, o takiej to godzinie ruszamy dalej. Jeżeli kto chciał dłużej zabawić, bądź to spotkawszy tu znajomych, bądź też znalazłszy korzystne zajęcie, oznajmiał

o tem konwojującemu oficerowi, z tem, że przyłączy się do jednej z następnych partyj.

W ten sposób siedziałem parę tygodni w Czycie, gdzie reparaowałem młyn, w Wierchnie-Udińsku naprawiłem popowi fisharmonję, potem reparaowałem i strolłem fortepiany, co mi zajęło równoleż kilka tygodni. Po pierwszem, radosnem uniesieniu przyszło opamiętanie, że nie do ojczyzny przecie wracamy, że czekają nas lata zesłania, podczas których musimy zarabiać na utrzymanie, w bardzo ciężkich warunkach, wśród obcych. Czy ten czas spędzę w jakiejś Czycie, czy Wierchnie-Udińsku, czy też na zachód od Bajkału, w Irkucku (poza który dalej na Zachód już była dla nas droga zamknięta) było rzeczą dla mnie dość obojętną. Siedziałem więc, dopóki starczyło roboty.

Tymczasem nadjechała nowa partja z innych więzień okręgu Nerczyńskiego, byli tu starzy moi dobrzy znajomi, koledzy Franciszek Dalewski, Daszkiewicz, Antonowicz, Jankowski, Tanajewski. Z nimi więc zabrałem się i dojechałem do Irkucka, do którego przybyliśmy w listopadzie. Około tysiąca kilometrów drogi przebyłem w ciągu 3 — 4 miesięcy — dziś wystarcza na to może kilkanaście godzin, ale też warunki podróŜowania o ileŜ były odmienne.

W Irkucku mieścił się „Tymczasowy zarząd politycznych zesłańców we Wschodniej Syberji” („Wremiennoje uprawlenie nad političeskiemi ssylajmi wostocznoj Sibiri”). Zarządzającym tego biura był niejaki Kirenko. Ten nas zebrał i odczytał przepisy, czem wolno było trudnić się, a raczej czem nie wolno było. Okazało się z tego, iż nie wolno bardzo wielu rzeczy: a więc przedewszystkiem niewolno było dawać jakichkolwiek lekcyj, chociażby lekcyj tańca, nie wolno było własnego utrzymywać sklepu, przedewszystkiem nie wolno było zajmować miejsca pisarza czy buchalters, nawet w prywatnym interesie. Właściwie zabronione było—wszystko. Jedyną wolnością, którą obdarzał nas ukaz carski, była wolność—umierania z głodu.

Na szczęście inaczej w Petersburgu pisano się prawa, inaczej je czytało się w Syberji. Ten sam p. Kirenko odczytawszy tak groźny manifest, tejże godziny zaangażował jedną z naszych pań na nauczycielkę języka francuskiego dla swej córki. Za jego przykładem poszli inni urzędnicy i inteligenci Irkucka, zaś sam p. generał gubernator nazajutrz wybrał klikunastu z pośród nas do służby kancelaryjnej.

Początkowo starano się nas rozkolonizować po wsiach. Warunki, pod względem materialnym były nienajgorsze, ale robiono nacisk pod względem

prawosławia i rusyfikacji—to większą część zraziło. Przyjaciel mój, o którym kilkakrotnie wspominałem, Franciszek Niepokojczycki, otrzymał miejsce pisarza gminnego. Jako człek uczciwy, zyskał rychło zaufanie miejscowej ludności, która garnała się do niego, ze swemi żałami, drobnemi kłopotami, skargami. On im dopomagał w miarę możliwości, radził, pisywał podania, nie biorąc za to zapłaty, to też odwdzięczano mu się, zanosząc wszystko, w co kraj ten obfitował: masło, jaja, kury, prosięta.

Pewnego razu zajeżdża do wsi „sam pan naczelnik” w towarzystwie popa. Stają na kwaterze u Niepokojczyckiego. Ten, zaskoczony takim „zaszczytem”, krząta się, by przyjąć pana życia śmierci, nastawia samowar... tymczasem ordynansi naczelnika wnoszą kosze z najwyborniejszemi przekąskami, winem, wódkami. Pan naczelnik niezmiernie uprzejmy, koleżeński, zaprasza Niepokojczyckiego do towarzystwa, sadza za stół, częstuje, przemocą niemal wlewa wódkę. Tymczasem pop rozpoczyna dysputę teologiczną o jedność wiary katolickiej i prawosławnej. Gdy Niepokojczycki milczy, poczyną znowu pan naczelnik wypytywać go łaskawie o tryb życia, dochody, kłopoty, dziwi się, jak to młody, przystojny chłopak sam może wytrzymać, bez gospodyni, wśród samotności wiejskiej.

A przecie... gdyby tylko chciał... najkrańszsza młodyca z całego siela z radością rzuciła by mu sie na szyję, a o resztę... niech go głowa nie boli. On—sam pan naczelnik—bardzo go polubił, on mu pomoże, wszystko urządzi najlepiej. Wesele wyprawi, że aż hól Gruntu rządowego dostanie ile tylko zechce, prócz tego na zaprowadzenie gospodarki wyjedna mu zapomogę, może 200, może nawet 300 rubli, pensję mu się podwyższy, przy młodej żonce będzie opływał w rozkosze i wygody, „jak bila w śmieta-nie”. A pop przytakuje, powołując się na piśmo święte, że to „niedobrze być człowiekowi samemu”.

Niepokojczycki zrozumiał, do czego to wszystko zmierza, a że gębę miał zawsze wyszczekaną, do tego miał trochę w czubie, wleć też prosto z mostu wypalił, że on, katolik, polak, szlachcic, wiary swej nie sprzeda, narodowości się nie zaprze, klejnotu szlacheckiego nie zhańbi — z chłopką-kacapką się nie ożeni *.

*) Niepokojczycki dotrzymał słowa. W podeszłym wieku, ale jako kawaler, wrócił do rodzinnego Wilna. Ciężką pod względem materialnym miał starość, ale pierworodztwa swego nie sprzedał za misę moskiewskiej soczewicy. Poznałem go jako starca, nawpół ślepego i głuchego, ulokowałem w przytułku, wyjednałem drobną zapomogę, i według możliwości sam dopomagałem. Umarł 1917 r., pochowany na cmentarzu Bernardyńskim.

Pan naczelnik zagryzł usta, oczyma porzucał się z popem, machnął ręką i wyjechał.

Widocznie nie pierwszy raz spotkał się z taką odprawą

Naogół nasi zesłańcy w bardzo rzadkich, wyjątkowych wypadkach szli na lep moskiewskich obywateli, i to przeważnie najmniej inteligentni. Ogromna większość uważała pobyt ten za coś czasowego—urządzali się jak mogli, pamiętając o tem, że celem każdego był powrót do Ojczyzny.

Jakkolwiek w zasadzie niewolno było nam, zesłańcom, zamieszkiwać w Irkucku, można było jednak dość łatwo wyjednać na to pozwolenie.

Ja prosiłem na tej zasadzie, że jako mechanik, na wsi nie znalazłbym odpowiedniego zajęcia i bardzo rychło otrzymałem odpowiedź przychylną.

W Irkucku była podówczas moc Polaków. Z pośród znajomych moich wymienię: Klimowicza, Obuchowicza, Bagusławskiego, ks. Masalskiego — ci dawali lekcje muzyki i stręczyli mnie do strojenia i naprawiania fortepianów. Byli dalej: Stroński, Wyszynski, Dauksza, Zehorski, Dalewski, Gzowski, Paliszewski, Adamski, Kobosko, Epsztajn, dr. Jarocki, dr. Łagowski, dr. Sypalewski, dr. Trzaskow-

ski, dr. Bierfreund, dr. Plekarski, literat Henkiel, *)
Wallcki, Liebenau, Szejman, były oficer K sielewski **) z żoną, byli państwo Jeleńscy, Mackiewiczowie, Czekatowski, Oskierkowie, Ciehoccy, Starzeńscy, Klejsiewiczowie, Burzyńscy, Woszczyńscy. Z pań były: Szymańska, Czarnecka, Wedecka, Houwaldtowa, Jacynówny dwie. ***)

*) Oskarżonego Redaktora „Gazety Polskiej” Adolfa Henkiela z tytułu przynależności do stowarzyszenia tajemnego (rządu narodowego) na zasadzie art. 349 książki drugiej ustawy wojenno-karnej, pozostawić w mocnym podejrzeniu z powodu oskarżeń wielkiej wagi na nim ciążyących, zesłać na mieszkanie do mniej odległych miejscowości Syberji pod surowy dozór policji Por. Cederbaum „Powstanie Styczniowe. Wyroki Audytorjatu Polowego”. Jakim sposobem Henkiel, skazany na zesłanie do mniej odległych miejscowości Syberji znalazł się w Irkucku, we wschodniej Syberji — nie wiem.

**) Poddany austriacki. Kisielewski Antoni, zwany Wujkiem, był kwatermistrzem w oddziale majora Andrzeja Łopackiego, który wtargnął do Królestwa z Galicji. Skazany na osiedlenie w Syberji. Por. Zieliński „Bitwy i Potyczki”.

***) Józefa Wedecka 27 lat, szwaczka, w jej mieszkaniu, w Warszawie, przy ul. Mostowej mieściła się tajna drukarnia. Skazana na osiedlenie w Syberji.—Helena Czarnecka, wdowa, lat 27, szwaczka, w mieszkaniu swem, w Warszawie, przechowywała druki Rządu Narodowego. Skazana na 6 lat katorgi. Por. Cederbaum „Powstanie Styczniowe”.

Houwaldtowa Karolina z Wilna, żona dymis.ego urzędnika skazana na katorgę.

Jakkolwiek byliśmy pod nadzorem policji, nadzór ten istniał właściwie tylko na papierze, nigdy nie zachodził do nas policjant, ani też nam nie trzeba było meldować się. Mieszkaliśmy rozrzuceni, gdzie i jak kto mógł, oczywiście szukając gdzie taniej. Życie rozbilo się na kółka. Nie było ono łatwe, ale kto miał parę zdrowych rąk, głowę na karku i chęć do pracy, ten wyżyć mógł. Część, wydobywszy się z katorgi, poczęła się łajdaczyć, plić, zdarzyły się wypadki drobnych oszustw, nadużyć — ci poszli na dno. Większość prowadziła się solidnie i wróciła następnie do kraju. Stosunkowo najlepiej trzymali się rodziny.

Naogół cieszyliśmy się dobrą opinją, cenione nas za fachowość, jako że oprócz inteligencji było dużo między nami rzemieślników: masarzy, kowalów, ślusarzy, plekarzów itp. ci po zakładali drobne warsztaty, sfera była kupców, którzy mieli swoje skle-

Jacynówna Karolina szlachcianka pow. Wileńskie zesłana do mniejszych miejscowości Syberji (?) Por. „Alfawitny Spisok”.

O Wedeckiej opowiadał Karpowicz, który ją znalazł z Warszawy, że podczas śledztwa została straszliwie skatowana. Gdy pod razami kozackiej nahałki widać się z bólu, przewróciła się na plecy, kozak ciął po brzuchu tak, że wyszły kiszki. Ztąd względnie łagodny wyrok na osiedlenie, podczas gdy mniej winna Czarnańska otrzymała 6 lat katorgi.

piki. Inni potwierali hotele. Nie brakowało też przedsiębiorców na większą rękę, jak np. Gruszecki, który założył pierwszą w Irkucku wielką cegielnię i dał wielu rodakom zarobek.

Warunki pracy naogół były dość pomyślne, komu się poszczęściło, mógł nie tylko zarobić na przeżycie, ale nawet dorobić się fortuny. Wprawdzie wypadki takie były ogromnie rzadkie, ale to już przypisać należy tej okoliczności, że wszyscy uważaliśmy pobyt nasz na Syberji za coś czasowego, wszyscy marzyli o powrocie, to też nikt na dłuższą metę nie rozliczał, żył z dnia na dzień, a w takich warunkach o jakichś poważniejszych interesach mowy być nie mogła. Mimo to ożywiłiśmy tutejsze stosunki, to też Moskale mawiali, że „Polaki dali tołczok”; jedno tylko za złe nam mieli, że pod względem towarzysk'im nie łączyłiśmy się z nimi, nie żenli—*„kiczliwyje Lachy”*

Mnie nieosobliwie powodziło się w Irkucku, więc też z radością przyjąłem zaproponowane mi miejsce w Preobrażeńskiej kopalni złota, znanego miljonera Geras'kowa, za Bajkałem, w Barguzińskim okręgu. Pensja roczna wynosiła 500 rubli, co na tamte czasy i warunki stanowiło wcale pokaźną sumę. Służba nie tak była ciężka, ile odpowiedzialna i niebezpieczna. Trzy razy przewoziłem transporty

złota do Irkucka, co zwłaszcza w dzikich, górskich okolicach z nieładą ryzykiem było połączone. Potem kazano mi jechać do Wierchnie Udńska, celem najmu robotników. Miałem przy sobie kilka tysięcy rubli. Droga skalista prowadziła tuż nad przepaścią, może 100 metrów głęboką, na której dnie płynęła rzeka Barguzin. Przygodny mój woźnica, najęty w miasteczku Barguzinie, zeskoczył z wozu, niby pilnując, by się nie stoczył do przepaści, jako że wczesna była wiosna, tu i ówdzie ocłagały się jeszcze śnieżne zasy. Niespodzianie rzucił się na mnie z tyłu, złapał za gardło, zdusił, ściągnął z wozu i wleczł do przepaści. Na szczęście z przeciwnej strony nadjechało dwóch chłopów, którzy pośpieszyli mi na pomoc. Tamtego związano i oddano w ręce policji, mnie zaś, nieprzytomnego odwieziono do lekarza. Doktor puścił mi krwi — to uratowało mnie, ale przeleżałem jeszcze ze sześć tygodni w szpitalu.

Po przyjsciu do zdrowia postanowiłem pożegnać tak niebezpieczną służbę, co innego bowiem narażać życie dla Ojczyzny, co innego w obcej służbie. Stary Gierasimow nie tylko wypłacił mi całą należną sumę, ale zarekomendował jako wykwalifikowanego maszynistę do swego wędca Pacholkowa, który miał sześć statków na Amurze.

Właśnie rozpoczynała się nawigacja. Mój statek nazywał się „Zaria”; kursował między Sreteńskiem a Nikołajewskiem, na przestrzeni blisko trzech tysięcy kilometrów. Z Nikołajewska przewoziliśmy następnie przez cieśninę katorżników na Sachalin. Pamiętam pierwszą ich partję, w której znalazł się głodny swego czasu hr. Lambert, skazany za zabójstwo swego opiekuna. Pamiętam Sachalin, jako zupełnie odludny i dziki kraj. Później na jego wybrzeżu poczęły niby grzyby po deszczu wyrastać koszarzy więzienne.

Kilka razy odważyliśmy się na naszej łupince na otwarte morze, zwiedzaliśmy wybrzeża japońskie, skąd przewoziliśmy towary.

W roku 1875 pozwolono nam wracać, ale tylko do gubernij wewnętrznych rosyjskich. Niektórzy nie chcieli skorzystać z tej „ulgi” i pono lepiej może zrobili, gdyż Syberja bardziej gościnna dla nas była niż Rosja, i lud tam przychylniejszy był dla nas, a rządu nienawdził, marząc tylko, by się uwolnić od opieki Petersburga i nasyłanych czynowników.

Większa część wygnańców naszych wróciła jednak do Rosji, a z nimi i ja, tak sobie uważając, że zawsze bliżej będzie do kraju. Na miejsce pobytu wyznaczono mi powiatową miłościnę Usmań w gubernji tambowskiej. Drożyzna tam panowała nie-

zmierna, ludność niechętna, z ukosa na male pa-
trzyła, zajęcia żadnego. Mogłem wprawdzie otrzy-
mać posadę w gorzelnii, ale nie pozwolono, gdyż
gorzelnia była kilka kroków za miastem, mnie zaś
nie wolno było wychodzić poza obręb miasta. Nad-
zor policyjny był niezmiernie uciążliwy, gdyż co-
dzień przychodził policjant, zaś dwa razy na mie-
sąc trzeba się było stawić u władzy miejscowej.
Nieznaczny zapas pieniędzy przywiezionych z Sy-
berji wyczerpał się, a kiedy śmierć głodowa zaj-
rzała w oczy, odważyłem się na krok stanowczy —
drapałem.

O głodzie i chłodzie, po części pieszo, po czę-
ści koleją, z łaski konduktorów, przejechałem Rosję
i Polskę, aż szczęśliwie przeszedłem granicę
austriacką.

Tu skończyła się moja niewola — lecz nie
skończyła niedola i tułactwo. W pogoni za pracą
i chlebem, w ciągłej tęsknocie za rodzinną stroną,
nieznajując nigdzie spokoju, wzduż i wszere zmie-
rzyłem całą Europę. Początkowo pracowałem w Ga-
licji, podczas budowy Szkoły Politechnicznej
we Lwowie montowałem tam maszyny. Zarobiłem
nieźle i za te pieniądze, do spółki z innym kolegą
z powstania, założyliśmy w pobliżu Lwowa fabrykę
pudrety, na czem wyszliśmy gorzej jeszcze niż

przysłowiowy Zabłocki na mydle. Dużo światła zmierzylem, nie z jednego pieca chleb jadłem, nie gardziłem żadną uczciwą pracą... był to jedyny — „nieczysty” interes (w słowa tego najliteralniejszym znaczeniu) w mojem życiu, to też wcale nie rozparczałem z powodu tego bankructwa. Byłem następnie czas dłuższy w Szwajcarji, w Niemczech, w Paryżu, potem przeniosłem się na Bałkany, pracowałem w Rumunji, Serbji, i Grecji. Gdy wybuchnęła wojna turecko - rosyjska nie wytrzymałem i wstąpiłem na ochotnika do wojska tureckiego, by raz jeszcze utoczyć krwi Moskalom. Byłem w oblężonej Plewnie, nie wiedząc o tem, że we wrogich, moskiewskich szeregach walczył rodzony brat mój, najmłodszy, wzięty w żołdacy, który w owej morderczej bitwie poległ... kto wie, może od kuli brata. Taka już dola Polaka..

Wojna rychło się skończyła — tani zarobiłem na niej, ja znalazłem się w dość ciężkiej pozycji materialnej. Dopomógł mi Świętorzecki, który mimo skromnych środków, był panem całą gębą, szeroko ustosunkowany. On to dał mi list polecający do Nihat Baszy, który właściwie nazywał się Alfredem Balińskim. Ojciec jego w r 1848 walczył po stronie węgierskiej, potem, razem z innymi, wywędrował do Turcji. Ostatnio, już w sędziwym wieku, pełnił

obowiązkami agenta dyplomatycznego tureckiego w Sofji. Poraz wtóry żonaty z Angielką, miał syna, Alfreda, który do spółki z dwoma brzoźcami, posiadał całą flotę statków, kursujących od Brajły po morzu Czarnem i Śródziemnem. Mieszkał razem z ojcem w gmachu Banku Tureckiego w Sofji. Przed bankiem stała straż turecka, która nie chciała mnie wpuścić, już zrezygnowany chciałem odejść, gdy patrzę, przez podwórze idzie jakiś starzec, w tureckim szlafroku. Był to stary Balliński. Zobaczywszy mnie, zmierzwił bystrem okiem od stóp do głowy, a widząc szeroką bliznę na twarzy, widać poznał powstańca-rodaka, gdyż odezwał się do mnie po polsku. Przeczytawszy list rekomendacyjny od Świętorzeckiego, zaprosił do siebie na śniadanie. Szeroko i z przyjemnością opowiadał o czasach minionych, a miał pamięć świetną i opowiadał zajmująco o kampanji węglerskiej, o tem, jak w Turcji z Sadyk-Baszą (Czajkowskim) formował legjony, o Mickiewicz, którego znał osobiście, przy którego był śmierci.

Tymczasem nadszedł syn Ballińskiego, p. Alfred. Był to typ raczej międzynarodowy, mówił przeważnie po francusku i angielsku, także po rumuńsku i turecku, po polsku bardzo słabo. Temniemniej wrócił późnżej do kraju i osiadł tam na stałe.

Usłyszawszy, że jeździłem po Amurze, natychmiast dał mi miejsce maszynisty na statku „*L'étoile polaire*”. Na tym statku zwiedziłem wszystkie porty Morza Czarnego, następnie Śródziemnego, byłem niejednokrotnie w Wenecji, w Neapolu, świetnie znałem wybrzeża Grecji. Później jeździliśmy do Aleksandryi, gdzie ciężko rozchorowałem się na febrę, tak że musiałem statek zdać Innemu. W Aleksandryi zaopiekowała się mną żona konsula austriackiego, p. Neumanowa, polka, *de domo* Łupowlecka, którą znałem panną. Wydała później drukiem swoje pamiętniki.

Mając nieco zaoszczędzonego grosza, jako rekonwalescent zwiedziłem Egipt, potem wróciłem do Konstantynopola. Wciąż niedomagający, zamieszkałem dla kuracji w Galacie, gdzie była podówczas liczna kolonia polska. Razem ze mną, lub w najbliższym sąsiedztwie, mieszkali: Jenik, literat, redaktor Tygodnika Ilustrowanego, który przejazdem tu bawił, Jan Łuczyński, Kułakowski, Feliks Podgórski.

Tutaj, w Galacie, było mi sądzono, po raz pierwszy osobiście poznać „dyktatora”, którego czasu powstania nigdy na oczy nie zdarzyło mi się widzieć — Lasgiewicza.

Mieszkał on o parę kilometrów od Galaty, we własnej willi, w przepięknej okolicy. Pamiętam pa-

górek, porosły winem, w dolinie ruczaj. Od szosy w bok wiodła kasztanowa aleja do bramy, kutej, żelaznej. Za bramą i sztachetami był klomb zielony. Naprzeciwko pałacyk piętrowy, murowany, biały. Z jednej strony stajnia, w której przepyszne, arabskie wierzchowce, z drugiej strony dwie oficyny, dla służby.

Przed pałacem ganek na filarach. Mnóstwo służby, we frakach, po europejsku. Zagadnąłem pierwszego lokaja po polsku — odpowiedział mi po angielsku i powtórzył po francusku. Wewnątrz przepyszna klatka schodowa, dalej salony, wszystko w bogatym guście wschodnim, ściany i podłogi wschodnie mi zawieszono i zasłane kobiercami.

Za chwilę wyszedł Langlewicz: ubrany po europejsku, ale na głowie miał fez, słusznego wzrostu, brunet, brodę zwyczajem tureckim miał postrzyżoną, śpiczasta. Ode drzwi powitał po turecku „*Salem alekum*” przykładając rękę do czoła i serca. Kiedyś po polsku odpowiedział, stał się bardzo uprzejmy, chociaż czuć było, iż czynił to z pewnym przymusem. Zaprosił na śniadanie, na które przyszła żona jego — Angielka (Langlewicz był po raz drugi żonaty). Siedziałem na owym śniadaniu jak na przysłowiu „niemieckim kazanu”. Żona Langlewicza mówiła tylko po angielsku i nieco po nie-

mleku. On z dziećmi (których miał dwoje) mówił po niemiecku,

Dopiero po śniadaniu i czarnej kawie z likierami nieco rozkrochmalił się. Jakkolwiek nie lubił mówić o powstaniu, przyjemnie mu było, gdy go tytułowano „dyktatorem”. Poza to na ogół mało o sobie mówił, zaznaczył tylko, że więzienie, jakie przecierpiał w Austrii, złamało go, że obecnie żyje wyłącznie dla siebie i dla swej rodziny, że podczas wojny rosyjsko-tureckiej dostarczał Turcji armat od Kruppa, na czym zarobił 30 tysięcy funtów tureckich, za co kupił tę oto posiadłość. W dalszym ciągu pełnił służbę przy armii tureckiej, zajmując się dostawami. Widocznem było, że mu się dobrze działo.

Zaczął rozmawiać o powstaniu — początkowo z pewnym przymusem, potem zapalił się: rozpytywał o bitwy, o ważniejszych przywódców, o przejścia nasze na Syberji. Zwłaszcza dola naszych kobiet, które brały udział w powstaniu, interesowała go.

Opowiadał, jak przeszedł granicę austriacką z Pustowojtówną, która przebrana była po męsku i miała paszport na imię Wielohorskiego. Interesował się jej losem. Ponieważ byłem niedawno przedtem w Paryżu, opowiedziałem, co wiedziałem,

że zamieszkała w stolicy Francji, gdzie zarabiała na życie praniem i szyciem, jakkolwiek miała bogatych konkurentów i że w końcu wyszła za emigranta, dzielnego oficera Lewenharta, który mimo nazwisko obce, był Polakiem, służył przedtem w wojsku rosyjskiem, przeszedł do powstania i potrafił umknąć zagranicę.

Jakkolwiek Langiewicz przedtem już o tem słyszał, potwierdzenie tych wiadomości ucieszyło go widocznie.

Następnie pokazywał mi swoją posesję, szczycił się zwłaszcza stajnią i prawdziwie przepysznie mi „arabami”. Przy pożegnaniu zapytał z serdecznością, której nie spodziewałem się po nim, prawdziwie po koleżeńsku, czy nie potrzebuję pomocy, w formie nieludziej pożyczki. Podziękowałem, gdyż istotnie niepotrzebowałem, miałem jeszcze swoje oszczędności. Później dowiedziałem się, że wspierał hojnie redaków, rozdając w prawo i lewo, co prawda nie wysokie datki, gdyż zgłaszających się była moc ogromna—jedza wśród kolonii polskiej w Turcji panowała ogromna. Przy najlepszem sercu i największej hojności nastarczyć dla wszystkich było rzeczą niemożliwą.

Z Turcji wróciłem znowu do Rumunii, gdzie poprzednio bardzo dobrze mi się działo, gdzie mia-

łem zamiar ożenić się i osiąść na stałe — ale tęsknota za krajem przemogła. Wróciłem. Zaraz na wstępie aresztowano mnie i osadzono w Warszawskiej cytadeli.

Napróżno powoływałem się na manifesty — byłem posądzony o współudział przy organizacji zamachu na życie cara Aleksandra II. Nic tej organizacji zbiegały się het, gdzieś na Bałkanie i władze rosyjskie może miały rację, nigdy bym jednak nie przypuszczał, że tak daleko sięgają ich wiadomości.

Uratowało mnie ostatecznie nazwisko moje — jedno z najpospolitszych w Polsce. Tylu przecież jest Karpowiczów, iż trudno było udowodnić tożsamości.

Po roku wypuszczono mnie z cytadeli. Złamany więzieniem i schorzały, bez grosza przy duszy, dowlokłem się do wsi ojcowskiej, jako dziad bezdomny. Obcy u progu powitali mnie ludzie. Z rodziny mojej nikt nie pozostał. Ojciec i bracia umarli na wygnaniu, tak samo siostry, matka uciekła do Prus, gdzie zakończyła życie na łaskawym chlebie.

Najmłodszy brat (jak już wspomniałem) poległ pod Plewaną. Nie dano mi było nawet na ich mogiłach pomodlić się.

Zwędziłem potem wszystkie miejsca bitew,
napróżno szukałem śladu kurhanów, gdzieś we
wspólnych grobach grzeball poległych kolegów.
Krzyże spróchniały, w proch się rozsypały, czas
zrównał nasypy, zielona darnina jednorodnym ko-
biercem wszystko przykryła... puszcze wycięła sie-
kiera spekulanta, pług zorał grunta... i nawet pa-
mięć zagięła w młodem pokoleniu.

ZAKOŃCZENIE.

(Od Wydawcy).

Jak już zaznaczyłem w przedmowie, ś. p. Karłowicz resztę dni skołatanego żywota spędził u mnie. W długie, jesienne i zimowe wieczory opowiadał mi swoje przejścia, które naprędce zapisywałem. Z tych dorywczych notatek powstały niniejsze wspomnienia.

Spokojny tryb życia, względny dobrobyt, dobroczynnie oddziaływały na jego sterane zdrowie. Poprawił się widocznie, sporządził sobie warsztat stolarski i począł wyrabiać różne drobiazgi, bardzo subtelnie wykonane—oczywiście dla własnej raczej przyjemności, niż dla zarobku. Plany miał zawsze szerokie, więc namawiał mnie czas niejakiś do kupna kawałka ziemi, nad rzeką, gdzie zamierzał wybudować młyn. Oczywiście nie odmawiałem, odkładając jeno sprawę do wlosny, gdyż wiedziałem, że dla jego czynnej, niespokojnej natury, snucie podobnych

planów, w których urzeczywistnienie sam nie bardzo wierzył, było tak niezbędne, jak dla innych pokarm i powietrze.

Nachodziły nań też niekiedy przeczucia blizkiej śmierci. Pewnego razu, idąc z żoną swoją ulicą, gdy mimo przenoszone trumną, zaczął się na „tandetną robotę” i prosił, gdy on umrze, by trumna była obita fioletowym aksamitem, ze srebrną frenzią i srebrnymi różkami. Na głowę zaś koniecznie by mu włożono rogatywkę.

Czując blizki koniec, pragnął jeszcze doczekać pięćdziesiątej rocznicy powstania, która przypadała na dzień 22 stycznia 1913 r. Jakoż doczekał. Spędziliśmy ten niezapomniany wieczór w bardzo zgrannem kółku, kilku moich znajomych i dwóch kolegów ś. p. Kerpowicza, z powstania i katongi, obecnie już nieżyjących, ś. p. Franciszka Niepokojczyckiego († w maju 1917 r.) o którym powyżej kilkakrotnie była wzmianka, oraz ś. p. Antoniego Czernyszewicza († w sierpniu 1916 r.).

Ponieważ wieczór był bardzo mroczny, na dworze śnieżna szalała zadymka, żona nam ugotowała winnej polewki z kerzeniami, wtedy kochany nasz rotmistrz, uczuwszy w starych żyłach dobroczynne ciepło, powstał z miejsca, podniósł szklanicę i palnął mówkę, o tej krwi, co przed pół wiekiem się lała

„taka czerwona i taka gorąca”. Popłakaliśmy się jak bobry. Niepokojczycki, który chociaż przygluchy, miał prześliczny głos i świetną pamięć, cały wieczór splewał nam powstańcze piosenki.

Z wiosną 1913 r. dziwny jakiś wiatr powiał po świecie — była to zapowiedź wielkiej burzy, która coś w rok przeszło potem rozpętała się miała nad Europą? Myśmy podówczas tego nierozumieli — Karpowicz przeczuwał ją instynktem, nie zdając sobie dokładnie z tego sprawy. Jest rzeczą powszechnie znaną, że ludzie którzy odnieśli poważniejsze rany, niezmiernie wrażliwi są na wszelkie zmiany pogody, lepiej od najczulszego barometru przepowiadają jej na kilka dni — tak dusza tego człowieka wrażliwa była na wszystko, co dotyczyło przyszłości Ojczyzny. Mimo tylu niepowodzeń, złamanego życia, wierzył w Jej zmartwychwstanie, wierzył w ona „wojnę ludów” przepowiedzianą przez wieszczę, co z pewnością „na wiosnę” wybuchnąć miała, czuł zbliżające się Jej gorące tchnienie. Stał się też jakiś dziwny, już nie myślał o budowie młyna, zanęchał swych prac stolarskich, od czasu do czasu porywał się, by jechać na Bałkany, walczyć. niewiadomo z kim, przeciw komu, o co? To znowu twierdził, że wojna lada chwila się rozszerzy, obejmie Rosję, Austrię, całą Europę. Od czasu do czasu

z płonącym okiem zapytywał mnie: „Czy czas już wychodzić do lasu?”. Kiedy zaś starałem się ostudzić ten zapal i w żart obracałem jego przewidywania, gniewał się nie na żarty, nazywał mnie tchórzem i groził, że sam pójdzie.

Nikt oczywiście w domu poważnie nie traktował tych gróźb, umysłowo już trochę niepoczytalnego starca. Aż oto zaszedł wypadek, na pozór drobny, który tragicznie miał się skończyć. Do Wilna przyjechał z Warszawy weteran August Kręcki, niegdyś jeden z wybitniejszych uczestników powstania, skazany razem z Trauguttem na karę śmierci, ułaskawiony i zesłany do katorgi. Po powrocie do kraju, był on prezesem tajnego oczywiście związku uczestników powstania, związku, nie mającego zresztą nic rewolucyjnego, którego celem było przede wszystkim niesienie pomocy b. powstańcom i wygnańcom, których liczba podówczas znacznie większa była, niż dziś, stan zaś materialny poważnie opłakany.

August Kręcki, sam schorzały i ledwo żywy, wydawał podówczas zeszytami życiorysy wybitniejszych uczestników powstania. Przyjechał do Wilna, w poszukiwaniu materiałów do swej pracy. Zwrócił się między innymi do mnie, ponieważ byłem w posiadaniu dość pokaźnego zbioru portretów (około

400 fotografii, minjatur i t. p.) uczestników powstania. Zbiór ten niestety uległ następnie, podczas inwazji bolszewickiej 1920 r. zniszczeniu. Część tylko jego wykorzystał Kręcki w swojej pracy. Z kolei był też Kręcki w Muzeum Im. Murawjewa, gdzie mu obiecano uprzystępnąć niewyzyskane przedtem materiały archiwalne, pod warunkiem, aby nawzajem dostarczył prawdziwej kosi powstańczej z roku 1863, której brakowało w zbiorach muzealnych, w braku zaś oryginału — będąj modelu takiej kosi.

Kręcki zwierzył się z tą sprawą mnie, ja zaś obiecałem dopomóc mu]w tem, jako że przystęp do archiwum murawjewowskiego i dla mnie był bardzo pojętny. Oczywiście, zwróciłem się do Karpowicza, jako najbardziej kompetentnego—ten mrugnął tylko znacząco okiem... nie tał wprawdzie trudności, ponieważ zwykłe kosi do tego celu się nie nadają, potrzeba siekaczów, jakich używano do ręcznych sieczkarni *). Że zaś obecnie wyszły one całkowicie z użycia, zastąpione mechanicznymi sieczkarniami, będzie z tem kłopot. Ale on—Karpowicz—ma za-

*) Prawdziwe kosi - siekacze widzimy na obrazie Jacka Malczewskiego „Melancholja”. (Por. Eligjusza, Niewiedomskiego „Malarstwo polskie XIX i XX wieku” str. 273) Inne, zwłaszcza na tak popularnych obrazach kościuszkowskich są przeważnie fantastyczne.

jomego, kowala, także kolegę z powstania, z którym jakoś to załatwią.

Jakoż pewnej nocy zbudziło małe ciche, co pewien czas powtarzające się pukanie do drzwi. Zapytuje:

— Kto tam?

— To ja, Karpowicz, przynoszę kosy! — odpowiada tajemniczym, przytłumionym głosem.

— Dobrze... ale pocóż u licha w nocy?

Nieco zrytowany otwieram drzwi — wchodzi Karpowicz i dźwiga aż sześć potężnych kos:

— Jedna dla pana, druga Kręckiego, dla Franciszka (Niepokojczyckiego) trzecia, czwarta dla Antoniego (Czernyszewicza) piąta dla mnie, a szósta niech będzie na zapas... Kiedy wyruszamy do lasu?

Choć ze snu rozbudzony, w złym humorze, roześmiałem się na całe gardło, na myśl takiej ekskursji „do lasu” w towarzystwie czterech walecznych, liczących razem około 300 latek. Powiedziałem Karpowiczowi, żeby „niezawracał głowy i szedł spać”, że kosa potrzebna nam nie do powstania, ale do muzeum Murawjewa.

Ostatnie to zdanie, bez złej oczywiście woli, ale nieogłębłe przezemnie wypowiedziane, było cieniem śmiertelnym, burzącym najpiękniejsze iluzje,

na rzecz ohydnej ówczesnej rzeczywistości. Opuścił głowę i bez słowa odpowiedzi odszedł.

Nazajutrz zrana nie przyszedł na śniadanie, gdy zaś nie było go także na obiedzie — zaniepokaliśmy się naprawdę i poczęliśmy szukać. Szukaliśmy go do wieczora i dnia następnego, aż znaleźliśmy w jednym z podmiejskich lasów, leżącego w głębokim rowie, do którego wpadł ze zwicznłą nogą.

Był w gorączce. Odwieźliśmy go do domu, zadowolony lekarz stwierdził zapalenie płuc. Wszelkie środki okazały się bezsilne... leżąc mając o leśnych ostępach, o partjach powstańczych, bił się z kozakami, uczył Kurplików celnie strzelać, gdyż nabojów brak, nie trzeba marnować... to znów był w więzieniu, za chwilę przyjdą żandarmi, na Łukiszkach już wzniesiono szubienicę... trzeba iść powoli, pewnym krokiem, nieokazywać lęku, niech Moskal nie tryumfuje... Kilka razy z naciskiem powtarzał swe przybrane nazwisko: „Teodor Stefański”, „Teodor Stefański” Snaż utkwilo głęboko w jego umyśle, skoro po 50 ciu leciach, mając w gorączce jeszcze się sam upominał, by się nie zdradzić. Po tem surowa twarz jego nabrała dziwnej słodyczy, szeptał jakieś dobre, ciepłe, chociaż już ledwo zrozumiałe słowa: zdawało mu się, iż żegna pannę

Guzowską, wracającą z katorgi do kraju, powierza jej skarb swój najcenniejszy, który potrafił ukryć przed oczyma carskich ślepaćy — pierścionek matczyzny, z wizerunkiem Przenajświętszej Częstochowskiej Pani... „Matko... Kzólwo nasza...” to były estatelnie jego słowa. Zasnął z Imieniem Maryi na ustach.

Było to dnia 9 maja 1913 roku.

Pochowaliśmy go w trumnie obitej fioletowym aksamitem, ze srebrnymi frezami. Staruszka, s. p. pani Malinowska uszyła mu rogatywkę, której podczas za skarby światła nie dostałbyś w Wilnie.

Trumnę nieśli dr. Zahorski, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk i wiceprezes dr. Czarkowski, ówczesny dyrektor Teatru Polskiego p. Oranowski, wielki przyjaciel i adorator zmarłego oraz niżej podpisany.

Obydwaj koledzy zmarłego, Franciszek Niepokojczycki i Antoni Czeraszewicz, ze słabi dźwigać brzemie trumny, szli za żałobnym konduktem razem z pocztową żoną moją, właściwym „mistrzem ceremonji” tego smutnego obrządku, jako że kobiety specjalay mają talent i upodobanie w aranżowaniu tego rodzaju „uroczystości rodzinnych”, wszystko jedno, czy to pogrzeb, czy ślub, czy chrzciny. Przewodzący ks. Adam Kuleszo pokropił

grób, załtonował „Aniël Pański”, głucho uderzyły
grudki ziemi o wleko trumienne...

Spoczął ś. p. Józef Karpowicz na cmentarzu
Bernardyńskim, niedaleko od kaplicy, obok niego,
w kilka lat potem wyrosły jeszcze dwa kurhanki:
pod jednym spoczął ś. p. Antoni Czernyszewicz,
pod drugim — Franciszek Niepokójczycki.

Serdecznem życzeniem Karpowicza było, za
życia jeszcze ujrzeć w druku swoje wspomnienie.
Względy cenzuralne nie pozwalały uczynić tego na
miejscu.

W 50-tą rocznicę powstania wysłałem garść
wspomnień, obejmujących także w znacznem skró-
ceniu historję Karpowicza, na ręce właśc. mi przy-
jaznego ś. p. Adama Krechowickiego, powieściopis-
arza i redaktora „Gazety Lwowskiej”. Oblecał wy-
drukować moją skromną pracę w „Przewodniku
Naukowym i Literackim” i dotrzymał słowa. „Kilka
wspomnień z r. 1863” ukazało się.. ale dopiero
w zeszytach lipcowym—przędziaralukowym.

Wypadki lat następnych, wybuch wojny, oku-
pacja, nie sprzyjały tego rodzaju imprezom wydaw-
niczym.

Najazd hord bolszewickich w r. 1920-tym
w perzynę obrócił moją gniazdo domowe, ze
wszystkiem, latami nagromadzonem, szpargałami.

Dopiero ostatnio, przypadkiem odnalazłem część notatek, dotyczących życia ś. p. rotmistrza Karpowicza. Porządkując je i przepisując do druku, miałem przede wszystkim na względzie zachowanie absolutnej bezstronności, daleki od wszelkiego fałszywego sentymentalizmu, pragnąłem przede wszystkim stworzyć z tych luźnych kartek — postać żywą, typ, gdyż ś. p. rotmistrz, choć nie był osobistością przodującą i kierowniczą w powstaniu — nie wątpliwie typowym był przedstawicielem swego pokolenia.

Nawet w opisywaniu najcięższych przeżyć: wzięcia, wygnania, katongi, umiał zachować ton męski, daleki od wszelkiego mazgajstwa i roztkliwiania się nad własną dolą, które często napotykamy u pisarzy, zwłaszcza poetów, opiewających tę tragiczną, ale bohaterką epokę naszych dziejów porozbiorowych. Pełen tężyzny i zdrowego, naturalnego humoru, nie tylko w dobrych ale przede wszystkim w ciężkich chwilach życia kolejących był on w każdym calu nieodrodnym synem i reprezentantem tego ducha mazurskiego, co to „choć zamarze, to się rusza”.

Takim go znałem w ostatniej chwili jego dobie, takim go przekazać chciałem łaskawym czytelnikom tych „wspomnień”.

Dnia 10 listopada, w dziesiątą rocznicę Niepodległości, odwiedziłem cmentarz Bernardyński i na drogich mogiłach zapaliłem trzy świece. W pierwszej chwili zdawało się, że je zagasi jesenna wichura, lecz rychło jasnym rozbiły płomieniem, zda się wykwitła z serc tych, co tam spoczęli po walkach, cierpieniach i zawodach życiowych.

Ten oto płomień największy, co mimo wiatru niezachwiany, prosto w górę strzela — to wiara. Niegdyś przodków naszych puklerz i mlec archański.

Życie nasze, świadome życie narodu, zaczyna się z chwilą, gdyśmy przejrzieli z mroków pogaństwa, odtąd całe dzieje nasze, pierwsza i główna racja bytu naszego państwowego, to nieprzerwane pasmo walk nadludzkich, poświęcenia i cierpień w obronie tego najcenniejszego skarbu. Gdy inne narody przelewały krew w imię interesów dynastycznych, ideałów państwowych, widoków handlowych, naszym okrzykiem bojowym był: „Jezus Maryja“, a pieśnią naszą — „Bogarodzica“. W dobie naszego upadku wiara w Boga, Jego przesaświętszą Rodzicielkę, Królową naszą, w Kościół Jego święty tak się splotły i zrosły z wiarą w zmartwychwstanie Narodu, że utworzyły jak gdyby jedną religję, w imię której pokolenia składały ca-

łopalne ofiary: z mienia, łez i krwi, — w Imię której nam dane zostało zwycięstwo.

Dopóki na dnie duszy naszej narodowej tli choć mała iskierka tej wiary, którą potężni byli ojcowie nasi, dopóty niewymuszane będzie Imię nasze z szeregu żyjących.

A drugi płomień, co wykwiła nad groby i ciepłem swem zda się rozgrzewać nam duszę — to miłość. Miłość narodu i kraju, pełna poświęceń i czynów bohaterских, miłość ziemi ojczystej. Z niej się rodzili, jej służyli krwią swoją i potem, jedni ramieniem rycerza, inni umysłem mędrca, wszyscy sercem synowskim, w dobrej i złej doli, z mieczem przy boku, z pługiem w krzepkiej dłoni, na polach chwały zarówno, jak w cichej pracy na ojcowskim zagonie.

A trzeci płomień, co walcząc z wichurą jesienią, coraz to jaśniej bucha — to hart rycerski tych, co tam spoczęli pod temi kurhanami. Ciężkie było ich życie, pełne klęsk i cierpień nadludzkich, ich drogi żywota cieralste i kamieniste, lecz hart ten męski, zrodzony z wiary i miłości nie dał im upaść, choć stopy krwią ociekały, a pierś gorączka trawiła. I tak oto szły pokolenia: z chrzestem zbroi stalowych, wśród łopotów piór orlich, czy ulańskich chorągiewek, z brzękiem kos lśniących i brzękiem

kajdan, w południe skwarne, w noc mroźną, nieustraszeni w walce, nieugięci w upadku — „Książę Niezłomny” wśród narodów...

Cmentarne, zaduszne świece dopalały się, powstałem z klęczek i raz jeszcze wzrokiem obejmując mogiły kurhałek szepnąłem: Spój zacny, kochany druhu — a w twym grobie niech się Polska przyśni tobie!

Jan Obst.

Wilno, październik—listopad 1928 r.

K O N I E C .





